

*Warto walczyć  
o swoje szczęście!*

Aldona  
Bognar

Pięć  
*kilometrów*  
do świtu

Wydawnic  
two  
ab

Aldona Bognar

PIĘĆ KILOMETRÓW DO ŚWITU



Jadę.

Matko jedyna, jadę!

Czuję się jak piętnastolatka przed pierwszą randką. Siedzę za kierownicą, wokół ciemno jak w stercie węgla, na przemian śmieję się jak idiotka i drżę ze strachu. Czy można być jednocześnie przerażonym i szczęśliwym? Można, jeżeli to, co czuję teraz, jest jakimkolwiek odniesieniem.

Prowadzę wolno, niepewnie, jak ślepiec, starając się wyczuć drogę przed sobą. W bezksiężycową noc jedynym źródłem światła są reflektory samochodu. Sto metrów jasności, dalej czerni. Pogoda raczy mnie leciutką mżawką, rozmazywaną przez wycieraczki samochodu. Mizerny deszczyk siąpi ze spokojną determinacją i sprawiedliwie moczy trawę, nawierzchnię jezdni, cichutko stuka w dach samochodu. Podkręcam szybę i nie zapraszam wilgoci do środka. Drzewa po obu stronach drogi tworzą pożegnalny szpaler, przybierając w ciemności fantastyczne kształty. Zwalniam, widząc kicającego zająca. Spogląda przez chwilę w światła, a jego oczy lśnią demonicznie, przyspiesza i znika po drugiej stronie. Dodaję gazu. Odrobinę. Nie ma sensu szarżować na nieznaną trasie. Przed oczami migają mi twarze osób, które doprowadziły mnie do tego momentu: Joachim ze swoją dystygowaną miną, ciepłe oczy babci, Patrycja i jej rozczochrany, rudy chochlik na głowie, Adam, surowe, krytyczne oblicze ojca. Znów Adam, jego uśmiech, brązowozłote włosy. Adam. Odsuwam ten obraz od siebie i myślę o całej reszcie. Jednym jestem wdzięczna za wszystko, drugim... drugim współczuję. Na nienawiść nie mam chwilowo siły.

Jadę!

Zaraz wszędzie słońce.



Siedziałam w tej cholernej kawiarni już od godziny, z wieloletnią wprawą tłumiąc ziewanie. Zerknęłam na zegarek. Szesnasta trzydzieści. Jeszcze trochę, może pół godziny, i będzie można iść. Dyskretnie rozglądałam się wokół siebie. Kelnerzy w białych koszulach i czarnych kamizelkach poruszali się wśród okrągłych stolików, dolewali do kieliszków Château Branaire, Puligny-Montrachet, podawali na miniaturowych talerzykach tiramisu, musy czekoladowe i desery zdobione farbowanymi kwiatkami z masy cukrowej. Goście, przystrojeni w rozmaitych Armanich i Brionich, rozmawiali spokojnie, nie pozwalając sobie na głośniejszą wypowiedź czy ekspresję gestów. To miejsce wymuszało takie zachowania. Kawiarnia Kolonialna w centrum Warszawy stanowiła enklawę luksusu i sztucznego spokoju, nie dopuszczając zgiełku ulicy i lipcowego upału do przyciemnionego wnętrza. Klimatyzacja działała pełną parą. W Kolonialnej nie wypadało się pocić.

Poczułam na sobie spojrzenie i, niczym upomniana przez nauczyciela pensjonarka, natychmiast zaprzestałam inspekcji. Popatrzyłam na mężczyznę, który milcząco przywołał mnie do porządku. Siwe, gęste włosy, gładko ogolona twarz o lekko różowym odcieniu, odrobina nadwagi. Ładne, nieznacznie wygięte ku górze usta sprawiały, że człowiek od razu gotów był mu zaufać i powierzyć sekrety. Ubrany był w stalowoszary, szyty na miarę garnitur. Bardzo drogi, bardzo stylowy, bardzo odpowiedni. Niebieska koszula podkreślała błękit oczu. Dłonie o czystych, równych paznokciach trzymał zgrabnie ułożone na stole, naturalnie – w prawidłowej pozycji.

Mężczyzna poruszył się lekko i doleciał mnie zapach Gucciego. Guilty w męskiej wersji. Doskonale do niego pasował. Czy nazwa „Guilty” też? Być może. Uśmiechnął się leciutko, samymi wargami, nie odsłaniając zębów. To nieeleganckie. Także się uśmiechnęłam, nie wypadało inaczej. Przybrałam właściwy wyraz twarzy: „Jestem zainteresowana toczącą się wokół rozmową i staram się nie

ujawniać, że nie rozumiem połowy z tego, o czym się mówi”. Wyglądał na zadowolonego. To Joachim Rostowski. Ma pięćdziesiąt pięć lat i jest radcą prawnym. I moim mężem od ponad dekady.

Znów pograżyłam się we własnych myślach, ale teraz mój wzrok nie wędrował po sąsiednich stolikach. Taką postawę Joachim mógł zaakceptować. Patrzyłam na wiekowego mecenasa Drawskiego i udawałam, że słucham jego wywodów. Joachim, jak zawsze, grzecznie mu potakiwał. Przez chwilę było nawet ciekawie. Nieco wcześniej, na początku spotkania, mogłam włączyć się do dyskusji, zaistnieć. Potem spojrzenie Joachima przypomniało mi, gdzie jest miejsce jego młodej małżonki. Zamilkłam posłusznie. Wreszcie! Długo wyczekiwany przeze mnie szelest odsuwanej krzesła, pochylona nad moją dłońią twarz Drawskiego, po chwili uścisk ręki jego żony. Koniec, poszli nareszcie. Za chwilę i my pójdziemy do domu. Za chwilę. Jeszcze tylko reprimenda. Oczywiście w wydaniu Joachima była to reprimenda najwyższej klasy. Ten człowiek składał się z samych form.

– Tusi, kochanie – zwrócił się do mnie uprzejmie – czy nie uważasz, że zbyt długo i zbyt dokładnie opowiadałaś Drawskiemu o swojej pracy?

– Pytał mnie – wyjaśniłam, starając się zachować neutralny wyraz twarzy, choć wewnątrz aż zazgrzytałam zębami, słysząc zdrobnienie mojego imienia. Tusią byłam w przedszkolu. Trzydzieści lat później wolałabym być Natalią. – Pytał, więc odpowiadałam – powtórzyłam cicho.

– Oczywiście, moja droga. To bardzo dobrze wychowany człowiek.

„Oczywiście, dobrze wychowany – przedrzeźniałam Joachima w myślach. – I tylko dlatego udawał zainteresowanie pracą redaktorki w niewielkim, nikomu nieznanym wydawnictwie. Z jakiegoż innego powodu szanowny pan mecenas Drawski mógłby pytać, czy lubię moje zajęcia?”

– Wyglądał na zaciekawionego – dodałam na głos – a nawet na rozbawionego niektórymi historyjkami.

– Oczywiście – stwierdził znowu Joachim i nie musiał dodawać, że to także świadczyło o kulturze Drawskiego. – Jednakże wolałabym, żebyś w przyszłości powstrzymała się od tak

rozbudowanych wypowiedzi na ten temat. Zrozum, Tusi – tłumaczył mi jak dziecku – to nie jest świat Drawskiego. Jego żona mogła być nawet odrobinę zirytowana, że nie dopuszcza się jej do głosu. Naturalnie, w żaden sposób nie dawała tego odczuć.

„Kolejna bardzo dobrze wychowana osoba” – skomentowałam bezgłośnie, choć określenie „wytresowana” znacznie lepiej by tu pasowało.

– Tak, masz rację – powiedziałam. – Zbyt dużo mówiłam o swoich sprawach zawodowych. To nie jest świat Drawskich.

Jednakże moim zdaniem mecenas naprawdę dobrze się bawił, a jego śmiech nie był sztuczny. Byłam o tym przekonana, ale wiedziałam również, że nie chcę spierać się z Joachimem. Nie ma sensu bronić swojej opinii. Lepiej od razu się zgodzić. Efekt końcowy i tak będzie identyczny, a ustępując już teraz, szybciej skończę temat.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz – pochwalił mnie Joachim, a ja wbrew sobie poczułam zadowolenie.

Wtedy jeszcze lubiłam zasługiwać na jego uznanie. Dobrze, że tym razem nie miał zastrzeżeń do mojego słownictwa. Sam wypowiadał się bardzo starannie, budował długie, zręczne zdania, zwracał uwagę na sposób artykulacji i właściwy ton głosu. Jego wypowiedzi były spokojne, wyważone i przemyślane. Tego samego oczekiwałam ode mnie, szczególnie że podczas spotkań ze znajomymi powinnam być wizytówką męża. Często czułam się jak rasowy piesek jakiejś nowobogackiej pańci.

„Ach, kochana, nauczyłam mojego Fiodora nowej sztuczki. Fiodor, służyć”.

I posłuszny mały Fiodor stawał na tylnych łapkach i merdał swoim ogonkiem yorka. A potem dostawał przysmak w nagrodę. Ja także „służyłam”. Zachowywałam się uprzejmie, powściągliwie, z godnością przynależną żonie pana radcy. Moimi „prysmakami” była stabilność finansowa, kremy Guerlaina i stroje Chanel. Wydawać by się mogło, że noszę się jak modelka na pokazie najnowszej kolekcji. Nic bardziej mylnego. Ubierałam się klasycznie, z elegancją odpowiednią dla zamożnej starszej pani. Z moją delikatną twarzą wyglądałam jak dziewczyna z prowincji tuż przed wstąpieniem do nowicjatu.

Cena mojego komfortu była wysoka, ale chciałam ją płacić. Joachim oznaczał bezpieczeństwo. Zapewnił mi dom, spokojne życie, cudowną świadomość, że nawet w dobie kryzysu, nawet gdyby moje biedne wydawnictwo przestało istnieć, ja sama nie zginę. Nie musiałam pracować. Pieniądze, które zarabiałam, ginęły wśród tego, co spływało na konto Joachima. Nasze konto.

Praca w Double Book to jedyny element mojego życia, którego nie podporządkowałam mężowi. I mimo że nieraz dawał mi do zrozumienia, iż stanowisko „zwyczajnej pani redaktor” nie przystoi jego żonie, że wywiera to złe wrażenie podczas spotkań towarzyskich, z uporem odmawiałam porzucenia niewielkiego biura, kolegów i wymagającego szefa. To był mój ostatni bastion niezależności i nie zamierzałam z niego rezygnować. Nawet jeżeli mój mąż raz po raz twierdził, że miejsce kobiety jest w domu, przy mężu, i jeżeli już musi być kariera, to niechże to będzie zawód godny szacunku, na przykład sędzia lub adwokat.

Poznaliśmy się z Joachimem dwanaście lat temu.

W czasie studiów codziennie przed rozpoczęciem zajęć uprawiałam jogging i codziennie pokonywałam ten sam dystans: Płatniczą, przebiec przez Kasprowicza, dotrzeć do Lasku Lindego. Tam parę ćwiczeń oddechowych, krótka przebieżka po lesie i do domu. Zwykle mijałam te same osoby: na Płatniczej panią Krystynę, która od lat wychodziła ze swoim czarnym, kudłatym kundelkiem. Szli powoli, delektując się każdą minutą spaceru. Na Kasprowicza uśmiechali się do mnie starsi państwo, skromnie ubrani, którzy wracali ze sklepu z bułkami i mlekiem. Potem widywałam tylko pana; chodził wolniej, pochylony, i już się nie uśmiechał. Zamiast sześciu bułek niósł trzy. W lesie rzucałam czasem patyk Astorowi, musztardowemu jamnikowi, a jego właściciel, sympatyczny człowiek po sześćdziesiątce, mrugał do mnie zalotnie. Mogłabym tę trasę przebiec z zamkniętymi oczami, a i tak wiedziałabym, w którym miejscu odsunąć się na bok, żeby nie zderzyć się ze stałymi bywalcami. Zwykle rano byłam tak nieprzytomna, że ta umiejętność prawdopodobnie ratowała mi życie. Biegłam w półśnie, odzyskując jako taką świadomość, dopiero gdy wracałam do domu.

Tego dnia obudziłam się znacznie wcześniej. Już w lasku.

„Cholera jasna – pomyślałam, zanim jeszcze ogarnęła mnie panika. – Tego korzenia tu wcześniej nie było”.

Jak na zwolnionym filmie leciałam do przodu, na twarz, i jak w filmie przed upadkiem ocaliły mnie czyjeś mocne ramiona.

– Ostrożnie, proszę pani. – Usłyszałam męski głos. – Byłbym bardzo zmartwiony, gdyby zrobiła sobie pani krzywdę.

Odsunęłam się nieco i podniosłam wzrok. Przede mną stał szpakowaty mężczyzna w jasnoszarym dresie. Sporo starszy ode mnie, ale sylwetkę miał świetną. Szczupły, wyprostowany, nosił się z taką dystynkcją, że nawet w dresie wyglądał lepiej niż niejeden elegant w garniturze.

– Bardzo dziękuję – wymamrotałam, nagle onieśmielona. – Gdyby nie pan...

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł szarmancko. – Zapewne uzna to pani za przejaw staroświeckich manier, ale uczono mnie, iż mężczyzna ratujący życie niewiasty – zaśmiał się cicho – powinien się przedstawić i zaproponować swoje towarzystwo na resztę spaceru. Należy się upewnić, że dama bezpiecznie dotrze do domu, a trudne przeżycia nie wpłyną na jej samopoczucie. Pani pozwoli, Joachim Rostowski.

„Ach, cóż za elokwencja” – pomyślałam rozbawiona. Joachim od razu mi się spodobał, miał styl: cecha rzadko spotykana u ludzi i całkowicie nieobecna wśród moich znajomych. Skłonił się lekko, a ja podchwyciłam żartobliwy nastrój, podałam mu rękę i dygnęłam dokładnie tak, jak nauczył mnie ojciec.

– Natalia Rawicz.

Ujął moją dłoń, schylił się i złożył na niej krótki pocałunek.

„No proszę, nie szarpie mnie w górę, pochyła się. Jaki dżentelmen”.

W moim domu zawsze zwracano uwagę na maniery i choć nie oczekiwałam ich od kolegów ze studiów, potrafiłam docenić prawdziwie dobre wychowanie. Galanteria mojego wybawcy zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Po prawie roku znajomości i ukradkowych randek zaprosiłam Joachima do domu. Czy powinnam być zaskoczona, że ojciec od razu go zaakceptował? Powinnam. Do tej pory zrażał do mnie każdego chłopaka, który choć odrobinę się mną zainteresował. No



cóż, moim usprawiedliwieniem były młody wiek i fakt, że mimo wychowania w stolicy, w inteligentnej rodzinie, miałam mentalność prowincjonalnej gąski. A o tym, że Joachim pracuje w kancelarii mojego ojca, dowiedziałam się dużo później. Tuż przed ślubem. Byłam tak wściekła, że poważnie zastanawiałam się nad rozstaniem z narzeczoną.

– Tusiś – powiedział mi wtedy ojciec – wszystko jest już kupione, gotowe, goście zaproszeni. Czy ty myślisz, że odwołam ślub z powodu twojego kaprysu?

Nie myślałam. Zaraz po magisterce zostałam panią Joachimową Rostowską. Nie Natalią Rostowską ani nie Natalią Rawicz-Rostowską. Joachimową Rostowską. Mąż przedstawiał mnie nie inaczej niż: „Moja żona”.

Długo myślałam, że go kocham. Był dobrym człowiekiem, zawsze grzecznym wobec mnie i wobec znajomych, wiernym, hojnym. Imponował mi swoją erudycją, obyciem, tym, że potrafił znaleźć się w każdej sytuacji. A że miał wobec mnie wymagania? Cóż, w każdym małżeństwie trzeba się do siebie dopasować, prawda? Inaczej związek przerodzi się w nieustającą walkę o władzę. Gdy porównuję czas, który spędziłam z Joachimem, ze stażem małżeńskim innych ludzi, myślę, że byliśmy ze sobą krótko. Gdybym jednak miała oprzeć się na własnych odczuciach, musiałabym stwierdzić, że od ślubu upłynęły wieki. Tak jakby moje całe życie się skończyło, a teraz zaczynało się od nowa. To trochę dziwne, wręcz nienormalne. Czy mogę jednak jeszcze nazywać siebie normalną? Nie sądzę. Nie po tym, co zrobiłam.

– Chodźmy, Tusiś. – Joachim wstał i wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu swoją. – Czas wracać do domu.

Obrzucił mnie dyskretnym spojrzeniem i znów zasłużyłam na uśmiech uznania. Podobała mu się zapięta pod szyję biała bluzka, brązowa spódnica sięgająca za kolana, podobała mu się moja gładka twarz bez makijażu i starannie upięte włosy. Stojąc, byłam niewiele niższa od niego, więc, naturalnie, nie nosiłam wysokich obcasów. Także z tego powodu Joachim był zadowolony.

– Żenujące jest zachowanie mężczyzn, którzy przechwalają się swoimi żonami – mawiał – i żenująca jest postawa żon, które

pozwalają na takie traktowanie. Spotkanie towarzyskie to nie konkurs piękności pań, poza tym prawdziwa uroda nie polega na wymalowanej twarzy i rzucających się w oczy strojach. Nie zgadzam się, żeby ktoś patrzył na ciebie jak na kolorową papugę w zoo.

Spoglądałam na niego z wdzięcznością, pokazując, iż prawidłowo odczytuję jego intencje, ale w myślach inaczej interpretowałam te słowa. Po prostu nie mógł się mną pochwalić, a co za tym idzie, najlepiej, jeżeli w swoich skromnych strojach wtopię się w tło, zamilknę i pozwolę mówić tym, którzy potrafią zajmując się rozprawiać o trudach pracy adwokata, sędziego albo radcy.

Przedarliśmy się przez korki i dotarliśmy wreszcie do domu. Z Kolonialnej do Powstańców Śląskich jest spory kawałek, a Warszawa nawet w wakacje bywała popołudniami zatłoczona. Usiadłam na sofie w salonie. Jej skórzane obicie długo przyprawiało mnie o migrenę. Tuż po ślubie Joachim kupił komplet nowych mebli: sofa, fotele, pufy, wszystko piękne, modne i skórzane.

– Spójrz, Tusi, jakie eleganckie – powiedział wtedy.

Nie chciałam wyjść na prostaczkę. Nie przyznałam się, że zdecydowanie wolę miękkie plusze w ciepłych kolorach, a zapach i odgłos trzeszczącej skóry sprawiają, że mam ochotę spotkać się z jakimś średniowiecznym katem i na klęczkach błagać go o przysługę ścięcia mojej pękającej głowy.

– Cóż to? – Joachim podszedł do mnie i zajrzał do książki, którą trzymałam otwartą na kolanach. – Znowu Chiny? Jeszcze ci nie przeszło, jak widzę.

Nawet w domu pozostał w koszuli i kamizelce, pozwalając sobie jedynie na zdjęcie marynarki. Ja także nie przebrałam się w wygodniejsze ubranie. Pokazałam mu okładkę książki. Pokiwał głową z uśmiechem rodzica, pozwalającego dziecku na drobne dziwactwo.

– To bardzo ciekawe – powiedziałam. – O pierwszym cesarzu. Niezwykła osobowość. Tyran, ale wiele zdołał dla państwa. Ujednolicił...

Joachim nie słuchał. Patrzył na mnie, sprawiał wrażenie, że uważa, ale nie słuchał. Po dziesięciu wspólnych latach nauczyłam się rozpoznawać jego spojrzenia. To teraz mówiło: „Jestem

uprzejmym człowiekiem, więc przemęcę się przez twoją wypowiedź, ale pomyślę w jej trakcie o jutrzejszym procesie”. Umilkłam. To nie miało sensu.

– Chcesz kawy? – Wiola, nasza gosposia, weszła do pokoju i spojrzała na mnie przyjaźnie.

Joachim zgromił ją wzrokiem. Kobieta odchrząknęła i poprawiła się natychmiast:

– Czy napiją się państwo kawy? – Jej głos przybrał ton służącej z arystokratycznej rezydencji.

Dobrze, że Joachim nie wymagał od niej dygania. Ze swoją posturą gdańskiej szafy dygająca Wiola przyprawiłaby mnie o atak głośnego śmiechu. I wtedy ja zarobiłabym karcące spojrzenie męża.

Przesadziłam z tą gdańską szafą, Wiola nie była aż tak duża. Była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą z jakiejś wsi pod Łodzią. Struga, Struga, jakoś tak. Wiola mówiła głośno, śmiała się szczerze, była nieskrępowana i bezpośrednia. Inteligentna, ale nie wystarczyło jej chęci do nauki wykraczającej poza dwie klasy technikum. Joachim zatrudnił ją u nas na prośbę pani Hanny – gosposi mojego ojca – która chciała pomóc krewnej wyrwać się ze wsi. Pani Hanna była w oczach Joachima wzorem, do którego Wiola powinna dążyć. Ta ubrana w nierzucające się w oczy szarości i brązy starsza kobieta traktowała swoich pracodawców jak dziewiętnastowieczna ochmistrzyni. Kipiąca energią i profesjonalizmem, zachowywała jednocześnie obowiązkową dla swojego stanu urodzenia uniżoność. „Tak, proszę pana... Nie, proszę pana... Rozumiem, proszę pana...”. Dobrze, że nie mówiła: „Proszę jaśnie pana hrabiego” lub „barona”. Poręczyła za Wiolę: „Pracowita, uczciwa, miła. Pan radca będzie zadowolony”.

Pan radca zadowolony nie był, ale nie wypadało wyrzucić Wioli. Wypełniała obowiązki, gotowała cudownie, sprzątała starannie. A że zapominała o podstawowych formach grzecznościowych? To nie mogło być powodem zwolnienia, bo Joachim tłumaczący się przed panią Hanną i moim ojcem wyszedłby na zwykłego snoba. Sama zaproponowałam jej, żebyśmy mówiły sobie po imieniu. Wiola była niewiele młodsza ode mnie, a ja czułam się strasznie staro, gdy zwracała się do mnie *per* pani. Kilka lat różnicy między kobietami to przecież nie tak wiele.

Postawiła przede mną filiżankę lavazzy. Wspaniały aromat wypełnił ogromny pokój i nadał mu pozory przytulności. Joachim lubił przestronne wnętrza, urządzone – jak mawiał – z minimalistyczną elegancją. Całe nasze stutrzydziestometrowe mieszkanie na Bemowie krzychało: „Minimalistyczna elegancja! W dobrym tonie! Odpowiednia dla radcy prawnego!”.

Kochałam nieduże pomieszczenia, zagracone bibelotami, z obrazami na ścianach i dywanem pośrodku, a miałam cztery ogromne, minimalistycznie eleganckie pokoje. W salonie wypolerowany parkiet, skórzany komplet, mahoniowa ława przykryta zimnym szkłem. Na ścianie płaski, pięćdziesięcioośmiocalowy Sony, pod nim wieża, też Sony, żeby ładnie komponowała się z telewizorem. W czterech kątach podwieszane głośniki, z których sączyła się klasyka. Mozart. Wolałam Vivaldiego, ale Joachim ostatnimi czasy uwielbiał *Requiem*, które niemal codziennie od tygodni zajmowało każdy skrawek ciszy. Mój mążzonek był taki szczęśliwy, gdy powiedziałam kiedyś, że mogę czytać i relaksować się przy Mozarcie, że nie miałam sumienia wyjaśnić mu, iż po prostu przestałam już Wolfganga Amadeusza słyszeć i dlatego odpoczywam.

Dwie sypialnie nie ustępowały głównemu pokojowi. W jednej z nich wielkie, czteroosobowe chyba łóżko, garderoba, dwa stoliki nocne, wszystko w kontrastach: mahoń mebli, biel ścian, jasność parkietu. W drugiej sypialni stało nieco mniejsze łóżko, garderoba, jeden stolik, mahoń, biel. Gabinet Joachima – biurko, komputer, fotel, biblioteka – nie trzeba wielkiej domyślności: mahoń i biel. Przedpokój: gigantyczna, wielodrzwiowa mahoniowa szafa, ogromne lustro, które dodatkowo powiększało przestrzeń, białe, odbijające światło ściany.

Kiedyś spaliśmy razem w tej większej sypialni. Parę lat temu Joachim stwierdził jednak:

– Będzie ci wygodniej, Tusi, gdy zajmiesz sama całe łóżko. Lepiej się wyśpisz przed pracą.

Zgodziłam się grzecznie i ani słowem nie wspomniałam, że już od dłuższego czasu byłam świadoma kłopotów męża. Pięćdziesiąt kilka lat to nie jest wiek, w którym mężczyzna ma ochotę na częsty seks, a do takiego mógłby czuć się zobowiązany, sypiając obok znacznie



młodszej żony. Nie miałam nic przeciwko samotnym nocom. I tak nigdy nie rozumiałam, o co tyle krzyku z tymi orgazmami, drżąca ziemią i punktem G. Przeżycie jak przeżycie, ale żeby aż tak się tym ekscytować? Joachim był moim pierwszym i jedynym mężczyzną i szybko się zorientowałam, że to, co opisują w romansach, to bzdury.

– To co, ja już chyba pójdę? – odezwała się Wiola, odrywając mnie od losów cesarza Qin Shihuangdi. Właśnie kazał spalić wszystkie księgi i mordował każdego, kto nie podporządkował się edyktowi. – Kolację zostawiłam w piekarniku. Wystarczy podgrzać. Lasagne, jak chciałaś. – Zerknęła na Joachima. – Jak pani sobie życzyła – poprawiła się, a w jej oczach zatańczyło rozbawienie.

Czasem zazdrościłam jej tej prostoty. Również chciałam być wesoła, wygadana i swobodna. Właściwie byłam taka. Ale głęboko w środku. Z wierzchu zaczynałam przypominać posąg, któremu ktoś dał ograniczoną możliwość ruchów i kilka wyrazów twarzy do wyboru: lekki uśmiech, pokazową uprzejmość, intelektualną powagę. Posąg, któremu twórca zalepił marmurem kanaliki łzowe. Nie umiałam już płakać.

– Tak, Wioletto, może pani iść do domu – zgodził się Joachim.

Zawsze tak się do niej zwracał. Pełnym imieniem, z podwójnym „t”, choć sama Wiola, przedstawiając się, mówiła „Wioleta”. Szkoda, że w stosunku do mnie upierał się na tę cholerną Tusię.

– To z miłości, skarbie – tłumaczył. – Chcę w ten sposób okazać ci czułość. „Tusia” to takie słodkie zdrobnienie. Urocze jak ty.

No i co miałam mu powiedzieć? Że już dawno wyrosłam z kokardek i sukienek z falbankami? Że nie jestem pięciolatką, którą, gdy płacze, pociesza się lizakiem? Pewnie byłoby mu przykro. Zresztą, nie ukrywam, to, jak troszczył się o mnie, jak dbał o większość moich potrzeb, było na swój sposób miłe. Mogłam być Tusią, jeżeli tego potrzebowałam. Jak już mówiłam, w małżeństwie trzeba się do siebie dopasować. I trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić.

– Jutro proszę być o siódmej – powiedział Joachim do stojącej przy drzwiach Wioli. Zupełnie niepotrzebnie, bo codziennie przychodziła punktualnie.

– Tak, proszę pana – mruknęła. Skinęła mi dłonią, posłała uśmiech (porozumienia, współczucia?) i wyszła.

Poranne wstawanie nigdy nie było moją mocną stroną. O szóstej trzydzieści snułam się nieprzytomna po domu, płacząc się w połach jedwabnego szlafroka i niemal przydeptując skraj długiej koszuli. Kupiłam kiedyś piżamę. Bordowy top na cienkich ramiączkach, do tego króciutkie szorty. Joachim popatrzył na mnie oględnie i z niechęcią, po czym bardzo jasno dał mi do zrozumienia, do jakiej kategorii kobiet zaliczam się, wkładając coś takiego. Oddałam piżamę Wioli, która przekazała ją koleżance. Jakaś dziewczyna w Stróży będzie mogła poczuć się kobieco i seksownie w mojej Cosabelli.

Wypiłam kubek lavazzy. Joachim w końcu pogodził się z faktem, że rano kawa w filiżance stanowczo mi nie wystarcza. Żeby zaczęła działać, potrzebuję jej więcej, niż mieści się w kruchej porcelanie. Potrzebuję ćwierć litra smolistego, gorzkiego płynu w prostackim fajansie.

Do wydawnictwa dojechałam autobusem. Już w owym czasie nieśmiało marzyłam o prawie jazdy, lecz w pełni zgadzałam się z mężem, który mawiał:

– Jazda po zatłoczonych ulicach wcale nie jest tak prosta i bezpieczna, jak może ci się wydawać, Tusi. Obserwujesz mnie za kierownicą i sądzisz, że lawirowanie w korkach to nic trudnego, ale jesteś w błędzie. To wymaga uwagi, umiejętności szybkiej reakcji i ogromnej odpowiedzialności.

Miał rację, niestety. Jestem inteligentna, tyle o sobie wiem, ale wiem też, że w sytuacjach zaskoczenia często tracę głowę. Zresztą, już raz próbowałam nauczyć się jeździć. Miałam osiemnaście lat i zapisałam się na kurs. Teorię opanowałam bez zarzutu. Jako jedyna na zajęciach zawsze potrafiłam prawidłowo określić, kto ma pierwszeństwo na skrzyżowaniu, jak powinien zachować się kierowca samochodu A, B czy C. Praktyka rozłożyła mnie jednak na łopatki. Instruktor krzyczał na mnie niemiłosiernie. Potem, gdy już zrezygnowałam, tłumaczył, że bardzo przejmował się moją nauką i chciał dla mnie jak najlepiej. Może i chciał. Czy w swoim chceniu nie mógł jednak wydawać mi prostych poleceń: „Skręć w lewo, jedź prosto, zwolnij”? Czy musiał wrzeszczeć: „Co ty wyprawiasz, idiotko? W lewo skręcaj, w lewo, nie wiesz, gdzie masz lewo?! Cholera jasna, baba za kierownicą to klątwa!”?

Chętnie chodziłam do pracy. Ludzie patrzyli na mnie z niedowierzaniem, gdy to mówiłam, ale ja naprawdę z przyjemnością siedziałam w mojej klitce na końcu korytarza. Urządziłam ją tak, jak chciałam. Pomalowałam za własne pieniądze i zamiast bieli miałam na ścianach ciepły, brzoskwiniowy odcień. Na wprost fotela powiesiłam śliczny pejzaż kupiony wiele lat temu od malarza na Starówce. Kojące jesienne brązy i zielenie obrazka miały na mnie zbawienny wpływ. Na biurku porozstawiałam ulubione kiczowate figurki kotów z porcelany. Przyniosłam niedużą, brązowo-pomarańczową lampkę z abażurem i pokój stał się naprawdę przytulny. Z zaskakującą mnie samą stanowczością odmówiłam przyjęcia obitego skórą fotela i uparłam się, że stare obrotowe krzesło w zupełności mi wystarczy. Gazda – nasz szef – poczuł się chyba odrobinę urażony. Chciał być miły, a ja nie okazałam mu wdzięczności. Byłam jednym z nielicznych pracowników, byłych i obecnych, których szanował, choć okazywał to na swój, bardzo specyficzny, sposób. Zaakceptował jednak moje wyjaśnienie, że od zapachu skóry dostaję migreny, która wyłącza mnie z pracy na resztę dnia. To od razu do niego przemówiło. Z radiem poszło jeszcze prościej: „Muzyka mnie rozprasza. Narobię błędów i kto to potem poprawi?”.

Miałam ciszę, swoje kolory, swoje zapachy. Swoje własne miejsce. Mogłam w spokoju wygładzać tłumaczenia, korygować składnie, wyłapywać nieścisłości. To ostatnie okazało się najtrudniejsze, bo Double Book wydawało głównie książki techniczne. Nie sposób było dostrzec nieścisłości w czymś, co od początku do końca wydawało mi się bezładnym bełkotem. Gazda ciął koszty, na czym się dało, i najczęściej zlecał tłumaczenia angielskich pierwowzorów studentom lub osobom, które kiedyś być może widziały słownik angielsko-polski, ale na tym ich znajomość języka definitywnie się kończyła. Tłumacz Google poradziłby sobie lepiej.

„Oto ostre konieczności Worda” – przeczytałam na wydruku. Natychmiast przypomniał mi się tekst przyniesiony przez Marka, redakcyjnego kolegę: „Nagi konduktor biegnący przez pociąg” zamiast: „Nieosłonięty kabel umieszczony wzdłuż wagonu”. Przez moment wyobrażałam sobie rozebranego, podstarzałego konduktora przemieszczającego się szaleńczym pędem przez wąskie korytarze.

Obwisły brzuch i inne obwisłe części ciała podskakiwały w rytm jego kroków. Twarz konduktora była zadziwiająco podobna do starannie ogolonego i spryskanego Guccim oblicza mojego męża. Dziwne skojarzenie, pewnie dlatego, że nie miałam wielu punktów odniesienia.

– Anka, niech cię szlag! – Głos Gazdy oderwał mnie od zdecydowanie nieodpowiedniego stroju pracownika kolei. – Żmiję na własnym łonie wyhodowałem! Cholera jasna, dziewczyno, głucha jesteś? Nie potrafisz odróżnić Kruka od Klaka? Przez ciebie jestem w plecy dwa patyki!

Gazda miotał się po korytarzu i krzyczał tak głośno, że nawet w mojej norce słyszałam każde słowo. Ania, firmowa sekretarka, dreptała za nim jak gejsza.

– Ale, panie prezesie – próbowała się bronić. – Byłam pewna, że to Kruk dzwonił, przepraszam, ja...

– Zobaczysz, pojedę ci po pensji!

– Ale...

Gazda naprawdę nazywał się Gazdowski, ale tylko Ania tak o nim mówiła. I tylko ona zwracała się do niego *per* panie prezesie. Całej reszcie udzielił łaskawej zgody na używanie swojego imienia. Nigdy się nie dowiedział, jakim przezwiskiem go obdarzyliśmy. Mało oryginalnym, ale rozbawiającym wszystkich w redakcji, szczególnie że Gazda pochodził ze Skoczowa i robił, co mógł, żeby odciąć się od korzeni. Był młodym, przystojnym mężczyzną: smągła cera, ciemne, lekko kręcone włosy, szczupły, wysoki. Wychodził chyba z założenia, że sam wygląd daje mu prawo do traktowania innych z góry. Z upodobaniem ubierał się w Emporio Armaniego i migał metką na lewo i prawo.

Otworzył drzwi do mojego pokoju i z impetem wpadł do środka, zajmując sobą prawie całą niewielką przestrzeń.

– Ty wiesz, co ta idiotka zrobiła?! – wykrzyknął. – Połączyła mnie z Klakiem! A ja od dwóch miesięcy unikam jego telefonów, bo facet nagabuje mnie o tantiemy. Wielki pisarz się znalazł, cholera, z Koziej Wólki! Napisał jedną książczynę o jakimś tam PowerPoincie, a teraz zapłać mu i zapłać mu. A czy ja mam z czego? Wywalę ją, kurna jego chata, wywalę. I nigdzie nie znajdzie roboty! Cipcia jedna!



– Rafał, zwolnij trochę – zmitygowałam go dopiero po „cipci”. – Ania jest dobrą sekretarką, autorzy i tłumacze ją lubią.

– Lubią, jasne, że lubią. Naraża mnie na straty, to ją lubią – warczał Gazda. – Ty, Natalia, zagadaj z mężem w razie czego, dobra? Klak odgrażał się sądem.

Skinęłam głową, co odrobinę uspokoiło Gazdę. Nie musiał wiedzieć, że nawet nie wspomnę Joachimowi o całej sprawie. Poza tym, gdy podam szefowi koszt wynajęcia adwokata, to sam zrezygnuje. Klak dostanie tantiemy, a Gazda będzie szczęśliwy, że wyłożył tylko dwa tysiące.

– A, zapomniałem – rzucił Rafał z ręką na kłamce. – Jutro albo pojutrze przyjdzie tu Krynicki.

– Krynicki? Ten pisarz?

– No. – Gazda udawał, że wizyta jednego z bardziej znanych autorów książek historycznych nie robi na nim wrażenia, ale kiepsko mu to wychodziło. – Chce u nas wydawać. Nieźle, co?

– Nieźle.

– Zajmiesz się nim.

– Ja? Ale przecież Ania...

– Daj mi spokój z Anią, ona się nie nadaje. Powiesz mu, kto jest twoim mężem, to od razu spuści z tonu i będzie łagodniejszy przy negocjowaniu umowy. Zresztą, niech się cieszy, że w ogóle znalazłem czas, żeby z nim rozmawiać.

Gazda wyszedł, a ja bezsilnie zwiesiłam głowę. Poczułam się, jakby uderzył mnie w twarz, a potem poprawił drugi raz, mocniej. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego odnosił się do mnie w miarę kulturalnie. Naiwna wiara, że ktoś wreszcie mnie docenił, zamieniła się w wycieraczkę dla butów Gazdy. To nie ja wzbudziłam jego szacunek. Nie moja postawa, nie moje zaangażowanie w pracę i nie moje umiejętności. To Joachim. Znów Joachim. A ja jestem tylko żoną. Z wysiłkiem przekierowałam myśli na inne tory. Krynicki ma się cieszyć, że Gazda chce z nim rozmawiać? Ha, dobre. Choć to ciekawe, co skłoniło takiego pisarza do rozmowy z Double Book? Inni już nie chcą powieści o Sarmatach? Próbowałam śmiać się z Gazdy i jego przerośniętej osobowości, ale jakoś nie mogłam. Po raz kolejny przypominano mi, gdzie jest moje miejsce. U boku męża. Nie, nie u boku. Dwa kroki za nim.

Wróciłam do domu w nie najlepszym nastroju. Wiola od razu to wyczuła.

– Gazda dokuczył? – zagadnęła przyjaźnie. – Poczekaj, machnę ci kawkę na lepszy humor.

– Nawet nie dokuczył. – Zrezygnowana usiadłam na sofie w salonie. – Po prostu nagle okazało się, że to Joachimowi zawdzięczam pozycję w pracy. Prezes Gazdowski docenia panią mecenasową... radcową... – zaśmiałam się bez humoru – a nie Natalię, redaktorke.

Dopiero teraz zauważyłam, że Wiola podejrzanie krzywi twarz.

– Przepraszam, nie zdążyłam ci powiedzieć... – zaczęła szeptem. – Twój mąż...

– Dzień dobry, Tusi. – Usłyszałam głos Joachima.

Cholera, że też akurat dzisiaj musiał przyjść wcześniej. Zaraz się zacznie. Pocałował mnie w policzek i „się zaczęło”:

– Wiesz, Tusi, uważam, iż szacunek, którym obdarzył cię Gazdowski, jest jak najbardziej uzasadniony. To przecież zupełnie naturalne, że pozycja męża nobilituje żonę.

„Pozycja męża nobilituje żonę – powtórzyłam w myślach. – No-bi-li-tu-je żonę. No, to jestem znobilitowana. Aplauz, poproszę”.

Joachim perorował dalej:

– Sam Gazdowski może niewiele sobą reprezentuje. To jego Emporio...

– Tak, tak, Emporio to nie to samo co Giorgio Armani – przerwałam, ale Joachim albo nie wychwycił sarkazmu w moim głosie, albo zdecydował się go zignorować.

– No właśnie. Ubrać się nie umie ten twój Gazdowski, ale najwyraźniej rozumie, co jest istotne w życiu.

– Najwyraźniej – skwitowałam i poszłam do większej sypialni, która już od paru lat była wyłącznie moim pokojem. Pod pretekstem bólu głowy zamknęłam za sobą drzwi i ułożyłam się wygodnie na wielkim pościeliu. Jeżeli będę miała szczęście, Joachim tutaj nie zajrzy i uniknę wypytywania, dlaczego nie czytam w salonie, wśród skóry i Mozarta. Sięgnęłam po pierwszego cesarza Chin. Zaczynałam dzielić jego światopogląd – zabicie tych, którzy cię drażnią, to najlepsza metoda na święty spokój.

Nie miałam szczęścia.

– Tusiū – Joachim w eleganckiej koszuli i kamizelce stanął w uchylonych drzwiach – czy nie uważasz, że wygodniej będzie ci w salonie? Nie sądzisz, że lepiej, by małżonkowie spędzali razem czas wolny? Po co tak się izolować?

„Po to, drogi mężu – pomyślałam, krzywiąc się w duchu na jego formalny ton i składnię – że i tu, i tam jestem samotna. A tu przynajmniej nie trzeszczy pode mną skórzane obicie i nie słyszę tego twojego *Requiem*, przy którym mam ochotę się powiesić. Czy nie uważasz, Joasiu – dalej parodiowałam go w myślach – że byłoby ci wygodniej, gdybyś w domu choć raz zrezygnował ze sztywnej koszuli i włożył bawełnianą bluzę?”

Wiem, że to dziecinne, ale w takich sytuacjach uwielbiałam nazywać go Joasiem. To była moja mała zemsta za Tusię. Szanowny pan radca Joaś Rostowski. Oczywiście, nigdy nie odezwałam się do niego w ten sposób. W naszych rozmowach zawsze był Joachimem.

– Pomyślałam, że może będziesz zajęty – powiedziałam głośno. – Nie chciałam ci przeszkadzać szelestem kartek i wstawaniem po herbatniki.

– Przecież Wioletta przyniosłaby herbatniki.

– Nie chciałam ci przeszkadzać wołaniem Wioletty. – Podwójne „t” wymówiłam bardzo starannie.

– Tusiū – Joachim popatrzył na mnie uważnie i z troską – chyba nie podoba mi się twój ton. Czy to ktoś w pracy ma na ciebie taki wpływ? Zawsze powtarzałem, że Double Book nie jest miejscem dla ciebie.

No, oczywiście. Przecież nie mogłam zmienić się sama z siebie. Ktoś musiał mi pokazać, że tak trzeba. Nie chciałam się kłócić, nie miałam siły.

– Przepraszam – powiedziałam. – Jestem zmęczona, zostanę tutaj. I tak zaraz miałam się zdrzemnąć.

Zasnęłam niedługo po tym, jak zamknął drzwi. Rzadko pamiętam swoje sny, ale ten był dość niezwykły. Znalazłam się w swoim starym pokoju w domu rodziców. Duże okno, zawsze idealnie umyte, teraz pokryte było smugami błota. W pokoju panował półmrok, bo przez tłusty brud nie dochodziło słońce. Zabrałam się do pracy. Wdrapałam się na parapet, ale zaraz zsunęłam się na ziemię. Kamienna płyta okazała się pochyła. Długo trwało, zanim

opracowałam właściwą strategię: jedną ręką trzymam się okiennej klamki, drugą szoruję. I wtedy zorientowałam się, że zapomniałam o środkach do mycia szyb.

– Tato! Przynieś mi coś do czyszczenia! – krzyknęłam.

Ojciec pojawił się obok mnie i podał mi plastikową butelkę. Spojrzałam na etykietę: płyn do dywanów.

– Mamo!

Zjawiła się w pokoju i od razu skierowała spojrzenie na ojca.

– Czy nie uważasz, Tusi, że mycie okien nie jest zajęciem dla ciebie? – odezwał się z progu Joachim, który także przyszedł, żeby popatrzeć.

Poczułam, jak klamka wyślizguje mi się z dłoni, a ja uderzam kolanami o podłogę. Obudziłam się gwałtownie.

Kolejny dzień w Double Book upłynął pod znakiem zamieszania i nerwowej bieganiny. Gazda od rana rozstawiał nas po kątach, krzyczał na Anię.

– Wszystko trzeba po tobie poprawiać! – wrzasnął, przesuając o dwa centymetry donicę z palmą. Palma stała w gabinecie szefa od początku jego panowania w wydawnictwie. Ania podlewała ją regularnie, a Gazda podlewał zaraz po niej, twierdząc, że dziewczyna nie ma podejścia do roślin. – Mówiłem: „Ustaw zielonym do przodu, żółte trzeba ukryć, bo źle wygląda”.

Nikt mu nie powiedział, że przelana palma będzie niszczyć i jedynym sposobem na żółte liście jest mniejsza ilość wody. Gazda i tak wiedział lepiej. To przez Anię drzewko marnieje.

– Nie możesz zrobić raz a porządnie? – pieklił się.

– Tu wszystko robimy po dwa razy – mruknął Marek, nasz grafik i specjalista od składu komputerowego w jednym. – Stąd nazwa wydawnictwa.

Miał szczęście, że Gazda, zajęty panikowaniem przed przyjściem Krynickiego, nie słyszał, co się wokół niego mówi.

Byłam podekscytowana perspektywą spotkania znanego pisarza. Czytałam jego książki i podziwiałam rozległą wiedzę. Znał nie tylko historię. Poruszał się sprawnie w malarstwie, sztuce, w kulturze ogólnie, a jego komentarze często były odkrywczym. Wprawdzie ostatnio zaczął się nieco powtarzać i cytował samego siebie, ale



niewątpliwie był człowiekiem na poziomie. Spodziewałam się kogoś w typie Joachima: spokojnego, sympatycznego starszego pana o arystokratycznych manierach.

Pierwsze rozczarowanie przeżyłam, gdy Krynicki wtargnął do sekretariatu. Mały, okrągły człowieczek w okolicach sześćdziesiątki, ubrany w rozciągnięty sweter i przetarte sztruksy. Rzadkie włosy były niedbale ułożone i nieśmiało prosiły o szampon. Szybkim spojrzeniem obrzucił wnętrze i wyraził milczącą krytykę dla niedużego biurka, ustawionych pod ścianą dwóch foteli i rozdzielającego je niskiego stolika. Dezaprobatę „wielkiego pisarza” odczuły także szafa wypełniona segregatorami z dokumentacją, szara wykładzina i wreszcie Ania, która także nie spodobała się gościowi.

– Gdzie prezes? – warknął, opierając się o biurko i nachylając ku sekretarce.

– A kogo mam zapowiedzieć?

– Jak to kogo? Gdzie pani do tej pory żyła? W jakiejś dziurze w Bieszczadach? Krynicki. Kry-nic-ki.

Drugie rozczarowanie.

Ania z przerażenia zapomniała nawet poprosić Krynickiego, by usiadł. Zerwała się z miejsca i pobiegła do szefa. Gazda wyhamował tuż przed drzwiami do sekretariatu. Odetchnął głęboko, poprawił bordowy, poliestrowy krawat i rozchylił marynarkę. Eksponując metkę Emporio Armaniego, nonszalanckim krokiem wszedł do środka.

– Witam serdecznie! – Uśmiechnął się szeroko, niczym żywa reklama środka wybielającego zęby. – Rafał Gazdowski, prezes Double Book.

Wyciągnął rękę, którą Krynicki uściśnął. Znany pisarz nie sądził, że powinien się przedstawić, więc tego nie uczynił.

– Natalia. – Gazda skinął na mnie, a ja podeszłam bliżej. – To nasza redaktorka, Natalia. Jej mąż jest radcą prawnym, współwłaścicielem jednej z bardziej znanych kancelarii w Warszawie.

Na końcu języka miałam: „To, gdzie pracuje mój mąż, nie ma żadnego znaczenia w Double Book”. Zabrakło mi jednak odwagi, żeby powiedzieć to głośno.

Krynicki skinął mi głową.

– Rostowska – mruknąłam, witając go krótkim uściskiem dłoni.

– Rostowska? To po mężu? – zainteresował się Krynicki. – Coś mi mówi to nazwisko.

– Możliwe – zgodziłam się niechętnie. – Kancelaria Rawicz–Rostowski.

„Może jeszcze wymienię wygrane przez nich procesy – dodałam w myślach. – I zapewnię panu rozrywkę do jutra rana?”.

– Rawicz–Rostowski? Słyszałem, słyszałem.

„Wcale nie słyszałeś, po prostu tytuł radcy i własna kancelaria zrobiły na tobie wrażenie”.

– Natalia zajmie się opracowaniem redakcyjnym pańskich książek – poinformował Gazda.

– Książki oddaję dopracowane do ostatniego szczegółu – stwierdził Krynicki. – Nie sądzę, by jakakolwiek redakcja była potrzebna. Jeżeli wypuszczam coś z błędem, mam ochotę jaja sobie urwać. Tego samego oczekuję od innych.

Oczekuje od innych urywania mu jaj? No, jeżeli przemyca w książkach takie wstawki, to redakcja będzie absolutnie niezbędna. Gazda nieświadomie ustawił mi poprzeczkę bardzo wysoko, bo powieści Krynickiego były naprawdę dobrze napisane. Pytanie tylko, czy to zasługa samego autora, czy właśnie jakiejś nieszczęsnej redaktorki, która musiała po nim poprawiać teksty. Trzecie rozczarowanie. A tak dobrze się zapowiadało...

Przez następne dwie godziny Krynicki biegał po wydawnictwie z gracją i prędkością kuli armatniej.

– Potrafię docenić profesjonalizm – mówił donośnym, dość wysokim głosem – i lubię, gdy ludzie znają się na swojej robocie. Nie mam zamiaru nikogo pouczać, jak powinien pracować.

Wpadł do pokoju Marka i zajrzał mu przez ramię w monitor.

– To powinno być większe. – Wskazał nazwisko autora na okładce, którą mężczyzna właśnie projektował. – Inaczej proporcje są zakłócone.

Wysoki, misiowaty grafik spojrzał na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Dopiero wpisał tekst na okładkę i było oczywiste, że nawet nie zaczął nad nim pracować. Potrząsnął lekko głową

porośniętą, jak sam mawiał, owczym runem i odwrócił się do monitora.

Krynicki szalał dalej. Otworzył drzwi do mojego azylu.

– Ma pani źle ustawione światło. Psuje pani oczy. – Potem zwrócił się do Ani: – Oszczędza pani na kawie? – spytał. – Dlaczego jest taka słaba?

Zwolnił dopiero w pokoiku księgowej. Obrzucił spojrzeniem sterty papierów na jej biurku i już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy Zenobia spojrzała na niego znad okularów. Ta sympatyczna kobieta w ciągu wielu lat pracy w rozmaitych biurach i przedsiębiorstwach wypracowała w sobie umiejętność skutecznego gaszenia nieuprzejmych interesantów. Teraz, tuż przed emeryturą, miała tę sztukę opanowaną do perfekcji.

– Słucham? – zapytała tonem urzędniczki z PRL-u.

– Pomyliłem drzwi – mruknął Krynicki i wycofał się natychmiast.

Miałam ochotę bić jej brawo. Gdy poszedł, nawet Gazda odetchnął z ulgą. Wreszcie mógł zdjąć z twarzy uśmiech, od którego mnie samą bolały szczęki.

– Ale pershing, co? – westchnął, gdy na chwilę zajrzałam do jego gabinetu.

– Zwykły cham – skwitowałam, zachowując dla siebie porównanie: „Nawet większy niż ty”.

– Wiesz? – powiedziałam wieczorem do Joachima. – Poznałam dziś Wiesława Krynickiego, tego od *Sarmackich skandali*, *Malarki u króla* i paru innych. Chce u nas wydać książkę.

– Naprawdę? A co ktoś o jego pozycji robi w Double Book? – Joachim wyjątkowo był szczerze zainteresowany tym, co mam do powiedzenia.

– Nie wiem. Do tej pory pisał dla większych wydawnictw. Może historia polskiej szlachty jest już niemodna. Może Krynicki nie ma wyjścia i musi zadowolić się mniejszym wydawnictwem, jeżeli chce dalej pisać.

– Mam nadzieję, Tusi, że potrafiłaś się zachować...

Od razu odechciało mi się rozmowy, ale Joachim kontynuował:

– Nie zanudzałaś go tymi swoimi Chinami, prawda? Tacy ludzie jak on z pewnością przywiązują ogromną wagę do właściwych form

i manier.

Poprawił się w fotelu, jakby chciał po raz kolejny pokazać mi, na czym polegają formy i maniery. Usiadł prosto, złączył nogi i skontrolował, czy jego stopy równo opierają się o podłogę i przylegają jedna do drugiej. Na nogach miał buty. Kaptcie są nieeleganckie. Ręce położył na kolanach, ale po chwili uznał chyba, że taka postawa jest bardziej odpowiednia dla kobiety. Sięgnął po filiżankę i upił łyk herbaty. Gracji jego ruchów towarzyszyło rytmiczne skrzypienie skóry fotela. Wyprostować się, skrzyp, ustawić nogi, skrzyp, obciągnąć kamizelkę, skrzyp, sięgnąć po herbatę, skrzyp. Spojrzał na mnie znacząco. Teraz moja kolej: wyplątać nogę spod pupy, skrzyp, skrzyp, bez niepotrzebnego szamotania się usiąść poprawnie w fotelu (nie za głęboko, nie za płytko, skrzyp), włożyć obydwie pantofle, skrzyp, skrzyp. Już. Wieczorny relaks w domu państwa radcostwa prawnych. Zimna biel ścian, zimny mahoń drogich mebli, zimne czarne skóry na sofach, pufach i fotelach. A z głośników *Requiem* Mozarta.

– Muszę cię rozczarować, Joachimie – zaczęłam z niejaką satysfakcją. – Krynicki jest zwykłym prostakiem.

Mój mąż zacisnął usta w dezaprobacie. Określenie „prostak” w jego mniemaniu było... prostackie. Należało powiedzieć: „Krynicki nie uznał za stosowne zachować się, jak należy...” albo jeszcze lepiej: „Maniery Krynickiego okazały się niezgodne z wyobrażeniem, jakie człowiek może powziąć, czytając jego książki”.

– Tak – powtórzyłam z premedytacją. – Krynicki to prostak. Cham.

– Ależ, Tusi...

– Jak inaczej określisz kogoś, kto biega po korytarzu, zagląda nieproszony do pokoi, krzyczy, krytykuje wszystko, co wcale nie wymaga krytyki? Poza tym miał stare sztruksy i włóczkowy sweter.

To ostatnie podziałało na Joachima zgodnie z moimi przewidywaniami.

– No cóż... – zająknął się.

Już nie mógł dłużej upierać się, że określenie „znany pisarz” było synonimem ogłady. Wyglądał na tak zdruzgotanego, że aż zrobiło mi się go żal. Oto zaburzono porządek świata Joachima Rostowskiego.



A wszystko było tak ładnie poukładane w szufladkach: Wiola to wieśniaczka bez pojęcia o lepszym życiu, Tusia to szara myszka, którą trzeba uczyć najprostszyc rzeczy, Krynicki to arystokrata.

– Za to, gdy dowiedział się, że jesteś moim mężem – powiedziałam litościwie – od razu zaczął odnosić się do mnie przychylnie.

– O? – Joachim uśmiechnął się.

– Powiedział nawet, że słyżał o twojej i ojca kancelarii – dodałam, zastanawiając się, dlaczego tak mi zależy na dobrym nastroju mojego męża. Jemu na moim nie zależało.

– No, to akurat nie jest niczym niezwykłym – stwierdził Joachim, który znów znalazł się w swoim żywiole. – Rawicz–Rostowski to znana marka i nawet taki Krynicki musiał zwrócić na nią uwagę.

Był spokojny i zadowolony, że zapełnił kolejną lukę wśród posegregowanych fiszek życia: Krynicki nie ma nic wspólnego z odpowiednim towarzystwem. Joachim w ramach protestu nie kupi jego kolejnej książki i będzie przekonany, że autor to zauważył i odczuł jako osobistą stratę.

## Babcia

W Konopnicy pod Rawą Mazowiecką mieszkałam od trzeciego roku życia aż do rozpoczęcia nauki w podstawówce. Byłam chorowitym dzieckiem i kiedy po raz kolejny w ciągu kilku miesięcy dostałam zapalenia płuc, lekarz zalecił zmianę klimatu. Ojciec zrozumiał go chyba zbyt dosłownie i odesłał mnie do babci na wieś na stałe, choć doktor sugerował raczej wyjazdy wakacyjne. Nie miałam pretensji i, wstyd się przyznać, nie tęskniłam za domem.

Z rodzicami jeździłam wtedy raz w roku na dwutygodniowe wczasy. Zupełnie tego nie pamiętam. Wiem, że byliśmy w Bułgarii, na Krymie i w Jugosławii. Ojciec obawiał się, że całkiem zdziczeję pod tą Rawą, i dbał, żebym zobaczyła trochę prawdziwego świata.

W ciągu tych czterech lat zachorowałam dokładnie trzy razy. Na Krymie czymś się zatrulałam i przez tydzień bolał mnie brzuch, w Bułgarii natychmiast dopadła mnie jakaś wirusówka i połowę wyjazdu przeleżałam w hotelowym łóżku. W Jugosławii dostałam wysypki. Poza tym byłam zupełnie zdrowa. Tych wyjazdowych chorób też nie pamiętam, ale ojciec nawet teraz regularnie mi je wypomina. Nigdy mi nie darował, że zepsułam tak wspaniale zaplanowany wypoczynek.

Do Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie pojechałam. Od września miałam wrócić do Warszawy i tam chodzić do szkoły. Nie do pomyślenia było przecież, żeby córka radcy Rawicza uczyła się z wieśniakami. Płakałam, gdy ojciec poinformował mnie, że to ostatnie lato u Babci Jagi, a on wyjątkowo pozwolił, żebym całe wakacje spędziła na wsi. Pewnie bał się kolejnych kłopotów z moim zdrowiem. Babcia miała na imię Jadwiga i często śmiała się, że jest Babą-Jagą. Nie mogłam się z tym zgodzić. Była babcią, nie żadną babą. Mówiłam: „Babciu Jago”, „Babuniu Jago”, czasem „Jabuniu” – to ostatnie, gdy narozrabiałam i chciałam ją jakoś udobruchać. Babcia potrafiła się rozzłościć i „Jabuniu” wypowiedziane płaczącym tonem było w takich momentach niezbędne.

Tak jak wyrzuciłam z pamięci wczasy z ojcem, tak potrafię opisać każdy niemal dzień spędzony w domu babci.

Mieszkałam w maleńkim pokoiku na piętrze. Babcia wstawiła tam tapczan, stół, skrzypiącą szafę i dwa krzesła. Na drewnianej podłodze położyła puchaty dywanik, a ja z przyjemnością zanurzałam bose stopy w jego ciepłe. W oknach wisiały firanki w kwiaty haftowane przez babcię. Lubiłam sobie wyobrażać, że w szafie mieszka mały, sympatyczny duszek i to on tak skrzypi, a w nocy pilnuje, żeby śniły mi się same przyjemne rzeczy.

Rano budził nas kogut. Zrywałam się bladym świtem, choć babcia namawiała mnie, żebym spała dłużej. Ja jednak za żadne skarby nie chciałam przegapić dojenja krów. Fascynowało mnie, gdy dłonie babci pociągały za strzyki, a do skopka leciało ciepłe, tłuste mleko. Uwielbiałam dźwięk, z jakim cienki strumyk uderzał w ściany metalowego wiaderka, patrzyłam, jak na powierzchni mleka powstawała piana, upajałam się zapachem krowy i obory.

Potem szliśmy do kozy. Babcia mówiła:

– Ty ją, Natalko, zagadaj, a ja uciągnę trochę mleka. Zrobimy serek.

Czułam się taka ważna. Babcia powtarzała, że Czochrata nie pozwoli się wydoić, dopóki ja z nią nie porozmawiam. Będzie wierzgać, uciekać i przewróci skopek, jeżeli nie stanę przy niej i nie opowiem, co mi się śniło. Gdy kończyły mi się sny, wymyślałam bajki. Głaskałam szorstki łeb kozy i opowiadałam o księżniczkach zamkniętych w wieży, o strasznych smokach i szlachetnych książętach. Babcia słuchała z zainteresowaniem i twierdziła, że znacznie przyjemniej jej się pracuje przy moich opowiastkach.

Najbardziej lubiłam karmienie kur. Jabunia tylko raz pokazała mi, jak to robić, i od tego momentu sama wysypywałam im karmę. Dziadek się śmiał, że kury będą tłuste jak nigdy, bo ode mnie jadły najchętniej.

Tam, na wsi, czułam się potrzebna. Nikt nie mówił, że jestem za mała, że nie potrafię, że niezdara. Babcia spokojnie pokazywała mi kolejne prace, tłumaczyła powoli, jak mieszać jajka na patelni, jak zetrzeć stół ściereczką, jak przygotować jedzenie dla Mikusia – burego kundla, który pilnował obejścia i był najmilszym towarzyszem moich zabaw. Jeżeli czegoś nie rozumiałam, babcia

jeszcze raz objaśniała daną czynność i opowiadała prześmieszne historyjki ze swojego dzieciństwa, kiedy również czegoś nie umiała, coś zepsuła i próbowała to naprawić.

Potem była nauka pisania, czytania i podstaw matematyki. Babcia skończyła studium nauczycielskie i całe zawodowe życie pracowała jako nauczycielka w wiejskiej szkole. Kochała swoją pracę i dzieci, a one kochały ją. Poznałam kilku jej uczniów. Już jako dorośli ludzie przyjeżdżali czasem odwiedzić ulubioną panią Jadzię. Babcia całkiem zniknęła w ich objęciach, gdy ściskali ją wielkimi ramionami, potem, ocierając oczy, biegła smażyć racuchy. Dla mnie samej lekcje z nią były fantastyczną zabawą. Siadałyśmy przy kuchennym, sosnowym stole, babcia odsuwała z okien firanki, żeby słońko pomagało w pracy. Duża kuchnia była ciepła i przytulna. W rogu stał najprawdziwszy kaflowy piec, pod ścianą stary piekarnik, dwukomorowy zlew, a nad nimi kilka półek i szafek, w których babcia trzymała garnki, talerze i kubki. Każde naczynie pochodziło z innego kompletu, nic do siebie nie pasowało. Kiedy babcia nakrywała stół do obiadu, wybierałam najładniejszy talerz, malowany w pomarańczowe ptaki, a do niego koniecznie chciałam kubek z różową świnką pijącą mleko. Na wsi nikt nie zwracał uwagi na właściwy dobór zastawy stołowej, a mnie ta różnorodność wydawała się najpiękniejsza na świecie.

Ucząc mnie, babcia sięgała do głębi swoich pokładów cierpliwości i bez zmęczenia tłumaczyła:

– Natałko, twoje „b” chyba nie zjadło dziś śniadania i dlatego tak się chwieje. Nakarm literki, żeby miały siłę stać prosto.

Z przyjemnością rysowałam ołówkiem okrągłe brzuszki, pilnowałam, aby całe rzędy napisane były równo i starannie. Wiedziałam, że zaraz usłyszę pochwałę, zostanę pogłaskana po głowie i babcia będzie dumna, że ma tak zdolną wnuczkę. Długo nie byłam świadoma, że nauka może być prawdziwym wysiłkiem. Zrozumiałam to dopiero w szkole, gdy mojego odrabiania lekcji doglądał ojciec. Nie było już karmienia literek ani pochwał. Jakimś cudem stałam się leniwą dziewczyną, która nie ma ambicji, by coś osiągnąć w życiu. Zresztą, po co mi ambicja, skoro i tak brakuje mi zdolności. Co roku przynosiłam świadectwo z czerwonym paskiem i co roku ojciec mawiał:

– No, Tusi, masz dużo szczęścia, że twoi nauczyciele nie są wymagający. Za moich czasów trzeba było uczciwie się napracować, żeby zasłużyć na wyróżnienie. A i program szkolny był o wiele bardziej wypełniony. Czy ty myślisz, że tytuł prymusa był wtedy czymś tak oczywistym jak teraz? No, ale dobrze, podoba mi się taka cenzurka.

Jabunia wprost zachwycała się moimi świadectwami. Musiała chodzić do zupełnie innych szkół niż ojciec, bo mówiła:

– Zuch dziewczynka, Natałka zuch. Tyle wam teraz pakują w programie, to nie to co za moich czasów. Takie mnożenie, jakie ty przerabiałaś w drugiej klasie, ja miałam w czwartej. Nauczyciele więcej teraz oczekują od dzieci. A jednak, proszę, czerwony pasek. Chodź, dziadek, zobacz, jak uczy się nasza Natałka.

– Nasmaż racuchów, babcia, bo trzeba to uczcić – mówił wtedy dziadek, a potem żartował, że zabierze moje świadectwo, oprawi w ramki i powiesi na ścianie jak obrazek.

Konopnica z pewnością nie była rajem na ziemi. Jako dorosła osoba w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Jednakże jako dziecko byłam chroniona przez babcię. Tłumaczyła mi rzeczywistość w sposób zrozumiały dla dziewczynki w moim wieku.

– Natałko – mówiła – pani Jakubiak płacze, bo jest smutna. Dorośli, jak dzieci, nie zawsze są zadowoleni. A siniak na policzku to dlatego, że nie zauważyła otwartych drzwi.

Dopiero po latach dowiedziałam się, że Jakubiak regularnie bił i zdradzał żonę, która czasem skarżyła się Jabuni.

Zdarzało mi się wieczorami słyszeć pijackie śpiewy i rynsztokowe słownictwo. Babcia przychodziła do mnie na górę, zamykała okno i uspokajała:

– Nie bój się, dziecko, oni tu nie przyjdą. Zachowują się obrzydliwie, ale dopóki jesteś tu z nami, nic ci nie grozi.

Rankiem wychodziła przed dom, zanim zdążyłam porządnie się obudzić, i sprawdzała, czy wszystko jest w porządku. Któregoś dnia wstałam wcześniej i wyjrzałam przez okno. Babcia zawołała dziadka na pomoc i wspólnymi siłami podnieśli starego Rogiewicza, który zasnął pijany tuż pod ich furtką. Nie chcieli narażać mnie na takie widoki. Usłyszałam wściekły głos Jabuni:



– Jeszcze raz cię tu zobaczę, policję wezwę. Nie wstyd ci? Dzieci cię widzą. Jaki przykład im dajesz?

Rogiewicz mamrotał coś, nie do końca jeszcze trzeźwy po pijackiej nocy, ale babcia nie dała mu dojść do słowa:

– Cicho bądź już. Wracaj do siebie, idziemy. Portki zasikałeś. Obrzydlistwo.

Spojrzała w okno i dostrzegła moją twarz. Dziadek bez słowa wziął Rogiewicza pod ramię i odszedł w kierunku jego domu, a babcia zajrzała do mnie.

– Nie każdy człowiek radzi sobie z alkoholem, Natałko – powiedziała, głaszcząc mnie po głowie. – Rogiewicz to wspaniały przyjaciel i doskonały murarz, gdy jest trzeźwy. Kiedy wypije, staje się zupełnie inną osobą. Nie jest niebezpieczny – wyjaśniła, widząc przestrach w moich oczach – nigdy nikogo nie skrzywdził. Kiedy zrozumie, jak bardzo źle robi, poszuka pomocy i przestanie pić.

Pokiwałam głową. Przekonywały mnie wyjaśnienia Jabuni, wierzyłam, gdy mówiła, że nic złego mnie nie spotka. Czułam jej siłę i wiedziałam, że jestem absolutnie bezpieczna.

Bijący żonę Jakubiak i często pijany Rogiewicz nie zniszczyli mojej miłości do Konopnicy. Przez całe dzieciństwo ta wieś była moim prawdziwym domem. Raz nawet, już w liceum, odruchowo chciałam powiedzieć: „Na wakacje jadę do domu”, mając na myśli Konopnicę. Powstrzymałam się w ostatniej chwili, wiedząc, że nie wolno mi nawet tak myśleć. Bo gdyby podobne słowa wyrwały mi się przy ojcu, nigdy więcej nie odwiedziłabym Jabuni i dziadka.

To babcia odkryła we mnie talent do języków. Podawała mi rosyjskie słówka, a ja powtarzałam bezbłędnie. Często sama prosiłam:

– Babciu Jago, zróbmy sobie rosyjski dzień.

I wtedy od rana do wieczora rozmawialiśmy po rosyjsku i gotowaliśmy rosyjskie potrawy. Sama nie wiem, kiedy nauczyłam się cyrylicy.

Babcia kochała tamtą kulturę, śpiewny akcent, ich legendy i baśnie. Mojemu ojcu, który „nie mógł pojąć takiej uwagi dla naszego odwiecznego wroga”, powtarzała:

– To nie wina prostych ludzi, że mieli taką, a nie inną władzę. Nie ma sensu uczyć się nienawiści do języka i narodu tylko dlatego, że historia potoczyła się w złą stronę.

Dzięki babci ojciec uznał, że warto posyłać mnie na angielski. Nie był przekonany do moich możliwości lingwistycznych, ale zgodził się, że przynajmniej warto spróbować. Włoskiego uczyłam się sama, z podręcznika i kaset. Wiedziałam, że babcia będzie ze mnie dumna. Ojciec traktował to jako nieszkodliwą stratę czasu, ale był nawet zadowolony.

– Lepiej niech udaje, że coś z tego rozumie, niż miałyby spędzać całe dni na podwórku i nasiąkać złym towarzystwem.

W liceum podtrzymywałam naukę języków głównie ze względu na babcię. Nie chciałam, żeby jej praca nade mną poszła na marne. Za pieniądze z kieszonkowego kupowałam czasopisma w empiku i czytałam je od deski do deski. Ojcu mówiłam, że wydałam na drobiazgi dla koleżanek.

– To dobrze, Tusi – chwalił mnie po swojemu – że starasz się, by chciały się z tobą przyjaźnić. Proszę tylko, abyś zwracała uwagę, z jakich środowisk pochodzą te osoby. Nie należy nawiązywać bliższych znajomości z dziewczętami, które niewiele sobą reprezentują.

Od babci słyszałam zupełnie inne słowa:

– Zobacz, dziadek – mówiła, gdy miała pewność, że słucham. – Dzieciaki tak lubią bawić się z naszą Natalką. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tyle ich się zebrało w kupie.

A dziadek odpowiadał równie głośno:

– Tak, babcia, bo Natalka to takie wesołe dziecko, że wszyscy chcą być przy niej.

Nigdy nie zachęcali mnie do kupowania prezentów, dzięki którym mogłabym zasłużyć na uznanie koleżanek.

Łagodna i wyrozumiała babcia potrafiła się złościć. Trzeba było jednak mocno się natrudzić, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Swoją drogą to ciekawe – nigdy nie bałam się rozzłoszczonej Jabuni. Było mi przykro, że zrobiłam coś, co ją zirytowało, i natychmiast chciałam się zrehabilitować, ale nie czułam lęku przed jej reakcją. Pewnie dlatego, że od razu mówiła, co było źle i jak mogę to

naprawić. Zasady były jasne: nie biegam sama do lasu, nie dokuczam zwierzętom, nie podchodzę za blisko stawu. Za nieposłuszeństwo zbierałam burę, czasem dostawałam jakąś niewielką karę i było po wszystkim.

W domu ojca często miałam wrażenie, że poruszam się po zawieszanej nad ziemią linie. Jeden nierozważny krok i lecę w dół. Nigdy nie wiedziałam, jak zareaguje na to, co robię lub mówię. I bałam się, choć wyznawał zasadę, iż głos podnoszą tylko ci ludzie, którzy nie potrafią nad sobą panować. Nie byłam przez niego karana. Jako dziecko, i później nastolatka, nie rozumiałam, dlaczego wolałabym krzyk i „szlaban” niż ten jego wzrok: „Znów mnie zawiodłaś. Niestety, wiem, że i tak niczego cię to nie nauczy”.

Patrycja zazdrościła mi czasem.

– Ty, Nati, masz dobrze. Nie drze się, nie zamyka cię w pokoju. Moi, gdy dostanę pałę, nie mogą się wyciszyć. Działgoczą i działgoczą jak dwa wściekłe ratlerki.

Myślałam, że coś ze mną jest nie w porządku, bo ja z kolei zazdrościłam jej tych awantur. Nie dostawałam pał, więc ten problem miałam z głowy. Nad innymi moimi przewinieniami ojciec nie „działgotał”, bo i po co? To i tak niczego nie zmieni. Dalej będę tą samą, do niczego nienadającą się Tusią, więc szkoda energii na próby zawrócenia mnie na właściwe tory.

Jabunia nie żałowała energii. Wściekła, pokonywała każdego ratlerka w przedbiegach. Tak jak wtedy, gdy postanowiłam z Lundkosiem nauczyć kaczkę dobrych manier. Lundkoś to Maciek Lundkowski, syn sąsiadów babci, starszy ode mnie o jakieś dwa lata. Ja miałam wtedy prawie sześć.

– Kaczka nam się zmrowiła – poinformował mnie Lundkoś któregoś dnia. – Trza nauczyć jom kurtuly. Osobistej – dodał z mocą.

Patrzył na mnie błękitnymi oczami przysłoniętymi długą, rozczochraną płową grzywką i oczekiwał sugestii. Wiedziałam co nieco o kulturze osobistej i natychmiast zaoferowałam pomoc, choć nie do końca rozumiałam, co to znaczyło, że kaczka się „zmrowiła”.

– Co zrobiła kaczka? – zapytałam.

– No mówię, zmrowiła się, a co? – wyjaśnił mi Lundkoś, a ja wstydziłam się przyznać, że dalej nie wiem, o co chodzi. Od razu jednak zaproponowałam właściwe lekcje wychowania.

Pobiegliśmy na podwórko Lundkowskich i zabraliśmy kaczkę na łąkę. Przedzieraliśmy się przez wysokie, sięgające mi do pasa trawy. Lundkoś brodził w nich jak bocian, podnosząc wysoko chude nogi, migał sterczącymi, posiniaczonymi kolanami. Jego bose stopy utyłane były ziemią i poplamione rozdeptaną trawą. Ja nie wyglądałam lepiej, choć na nogach miałam sandałki. Babcia wyznawała zasadę, że brudne dziecko to szczęśliwe dziecko, i do kąpieli goniła mnie dopiero wieczorem.

Zachwycałam się łąką, choć obiektywnie mówiąc, nie należała do najpiękniejszych. W niczym nie przypominała słodkich krajobrazów znanych z literatury. Była olbrzymią połąką nieregularnie porośniętą przez żółte, zielone i brązowe trawy, jakieś kwiatki skupione w kępach lub rozrzucone tu i ówdzie. Umiałam rozpoznać bławatki, maki i rumianki. Przez środek biegł cieniutki strumyczek nazywany przez mieszkańców Smródką. Nie wiem, co w nim gniło, co zdechło i rozkładało się latami, ale Smródka rzeczywiście zasługiwała na swoją nazwę. Śmierdziała tak, że nawet z dużej odległości można było bezbłędnie do niej trafić, kierując się wyłącznie nosem. Nikomu to jednak nie przeszkadzało i ja także szybko się przyzwyczyłam.

Przyswoiłam sobie nazwę strumyczka i posługiwałam się nią jak każdą inną, nie zastanawiając się nad jej etymologią. „Jadę do Konopnicy, będę bawić się z Lundkosiem nad Smródką” – myślałam. Ale przy ojcu nigdy nie użyłam tego miana. Gotów byłby zabronić mi zbliżania się do wody, gdyby dowiedział się, jak mieszkańcy wsi o niej mówią. Natychmiast doszedłby do wniosku, że córce radcy prawnego nie wypada podchodzić do czegoś, co nazywa się tak nieelegancko. Na szczęście, nikt nie wpadł na pomysł, żeby oprowadzić ojca po łące, a wonie strumyczka nie docierały do domu babci. Tymczasem Smródka stanowiła źródło nieustającej uciechy dla wiejskich dzieci. Można było urządzać zawody w przeskakowaniu najszerzego miejsca i śmiać się z tych, którzy wpadli w niewielkie bagienko przy brzegu. Można było marszczyć nos i mówić wytaplańcom, że śmierdzą jeszcze gorzej niż sama

Smródka. Można było organizować konkursy z nagrodami: kto najdłużej wytrzyma z nosem tuż nad wodą, dostawał bukiet kwiatów (to dla dziewczyn) lub miał pierwszeństwo w łapaniu kijanek następnego dnia (nagroda dla chłopców). I wreszcie, brzeg Smródki okazał się idealnym miejscem do wyedukowania zmrowionej kaczki.

Pomna nauk ojca, doszłam do wniosku, że pierwszym zadaniem będzie opanowanie prostej postawy i wciągniętego brzucha. Potem manieri przy jedzeniu, na koniec odpowiedni ton głosu przy kwakaniu. Lundkoś był zachwycony, ptak... mniej. Wprowadziliśmy kaczkę na równą ścieżkę, żeby ułatwić jej ćwiczenie, ale nie doceniła naszej dobrej woli. Odmówiła współpracy już przy nauce chodzenia, choć staraliśmy się ze wszystkich sił wytłumaczyć jej, dlaczego powinna stawiać jedną nogę przed drugą, zamiast bez sensu kolebać się na boki. Idei wciągania brzucha kompletnie nie pojęła. Trzymałam kaczkę za prawe skrzydło, Lundkoś ścisnął lewe. Prowadzona między nami robiła, co mogła, żeby się wyrwać, i w końcu jej się to udało. W podzięcie dziobnęła mnie w ramię i zataczając się, uciekła.

Babcia natychmiast zainteresowała się krwiakiem, który zrobił mi się pod skórą, i kategorycznie zażądała wyjaśnień. Nie potrafiłam jej okłamać. Pobiegła do Lundkowskich zapytać o los nieszczęsnego ptaka i wróciła zła jak rzadko – złamaliśmy kaczce skrzydło. Pani Lundkowska podeszła do całego wydarzenia zupełnie spokojnie.

– I tak miała być na niedzielny obiad – powiedziała – to pójdzie pod nóż dwa dni wcześniej. Co się ma ptaszycho mordować połamane. Zresztą, taka umęczona była, że i tak by zara sama padła.

Babci to jednak nie uspokoiło. Zawołała mnie do kuchni, stanęła nade mną i patrzyła groźnie.

– Babciu Jago, musieliśmy ją nauczyć. Ona się zmrowiła, wiesz? – tłumaczyłam tak poważnym tonem, że babcia musiała zrozumieć. „Zmrowienie się” to straszna rzecz i natychmiast trzeba działać.

– Akurat – sarknęła babcia. – Kaczki zawsze się mrowią, nie upilnujesz ich. Ale to nie powód, żeby się znęcać.

– Nie znęcaliśmy się.

– Natała! Ona wróciła do Lundkowskich prawie nieżywa ze zmęczenia i z przerażenia! Połamaliście jej skrzydło, wyobrażasz



sobie, jaki to ból!? Zupełnie niepotrzebnie się nacierpiała! Boli cię rączka?

Przytaknęłam.

– A ją bolało sto razy bardziej! Za mądra z ciebie dziewczynka, żeby takie głupoty robić! Co wam przyszło do głowy?! Myśl na przyszłość, Natała! Myśl, bo głowę masz dobrą!

Babcia krzyczała dalej, ale ja już nie słuchałam. Dotarły do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, przeze mnie kaczka wylądowała jutro na stole Lundkowskich. Po drugie, jestem mądrą dziewczynką, potrafię samodzielnie myśleć. Następnym razem się zastanowię i nie narobię głupstw.

– Przepraszam, Jabuniu – powiedziałam.

– Nie mnie przepraszaj! Idź do pani Lundkowskiej i powiedz, co zrozumiałaś!

Pobiegłam czym prędzej.

– Dzień dobry! – zawołałam, wpadając na podwórko. – Zrozumiałam, że przeze mnie kaczka będzie na obiad, a ja jestem mądra i mam myśleć! Tylko dalej nie wiem, co to znaczy „zmrowić się”! Bardzo przepraszam – dodałam już spokojniej i wtedy dotarło do mnie poczucie winy. – Naprawdę nie chcieliśmy połamać jej skrzydeł.

Poczułam się jak ostatnia zbrodniarka. Pani Lundkowska podniosła się z klęczek i trzymając w dłoni zakrwawiony tasak, podeszła do mnie. Cofnęłam się odruchowo i zerknęłam na pień. Odcięta głowa kaczki straszyla rozwartym dziobem. Obok pieńka leżała reszta. Wybuchnęłam płaczem.

– No już, dziecko. – Lundkowska odrzuciła tasak i objęła mnie, przytulając moją głowę do przybrudzonego fartucha. – Nie trza tak płakać, no już. Jom już nie boli, a jutro będzie dobry obiadek. Przyjdź, to też se zjesz. Ona i tak od początku na mięso była.

Uspokoiliłam się w końcu, a Lundkowska wyjaśniła:

– „Zmrowiła się” znaczy narozrabiła. W szkodę weszła czy co. Pomidory obskubała albo buszowała w kapuście, albo cholera jom tam wie.

Długo nie mogłam zapomnieć widoku krwi i martwego ptaka.

– Jabuniu, zabiłam kaczkę – wyznałam i rozplakałam się na nowo.

Babcia już dawno przestała się na mnie gniewać i teraz spokojnie tłumaczyła:

– Natałko, nie ty zabiłaś, tylko pani Lundkowska, i to akurat nie jest niczym niezwykłym tu, na wsi. Myślałaś, że skąd się biorą kotlety albo kurczaki na obiad? Najpierw hoduje się ptaka, potem się go zabija. Jak w naturze. Lwy polują na gazy, koty łowią myszy. Tak jest ten świat urządzony. Ludzie też muszą jeść mięso. Ważne, żeby zwierzę cierpiało jak najmniej, rozumiesz?

Przyciśnięta do niej pokiwałam głową.

– I wiesz już, dlaczego źle postąpiłaś?

Posadziła mnie na stole, odgarnęła mi włosy i zwilżoną chusteczką wytarła moją zapłakaną buzię.

– Nie trzeba było uczyć jej wychowania – powiedziałam.

– Właśnie. Teraz zapamiętasz i drugi raz tak nie zrobisz. – Babcia nie zapytała, tylko spokojnie stwierdziła, jakby było zupełnie oczywiste, że jedna nauczka mi wystarczy.

Wystarczyła. Od tej pory ze wszystkimi zwierzętami obchodziłam się bardzo delikatnie i nie pozwalałam Lundkosiowi na żadną gwałtowność wobec psa, kury czy krowy. Ale na obiad do sąsiadów nie poszłam, choć Jabunia pozwoliła.

Ojciec był zadowolony ze stanu mojego zdrowia. Pobyt w Konopnicy dobrze mi zrobił, zapalenia płuc skończyły się raz na zawsze. Doktor potwierdził moją zwiększoną odporność i pozwolił na naukę w Warszawie. W pierwszej klasie miałam jednak więcej nieobecności niż obecności. Przerobiłam większość chorób wieku dziecięcego: ospa, różyczka, odra i świnka, wszystkie w ciągu jednego roku. Wakacje znów spędziłam u babci. Lundkoś przez dwa tygodnie biegał z przeziębieniem, ale mnie nie imają się miejscowe wirusy. Na początku września podśluchałam słowa ojca:

– Nie – mówił. – Nie pozwolę, żeby wychowywała się na wsi. Babka nie ma na nią dobrego wpływu. Tusia musi się nauczyć, co to znaczy być córką człowieka na poziomie. Tam nie nabierze właściwej ogłady. Choruje, to choruje. W tym wieku różyczka jest zupełnie naturalna. Nie będę więcej rozmawiał o wysłaniu jej do Konopnicy na stałe.

W drugiej klasie nie opuściłam ani jednego dnia zajęć. Zapalenia oskrzeli dostałam dopiero na początku wakacji, gdy ojciec zaplanował wyjazd na Węgry. Z westchnieniem przyznał:

– Nie ma sensu zabierać jej do Budapesztu z gorączką. Znów przeleży cały czas w hotelu i nici ze zwiedzania. Niech jedzie na wieś. Babka się nią zajmie.

Temperatura spadła następnego ranka, a po dwóch dniach nie było śladu po zmianach w oskrzelach. Babcia poprosiła o wizytę pediatrę, który osłuchał mnie starannie i stwierdził, że mogę szaleć, ile tylko mam siły.

Gdy podrosłam, jeździłam z ojcem na te jego zagraniczne wczasy i jakoś udawało mi się przetrwać dwa tygodnie mówienia cichym głosem, chodzenia prosto i jedzenia małymi kęsami. Nie chorowałam już, tylko spokojnie odliczałam dni do końca. Wiedziałam, że gdy turnus minie, zostanę odwieziona do Konopnicy na resztę wakacji. Oczekiwanie umilałam sobie prowadzeniem specjalnego pamiętnika dla babci, w którym opisywałam, co widziałam i gdzie byłam, żeby potem opowiedzieć jej to ze szczegółami.

Po pierwszej klasie liceum zaprosiłam do Konopnicy Patrycję. Pati początkowo kręciła nosem, wyobrażała sobie, że wieś to sama nuda. Nie miała jednak lepszej oferty; jej rodzice nie zawsze mogli pozwolić sobie na wczasy, a perspektywa spędzenia całego lata w Warszawie była dla dziewczyny jeszcze gorsza niż pobyt w Konopnicy.

Z babcią Patrycja dogadała się od razu. Już pierwszego dnia zmieniła zdanie na temat wiejskiej nudy i swoim zwyczajem obwieściła to całemu światu.

– Tu jest zaje... bardzo fajnie, pani babciu.

Jabunia roześmiała się i od tej pory Pati nie mówiła do niej inaczej. Gdy do dziadka odezwała się *per* proszę pana, obraził się okropnie i wręcz zażądał nazywania go „panem dziadkiem”.

– Co ty sobie wyobrażasz? Tak pomijać starszego człowieka?

– Jakiego tam starszego, panie dziadku! – oburzyła się Patrycja. – Mój star... mój tata mówi, że człowiek dopiero na emeryturze ma siłę cieszyć się życiem.

– Zawieziesz mu mojej wiśnióweczki – zdecydował natychmiast dziadek, dla którego Pati stała się wnuczką numer dwa.

Momentalnie odnalazła się na wsi. Radośnie przyznała, że absolutnie nie ma pojęcia o gospodarskich obowiązkach, i prosiła Jabunię, żeby wszystko jej pokazywała.

– Dlaczego, gdy pani babcia doi, to leci, a gdy ja próbuję, krowa tylko patrzy na mnie, jakbym jej cielaka zamordowała?

– Daj ręce, ściśnij, nie za mocno. Teraz dobrze. – Babcia kierowała dłońmi Patrycji, a ona chichotała jak mała dziewczynka, gdy mleko zaczęło wreszcie spływać do kubelka.

To w Konopnicy Pati po raz pierwszy śmiertelnie się zakochała i po raz pierwszy cierpiała przez złamane serce. Obiektem jej uczuć był nie kto inny, tylko Lundkoś. Ten sam, z którym uczyła kaczkę dobrych manier. Teraz niemal osiemnastoletni, był całkiem przystojny, a jego zaledwie podstawowe wykształcenie Patrycji zupełnie nie przeszkadzało.

– Ty, Nati, nie rozumiesz. Nie liczy się szkoła, liczy się serce. A moje bije teraz dla niego. O, posłuchaj. Bum-bum, bum-bum, Ma-ciek, Ma-ciek. Ja mam romantyczną naturę – tłumaczyła mi. – Dla mnie ważna jest tylko miłość.

Nie mogła mu darować, że zamiast ślicznej dziewczyny z miasta wybrał jakąś farbowaną na blond flądrę.

– Idziemy – zarządziła któregoś wieczora. – Będziemy ich śledzić. Chcę się przekonać na własne oczy, że on naprawdę woli ją ode mnie.

Z nas dwóch to ja byłam głosem rozsądku.

– Po co chcesz ich śledzić? Co ci z tego przyjdzie?

– Cicho. Pomóż przyjaciółce, a nie, wynajdujesz kłopoty.

Przestałam wynajdywać kłopoty, a Pati dostała to, czego chciała. A nawet więcej. Po pierwsze, zgodnie z życzeniem, naocznie przekonała się, że Lundkoś naprawdę woli farbowaną flądrę. Całował ją pod ścianą komórki na własnym podwórzu w sposób, który nie pozostawiał żadnych złudzeń. Po drugie, Pati miała niepowtarzalną okazję zasmakować prawdziwego cierpienia.

Wracałyśmy po ciemku wąską ścieżką prowadzącą od Lundkowskich do domu babci. Szłyśmy ostrożnie, bo po obu stronach rosły wysokie pokrzywy, których nie chciało się ścinać ani

pani Lundkowskiej, ani Jabuni. Latem na wsi nikt nie pilnował, czy ubieramy się przyzwoicie, więc obie miałyśmy na sobie krótkie spódniczki i koszulki na ramiączkach. Pati na przemian płakała i wygadywała inwektywy pod adresem znieawidzonego teraz Lundkosia.

– Cholerny dupek bez gustu. Nie widział tych jej odrostów? Na trzy centymetry miała. Pryszczata małpa.

– Gdzie ty pryszczę zauważyłaś w takim świetle?

– Zamknij się. Jak mówię, że pryszczata, to pryszczata.

Zamknęłam się posłusznie.

– Ona nie jest farbowana flądra. Ona jest niedofarbowana flądra z obrzydliwymi odrostami i syfami na pysku. Ona jest... Ożeż ty, w cholere, co to?

Całą ścieżkę zajmowało wielkie, śpiące krówsko Lundkowskich, które ułożyło się głową w jednym rzędzie pokrzyw i zadem w drugim. Wściekłość na Lundkosia z flądrami dodała Patrycji nowych sił i inwencji.

– Nie da rady tego ominąć – zdecydowała. – Idziemy górą. I tak śpi. Chrapie, słyszysz? Nawet nie drgnie, gdy sobie przez nią przejdziemy. Zresztą, nie ośmieli się mnie teraz skrzywdzić, bo już i tak wystarczająco cierpię.

Krowa uznała jednak, że cierpienie Pati w żaden sposób nie sięga odpowiedniego pułapu, i postanowiła pomóc. Gdy moja przyjaciółka przełożyła nogę przez grzbiet i niemal usiadła jej na zadzie, krowa poderwała się jednym szybkim ruchem. Odbyło się błyskawiczne rodeo. Pati wrzasnęła, krowa wydała z siebie ryk godny bawołu, ja zapiszczałam. U Lundkowskich zapaliło się światło i po chwili na dróżce stała pani Lundkowska, a także, ku rozpaczycy Patrycji, Lundkoś i niedofarbowana flądra. Pati zaś leżała, zgrabnie rozrzucona w poprzek ścieżki. Jej łydki i policzki prędko pokryły się bąblami od pokrzyw, a wszyscy zebrani mieli okazję podziwiać różowe majtki prosto z Warszawy.

– Pani babciu, to było potworne – płakała Pati, gdy babcia okładała jej bąble pokrojoną cebulą. – Lundkoś cały czas gapił się na moje figi, a farbowana flądra... wie pani babcia, co ona? Ona się śmiała. Zmija jedna. Żeby wyłysiała z tych blond odrostów.



Babcia także z trudem panowała nad twarzą, ale udało jej się zachować jako taką powagę. Dziadek, niestety, poległ. Roześmiał się szczerze i gromko, i podejrzewam, że tylko ze względu na mnie Pati powstrzymała się od wypowiedzenia na głos swojego zdania na temat męskiego rodzaju w ogóle, a niczego nierozumiejących panów dziadków w szczególności.

Na studiach udało mi się przekonać ojca:

– Miałaś absolutną rację z tą zmianą klimatu. Jestem już znacznie odporniejsza i nie łapię wszystkiego, co krąży w powietrzu, ale rozumiesz... studia to stres... Znowu się zacznie. Wiesz, jak wykładowcy patrzą na nieobecności na ćwiczeniach i wykładach. Co by pomyśleli o córce radcy, która uchyla się od obowiązków? Myślisz, że uwierzyliby, że tak często choruję? Powinnam dalej jeździć na wieś, tato.

Egzaminy zawsze zdawałam w zerowych terminach. Potem zagraniczny wyjazd z ojcem i już mogłam odpoczywać w Konopnicy. Wakacje po piątym roku pamiętam najlepiej. Najpierw Rzym. Cieszyłam się, że będę mogła porozmawiać po włosku. Ojciec kupił mi nowoczesny aparat fotograficzny i zamierzałam zrobić tyle zdjęć, ile tylko zdołam, żeby pokazać je babci. Po ostatnim egzaminie spakowałam walizkę. Zrobiłam to z samego rana na dzień przed odlotem, na tyle wcześnie, żeby mieć jeszcze czas na zmiany. Ojciec zawsze kontrolował mój bagaż, mówił, co mam dokupić, a potem musiałam pakować się od nowa.

– Tusi, dziecko – ojciec westchnął ciężko. – Znow nie tak. Nie możesz zabrać tych spodni. Po pierwsze, niezbyt dobrze prezentujesz się w dżinsach, a po drugie, po co w ogóle brać długie spodnie do Rzymu? Czy ty wiesz, jakie tam są temperatury latem? I co tu robi ta rzecz? – Wyciągnął prześliczną krótką sukienkę w kwiaty i trzymał ją przed sobą w dwóch palcach, jakby nie chciał się pobrudzić. – Co ty sobie myślałaś, Tusi? – zapytał bardzo spokojnie, ale patrzył na mnie tak, że miałam ochotę włożyć wełniany sweter i otulić się szalem. – Chciałaś się w tym ludziom pokazać? Poza tym ta walizka i tak jest za mała. Nie zmieścisz w niej wszystkiego, co jest potrzebne. Proszę jechać do sklepu

i kupić coś odpowiedniego. Zresztą, pojedę z tobą. Pewnie wybierzesz coś, co zaraz się rozpadnie.

Gdy wróciliśmy do domu, zaczął wyjmować ubrania z mojej szafy i patrzył, czy prawidłowo je składał i we właściwej kolejności umieszczam w walizce.

– Jeszcze to. – Podał mi zieloną marynarkę Chanel. – Chyba nie myślisz, że latem we Włoszech zawsze jest gorąco? A co, jeżeli pogoda się zepsuje? Będiesz paradować po Campo de' Fiori sina na twarzy? Proszę to zabrać. Nie, nie tak, Tusi, najpierw złóż rękawy do środka. – Spróbował podnieść mój bagaż i jęknął bardzo nieelegancko. – No i co ty tam napakowałaś, dziewczyno? Czy ty wiesz, ile to waży?

Nie miałam siły na kolejne poprawki.

– Ja to poniosę, tato, nie martw się – obiecałam, a on, ku mojemu zdumieniu, dał spokój. Może dlatego, że była już północ, a samolot mieliśmy o siódmej rano.

Bładym świtem to ja jęknęłam nieelegancko, ale dzielnie taszczyłam bagaż, nie pozwalając, by ojciec mi pomógł. Patrzył na mnie z dezaprobatą. To nie do pomyślenia, żeby kobieta dźwigała takie ciężary. To nie do pomyślenia, żeby ojciec kobiety dźwigał takie ciężary. To nie do pomyślenia, żeby kobieta nie umiała spakować się do mniejszej walizki. To nie do pomyślenia, żeby kobieta zabrała na wyjazd zbyt mało strojów i akcesoriów. To nie do pomyślenia... Na lotnisko dojechaliśmy w ciszy, a ojciec jednym spojrzeniem dał taksówkarzowi do zrozumienia, że nie powinien nas zagadywać i opowiadać o swojej podróży do Rzymu.

Zaraz po powrocie otrzymałam pozwolenie na zabranie mniejszej torby na miesiąc, który miałam spędzić w Konopnicy. Marynarka Chanel i buty kupione we Włoszech mogły zniszczyć się na wsi, toteż wolno mi było spakować zwyczajne adidas i dzinsy. Ucieszyłam się, bo twarde włoskie czółenka były naprawdę niewygodne. Ojciec uznał, że są bardzo odpowiednie dla córki prawnika, więc nie miałam wyjścia – musiałam je kupić i nosić. Nie wiedział i nie chciał nawet sobie wyobrazić, co pomyśli sobie Joachim, gdy zobaczy mnie w spodniach dla pospólstwa, ale byłoby bardzo nieładnie, gdybym obnosiła się z bogactwem w skromnym domu babci.

Ten wyjazd był dla mnie szczególnie ważny. Miałam przedstawić Jabuni narzeczonego. Ślub miał się odbyć we wrześniu i ojciec uznał, że wypada, aby w Konopnicy wiedzieli, z kim mam zamiar się związać. Joachim, pouczony przez ojca, także zdecydował się na skromniejszy ubiór. Szyty na miarę garnitur zostawił w domu, a na wieś wybrał się w zwyczajnej ciemnoszarej Vistuli i pospolitych skórzanych butach marki Gino Rossi, rezygnując z ulubionych Crockett & Jonesów. Tylko krawat wziął jedwabny, twierdząc, że nikt nie pozna, że to GF Ferré, a on będzie się lepiej czuł. Wtedy jeszcze czasami próbowałam przeforsować własne zdanie, więc starałam się go przekonać, że garnitur i pantofle nie są odpowiednie na podwórkowe błoto, ale Joachim wiedział lepiej.

– Nie mogę, Tusi, pokazać się jak nieokrzesany... wybaczone, proszę, sformułowanie... niechłuj. – Przygryzł wargę zawstydzony, że zmuszono go do użycia takiego określenia. – Twoja babcia gotowa pomyśleć, że nie potrafię się zaprezentować.

Popatrzył na moją dresową bluzę z kapturem i poprzecierane na kolanach dzinsy. Nie przejęłam się. Przed ślubem mogłam udawać, że nie rozumiem niuansów jego spojrzeń, a on nie czuł się na tyle pewnie, by otwarcie poprawiać mnie na każdym kroku.

– Dzień dobry, szanowna pani, szanowny panie – przywitał się sztywno z dziadkami.

Zauważyłam, że z trudem panuje nad nogą, by nie kopnąć skaczącego wokół Burasa – następcy nieżyjącego od kilku lat Mikusia. Kundel na szczęście szybko zrozumiał, że nowy gość nie oznacza nowych rąk do pieszczenia. Zajął się mną i dostał tyle głaskania, poklepywania po grzbiecie i pochwał pod adresem mądrego, dobrego pieska, ile potrzebował. Ja nie bałam się śladów psich łap na spodniach.

Mój narzeczony rozejrzał się po podwórku i zmarszczył nos. Wiejskie zapachy to nie był Gucci. Zwyczajna, udeptana ziemia także mu się nie spodobała, spodziewał się chyba równiutkiej, zamiecionej kostki na całej powierzchni. Idąc do domu po ułożonych z przerwami płytach chodnikowych, cały czas patrzył pod nogi i uważał, żeby ani centymetr skóry drogocennych butów nie zetknął się z wiejską gliną. Widziałam, że babcia jest skrepowana. Włożyła najlepszą sukienkę, ale przy Joachimie musiała czuć się jak

w roboczym fartuchu. Dziadek natychmiast zapalał antypatią do człowieka, który całym sobą okazywał wyższość. Ktoś, kto obraża jego ukochaną żonę choćby tylko wzrokiem, nie zasługiwał na miłe traktowanie.

– Natałko – spytała babcia, gdy Joachim poszedł do toalety – dlaczego on tak się wystroił? Sąsiedzi pomyślą, że przyszedł zawiadomić mnie o spadku po ciotce Mariannie.

Dziadek nie miał subtelności babci. Posadził Joachima za kuchennym stołem i udawał, że nie widzi, jak warszawski prawnik sprawdza starannie blat, zanim położy na nim ręce. Bezceremonialnie obmacał krawat pana radcy.

– Piękny, panie, piękny! – zawołał radośnie. – Niedwab, a? Też taki mam. Ale biorę go do kościoła, nie na co dzień.

Pobiegł do pokoju i po chwili zaprezentował oryginalny GF Ferré, wymachując nim Joachimowi przed nosem.

– Kupiłem na targu. Najpierw robił za smycz dla Mikusia, he, he, bo stara się popręła, ale potem Jadzia wyprała, wyprasowała i teraz wygląda zupełnie jak twój, panie Joachim.

Babcia spojrzała na dziadka zdumiona; nie przypominała sobie, żeby Mikuś kiedykolwiek chodził uwiązany na krawacie, który dziadek dostał jeszcze od swojego ojca. Nie powiedziała ani słowa. Jej mąż bawił się doskonale.

– Chodź, panie Joachim. Pokażę ci obejście.

Chwycił gościa za rękę, siłą zmusił do wstania i wyciągnął na zewnątrz.

– Jędrzej! – zaczęła babcia, ale dziadek mrugnął do niej z uśmiechem i babcia ustąpiła. Pewnie też uznała, że przyda się odrobinę utrzyć nosa miastowemu sztywniakowi.

Biedny Joachim brodził w błocie w Gino Rossich, a starszy człowiek z niespotykaną dla siebie zawziętością ganiał po podwórku i oprowadzał go po najbrudniejszych zakamarkach. Opowiadał rozwlekłe o każdej taczce i grabiach, które znalazł, posługując się przedziwną niby-gwarą, choć był odcytany i potrafił wysławiać się starannie. Dla Joachima stworzył jednak specjalny język stanowiący mieszanekę wszystkich możliwych zniekształceń.

– Zobacz, panie Joachim, to jest krowa. To krowa prawdziwe mleko daje. To, co pijeta z tych kartonów, to pomyje so, nie mleko.

Daj no skopka, udoim, to popróbujesz. Ej, daj no skopka.

Joachim rozejrzał się bezradnie.

– Tamte wiaderko szare. – Dziadek zrezygnowany machnął ręką i mój narzeczony, chcąc nie chcąc, musiał precyzyjnie się obok sterty siana i sięgnąć po naczynie. – Siadaj, panie Joachim. – Mocnym ruchem pchnął go na stołek. – Czytać, pisać umiesz, to i z krowo se poradzisz. Tu ciuńnij. – Wcisnął mu do ręki strzyk.

Babci krowa nie lubiła, gdy dotykano jej wymion poza porą dojenia. Joachim zerwał się jak oparzony, gdy wierzgnęła ostro zadnimi nogami. W ostatniej chwili złapał równowagę i uniknął upadku na brudną podłogę obory. Babcia zasłoniła usta dłonią. To od niej nauczyłam się udawać kaszel, gdy nie mogę powstrzymać śmiechu.

Wieczorem dziadek przeszedł samego siebie, ale babcia nadal nie oponowała, więc i ja milczałam.

– Siadaj, panie Joachim – wepchnął go za kuchenny stół. – Bimberku pociągniem, historii starego człowieka posłuchasz. Ja tu niiii mam z kim gadać, nikt nie chce słuchać o dawnych czasach. A to przeca i twoje czasy, nie? Przed wojno pamiętasz? Nie? A wyglondasz, jakbyś pamiętał. Nie pamiętasz, tym lepiej posłuchasz.

Przez długie godziny dziadek opowiadał najnudniejsze historie ze swojego życia i poił Joachima wiśniówką domowej roboty. Babcia, która w innej sytuacji dawno wygoniłaby go spać i kazała zostawić gościa w spokoju, gorliwie przynosiła kanapki i napominała:

– Polej, Jędrus, panu Joachimowi. Nie wypada, żebyś sam pił.

Dziadek miał mocną głowę i przyzwyczajony był do spirytusu. Chwalił się czasem, że za młodu przepił niejednego Ruskiego. Joachim nie miał takich doświadczeń. Obudził się z migreną i w paskudnym humorze. Gdy jako tako doszedł do siebie, wsiadł do samochodu i pojechał do Warszawy, choć początkowo zamierzał zostać parę dni. Dopiero wtedy mogłam spokojnie porozmawiać z Jabunią i dziadkiem. Usiedliśmy jak zawsze w kuchni, przy wciąż tym samym sosnowym stole. Firanki w oknie były inne, ale babcia nadal uwielbiała kwiatowe wzory.

– Natalko, jesteś pewna, że chcesz wyjść za tego człowieka? – zapytała.



– Dziewczyno – wtrącił się dziadek. – Znajdź kogoś, kto nosi nos nieco niżej. Przecież on nas traktuje jak obywateli drugiej kategorii tylko dlatego, że mieszkamy na wsi. Poza tym za stary jest dla ciebie. Gdy ty będziesz jeszcze młodą kobietą, on będzie stał nad grobem. Zostaniesz pielęgniarzką zamiast żoną.

– Kocham go – broniłam się.

– Naprawdę kochasz? Czy tylko ojciec powiedział ci, co czujesz?

Dziadek popatrzył na mnie szarymi, mądrymi oczami. Nie odzywał się zbyt często. Tylko dla Joachima specjalnie się wysilił, snując przez pół nocy nieciekawe wspomnienia. Na co dzień wolał ciche towarzystwo książek marynistycznych, a rozmowy zostawiał Jabuni. Kiedy jednak decydował się mówić poważnie, jego spostrzeżenia były niezwykle celne. Teraz też trafił w sedno.

– Natałko, nie możesz całe życie starać się zadowolić ojca. Masz swój rozum, zawsze miałaś. Dlaczego jesteś mu taka posłuszna? Skończyłaś dobre studia, znasz języki. Naprawdę musisz wiązać swoje życie z takim Rostowskim?

Skubałam bezmyślnie róg serwety i starałam się opanować łzy. Miałam wątpliwości co do tego ślubu. Nie byłam pewna uczuć Joachima, choć często powtarzał, że bardzo mnie kocha. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak daleko sięgał plan ojca. Gdyby nie sytuacja z Adamem, pewnie do dziś bym się nie dowiedziała.

– To dobry człowiek – odparłam w końcu. – Będzie o mnie dbał, da mi wszystko, czego zapragnę.

– Wszystko? – zapytała babcia. – A co to dokładnie jest to „wszystko”?

– No... bezpieczeństwo, dom, finanse...

– A miłość?

– Też.

Długo rozmawialiśmy i długo starałam się przekonać ich do słuszności mojego (ojca?) wyboru. Czy bardziej tłumaczyłam im, czy sobie, nie umiałam powiedzieć. Wreszcie babcia się zlitowała.

– Dość ponurych rozważań. Natałka jest mądra. Wybrała, znaczy, wie, co robi. Ale gdyby było ci źle – spojrzła na mnie – to nie oglądaj się na ojca, tylko przyjeżdżaj do nas. Tu zawsze znajdzie się dla ciebie pokój i miejsce przy stole.

Dziadek przytaknął kilkakrotnie. Co miałam zrobić? Rozpłakałam się, oczywiście, i Jabunia uznała, że racuchy są jedynym ratunkiem. Zaczęłyśmy obierać jabłka, a dziadek zabawiał nas tym razem wesołymi opowiastkami.

Obawiałam się, że to Joachim nie zechce się żenić. Nie po tym, jak został potraktowany. On jednak zdecydował się przypisać zachowanie dziadka jego prostocie i brakom w wykształceniu.

– To zupełnie zrozumiałe, Tusi – stwierdził z irytującą pobłażliwością – że ludzie ze wsi nie mają pojęcia o ogładzie. Twój dziadek to zwykły chło... zwykły rolnik, więc trudno od niego oczekiwać właściwego zachowania. Pewnie chciał być gościnny i dlatego uznał, że należy oprowadzić mnie po gospodarstwie, a potem poczęstować tym nieszczęsnym alkoholem. Mam nadzieję, że wykaże się podobną do mojej wyrozumiałością i nie będzie się spodziewał, iż stanę się częstym gościem w Konopnicy.

Po ślubie odwiedzaliśmy wszystkich ważniejszych znajomych i członków rodziny, których zaprosił ojciec. Wypadało osobiście podziękować za obecność na weselu i prezenty. Do Konopnicy pojechaliśmy na samym końcu. Najpierw nie było czasu, potem ja nie mogłam wyrwać się z wydawnictwa, a Joachim wsiąkł w obowiązki nowego wspólnika w kancelarii. Wreszcie uparłam się, że dziadkom także należą się podziękowania, wyjaśniłam mężowi, że kurtuazyjna wizyta w Konopnicy spodoba się mojemu ojcu, i zjawiliśmy się na wsi. Niemal rok po moim ostatnim pobycie. Mąż nie miał już obiekcji, by zaprezentować zamożność skromnym ludziom. Pojechał w angielskim, szytym na miarę garniturze, na nogach miał najnowszy model Crockett & Jonesów. Tylko krawaty GF Ferré przestał lubić i zadowolił się Pierre Cardinem. Od mojego stroju oczekiwał podobnych marek, ale udało mi się odmówić.

– O rany! – wykrzyknęły wiejskie dzieci, które zebrały się wokół naszego oliwkowego bmw. – Ale bryka, co nie?

– Nie dotykajcie. Możecie oglądać, ale ręce trzymajcie z daleka – oznajmił Joachim, a ja dostrzegłam w jego oczach zadowolenie, że może zaimponować umorusanym ośmiolatkom.

Babcia tym razem postarała się jeszcze bardziej. Kupiła groszkowy kostium, w którym prezentowała się naprawdę pięknie. Do tego nowa, odmładzająca ją o dobrych parę lat fryzura i fantazyjnie zawiązana pod szyją chusteczka. Dziadek wyglądał tak jak każdego innego dnia: płócienne spodnie, czysta, ale znoszona koszula i stare pepegi na nogach. Buras skakał jak oszalały i jakoś nikt nie próbował odgonić go od angielskich spodni mojego męża.

Zaraz za furtką przydarzyła się pierwsza wpadka. Buras musiał mieć chyba problemy z żołądkiem, bo jeszcze przed naszym przyjazdem „nie zachował się”, jak to określał dziadek, na samym środku ścieżki prowadzącej do domu. Odrobinę mnie zdziwiło, że ślady psiej niedyspozycji żołądkowej nadal leżały w przejściu, ponieważ babcia zwykle utrzymywała podwórko w nieskazitelnej czystości.

Dziadek uważnie patrzył, gdzie Joachim stawia nogi, i nagle wykrzyknął:

– Patrz pan, panie Joachim! Bociani przylecieli!

Pan radca zadarł głowę i zaraz podskoczył, czując, jak jego Crockett & Jones z plaśnięciem zagłębił się w kupę wiejskiego kundla.

– Ku... ojej – szepnął i natychmiast zaczął rozglądać się za jakąś kępą trawy, w którą mógłby wytrzeć kosztowną skórę.

– Dam ci jakie kaloszki, co, panie Joachim? – zaproponował zafrasowany dziadek. – Crockett & Jonesy to nie najlepsze buty na wiejskie brudy.

Zacząłam się zastanawiać, czy dziadek i tym razem pochwali się identycznym, naturalnie kupionym na targu obuwem, po raz drugi zmuszając Joachima do porzucenia ulubionej marki. Na szczęście nie zrobił nic takiego. Babcia znów dostała ataku kaszlu i zmuszona była przysłonić usta ręką. Poszłam za jej przykładem. W Warszawie czekałabym przerażona na reakcję Joachima; w Konopnicy całe zdarzenie wydało mi się niemożliwie śmieszne.

– Ogromnie się cieszę, żeś przyjechał, panie Joachim – oznajmił dziadek z błyskiem w oku. – Rok temu nazad tak dobrze się gadało, to i tera bimberku popijem. Wiem, że podobały ci się moje opowieści, to się uradujesz, bo mam ich całe mnóstwo jeszcze. Ale,

ale, zanim odpoczynek, roboty trochę trza uskutecznić. Chodź, panie Joachim, kuraka przytrzymasz, to zarżniem na obiad.

– Jędrzej! – wykrzyknęła babcia. – Dość tego! Obiad jest już gotowy, panie Joachimie. Kotlety schabowe. Kupione w sklepiku – dodała, widząc, że mój mąż niebezpiecznie blednie. – Bardzo dobre, świeże mięso. Zapraszam do domu.

– A tak, stara Kulejowa świniaka biła wczoraj – potwierdził dziadek. – A krwi było, panie Joachim, że żabką by można. Wieprzek darł się, aż go chyba w drugiej wsi słyszeli, ale Kulejowa łapy ma jak drwał, panie, nic jemu nie pomogło. Jak złapała nóż, taki wielki, wiesz, panie Joachim, rzeźnicki, to ino raz ciachnęła...

Jabunia spojrzała tak, że musiał w końcu zamilknąć. Prychnął niezadowolony, ale nie opisywał już świniobicia ze szczegółami. Kochany dziadek! Zawsze był gotów podzielić się ostatnią kromką chleba, gdy kogoś polubił, ale umiał uderzyć w najczulsze miejsce człowieka, którego nie akceptował. Joachim naraził mu się od pierwszej chwili. Tym, że demonstrował swoją zamożność i pozycję, i że patrzył niechętnie na prosty dziadkowy ubiór. Tym, że nie stać go było na zdawkowy choćby komplement wobec babci i że ani razu nie pogłaskał łaszącego się do niego Burasa. W oczach dziadka ten napompowany pychą bubek nie nadawał się na męża nie tylko ukochanej wnuczki, ale żadnej kobiety w ogóle. Nie powiedział mi tego, szanując mój wybór, wiedziałam jednak, że jeśli komukolwiek dziadek zalecałby skorzystanie z dobrodziejstw celibatu, to właśnie Joachim otwierałby i zamykał tę listę. Było mi odrobinę przykro, miałam nadzieję, że panowie znajdą wspólny język. Z drugiej strony, po roku małżeństwa nie dziwiłam się dziadkowi.

Wieczorem, gdy Joachim położył się w pokoju na górze, a ja wychodziłam z łazienki, usłyszałam babcinego „ratlerka”:

– Co ty wyrabiasz? Stary a głupi, aż się tyłek marszczy. Po co mu tak dokuczasz? Natalię ranisz w ten sposób, nie jego, rozumiesz? On tylko myśli, żeś chłop niedouczony, bez żadnej ogłady. A Natalka świeci za nas oczami przed mężem.

– Ale, Jabuniu... – Dziadek uznał chyba, że czas na moje metody udobruchania babci. Nie podziałało.

– Ty mi tu z Jabunią nie wyjeżdżaj. Takiego sobie męża wybrała, takiego ma. A nam nic do tego. Okaż mu trochę szacunku, choćby

tyle, żeby zobaczyć, że stać cię na to. Z psią kupą to naprawdę była przesada.

– Sama się śmiałaś – odparł dziadek, któremu zabrakło odwagi, by przypomnieć, że to Jabunia w pierwszej kolejności nie sprzątnęła efektów Burasowego rozstroju.

– Wcale się nie śmiałam. Coś mnie zadrapało w gardle, zakaszlałam.

– Aha, a Natalkę zadrapało dokładnie w tym samym momencie.

– Oj, daj już spokój – mruknęła Jabunia, ale w jej głosie zadźwięczał śmiech.

– Piękna jesteś, wiesz. – Usłyszałam dziadka. – Choć wolałbym, żebyś stroiła się dla własnego kaprysu, a nie dla tego wypucowanego prawnika w butach za moje miesięczne dochody.

– A dla ciebie nie mam się stroić?

– Dla mnie jesteś Wenus nawet w tym fartuchu, w którym sprzątasz oborę – odparł dziadek.

Wycofałam się szybko, bo nagle poczułam się jak intruz. Wyobraziłam sobie nas po tylu latach. Czy będę umiała zdobyć się na zalotność wobec Joachima? Czy on będzie traktował mnie tak, jak dziadek odnosi się do Jabuni? Dziś już znam odpowiedź.

Dziadek wziął sobie do serca babcinego „ratlerka” i rano całkowicie zrehabilitował się w oczach Joachima. Nie zaproponował wprawdzie, żeby mówili sobie po imieniu ani nie zaczął traktować mojego męża jak wnuka, ale też nie sędzę, żeby Joachim miał ochotę na takie poufałości. Dziadek usiadł przy stole w kuchni i postawił dwa kubki kawy. Jeden przesunął w kierunku gościa, na drugim splótł dłonie.

– Wie pan, panie Joachimie – powiedział zupełnie zwyczajnie, bez wiejskich naleciałości. – Natalia bardzo dużo o panu pisała. Wygląda na szczęśliwą, więc i ja jestem zadowolony, że znalazła w panu dobrego męża i partnera.

Joachim uprzejmym uśmiechem pokrył zaskoczenie, a dziadek mówił dalej:

– To bardzo ładnie z pana strony, że do każdego jej listu dołącza pan życzenia dla nas.

Z własnej inicjatywy dopisywałam parę miłych słów w imieniu męża i dziadek doskonale o tym wiedział – przecież w listach nie było nawet własnoręcznego podpisu pana radcy. Joachim najdrobniejszym drgnieniem twarzy nie dał poznać, że pierwsze słyszy o tych pozdrowieniach. Chodziło o przełamanie lodów i obaj mężczyźni grali w grę „Nie lubię cię i dobrze o tym wiesz, ale dla dobra Natalii nawiążmy jakąś nić porozumienia”.

– Wnuczka pisała, że piastuje pan bardzo poważne stanowisko. Prawnik to zawód wymagający ogromnej wiedzy i odpowiedzialności, prawda? Proszę mi o tym opowiedzieć.

Joachim mówił długo i chętnie, a dziadek wyglądał na zainteresowanego i zadawał bardzo sensowne pytania.

Jakiś czas potem, gdy pisałam list do Konopnicy, mąż zajrzał mi przez ramię i poprosił:

– Dopisz, Tusi, że życzę im zdrowia i że z przyjemnością wspominam nasze ostatnie spotkanie. Albo może daj, sam dopiszę...

To rzeczywiście było nasze ostatnie spotkanie. Dla dziadka. Zmarł nagle na atak serca kilka miesięcy po naszych odwiedzinach. Joachim był naprawdę cudowny. Pocieszał mnie, gdy płakałam, pomógł babci z urzędowymi formalnościami, woził mnie pod Rawę co piątek i odbierał w niedzielę wieczorem. Załatwił dziadkowi pochówek na warszawskiej Wólce. Starszy pan zawsze powtarzał, że choć kocha swoją wieś, wечно odpoczywać chce z rodziną ze stolicy. Jeśli nie w tym samym grobie, to chociaż na tym samym cmentarzu.

Parę lat później zachorowała babcia. Gdy lekarze stwierdzili nowotwór trzustki, było już za późno na leczenie. Rak rozprzestrzenił się w całym organizmie. Joachim znów się włączył i tym razem zorganizował hospicjum w Warszawie. Nie wiem, jak to zrobił i komu zapłacił, ale babcia mogła tam przebywać znacznie dłużej niż inni pacjenci. Trafiła pod opiekę ośrodka, gdy jeszcze mogła samodzielnie chodzić, choć zwykle w takich miejscach przyjmują ludzi w ostatniej fazie choroby. Miałam żal do wszystkich. Ojciec nie chciał wziąć Jabuni do siebie, Joachim kategorycznie odmówił goszczenia jej u nas. Tłumaczyli to jej dobrem, brakiem odpowiednich warunków i specjalistycznej opieki

w domu, ale ja wiedziałam, jakie są prawdziwe przyczyny. W eleganckich mieszkaniach radców prawnych nie ma miejsca na chorobę, brzydki zapach i zmianę pieluch, nawet gdyby miała to robić wynajęta na całą dobę pielęgniarka. Odwiedzałam babcię codziennie po pracy, czasem nawet urywając się wcześniej, żeby mieć dla niej więcej czasu. Wtedy jeszcze wydawnictwu przesowałam znajomy ojca, więc nie obawiałam się zwolnienia.

Jabunia gasła z dnia na dzień. Czasem nawet mnie nie poznawała i prosiła:

– Kasiu, dbaj o Natalkę. To takie wrażliwe dziecko.

– Dobrze, obiecuję, że będzie szczęśliwa – odpowiadałam, a w gardle miałam wielką kluchę.

Miewała też i lepsze dni. Wspominała szczęśliwe czasy, opowiadała o swojej młodości, o tym, jak poznali się z dziadkiem i jak się jej oświadczył:

– Zawsze powtarzałam, że wyjdę tylko za rycerza na białym koniu. I wiesz, co ten wariat zrobił? Pojechał do Rawy, ubłagał kierowniczkę domu kultury, żeby pozwoliła mu przejrzeć garderobę amatorskiego teatru, i wypożyczył strój. Wprawdzie nie mieli rycerskiej zbroi, ale i tak dziadek prezentował się wspaniale. Przyjechał na oklep na siwku Gradowskich. Bez siodła, bo siwek chodził wyłącznie przy wozie, ale Jędrzej uznał, że taki drobiazg nie stanie na drodze do jego szczęścia. Zatrzymał rumaka pod moimi oknami. Na nogach miał białe pończochy, które wypchał jakimiś gałganami, bo łydki zawsze u niego chude były. Do tych pończoch włożył pludry, takie krótkie, do pół uda, i dublet z baskinką. A potem, jak siedział na grzbiecie konia, tak z niego zjechał prosto w rozmiękłą glinę. I klęczał przede mną cały utyłany. No to co miałam powiedzieć? Nie zgodzić się? A kto by mu wyprał to przebranie? Za to potem mogłam mu wypominać, że narzeczeństwo rozpoczęłam od czyszczenia jego gaci, więc teraz już nic nie muszę pracować.

To była ostatnia opowieść Jabuni. Przez kolejne dni przeważnie spała. Dopiero pod sam koniec ocknęła się na chwilę.

– Przyjechał do mnie Jędrzej na białym koniu. Jeszcze dziś odjedziemy razem, Natalko. A ty nie płacz. Będzie dobrze, zobaczysz. Jesteś mądra dziewczynka, takie piękne świadectwo



przyniosłaś. Powymyślaj nowe bajki dla Czochranej, bo nie da nam mleka.

Trzymałam ją za rękę, gdy umierała, a ona... ona była uśmiechnięta. Miała otwarte oczy, ale nie widziała już sali w hospicjum i mojej mokrej twarzy. Rozmawiała z dziadkiem i głaskała chrapy siwka. Gdy odeszła, poczułam się nagle straszliwie samotna. Nie rozumiałam dlaczego. Przecież miałam Joachima, ojca... A jednak czułam, że po śmierci Jabuni zostałam zupełnie sama. Chwilami próbowałam sobie wyobrazić, co na moim miejscu zrobiłaby Patrycja. Co by myślała, jak poradziłaby sobie w takiej sytuacji. Ona zawsze potrafiła być silna. Żałowałam, że w czasie studiów widywałyśmy się tak rzadko. Joachimowi nie podobała się jej spontaniczność, według niego był to przejaw całkowitego braku kultury. Wtedy jeszcze byłam mężowi bardzo posłuszna. Potem Pati zniknęła i nie potrafiłam jej odnaleźć. Mogłam tylko tęsknić.

Siedziałam w jasnej, dużej sali lekcyjnej. Przy biurku tkwił nauczyciel, drugi chodził między rzędami ławek. Pisałam egzamin wstępny do liceum. Matematyka. Rozwiązałam już zadania i wiedziałam, że wszystko mam dobrze. Chciałam jeszcze tylko sprawdzić, czy na pewno umieściłam swoje dane osobowe, i mogłam wyjść. Dużo przed czasem.

– Szlag by to trafił. – Usłyszałam szept.

Dziewczyna siedząca ze mną w ławce kolejny raz przekreślała wyniki i bezradnie machała długopisem.

Sięgnęłam po chusteczkę. Udając, że wycieram nos, szepnęłam:

– Daj tu „a do kwadratu” i teraz wyprowadź wzór. – Wzięłam pióro i pochyliłam się nad swoją kartką. Potrzebowałam pretekstu, żeby zostać dłużej. Zerknęłam na jej równania. – Dobrze, teraz „b do trzeciej”. Uwaga!

Jeden z egzaminatorów zbliżał się do nas, więc zaczęłam podkreślać odpowiedzi, żeby były bardziej czytelne.

– W drugim „x” jest równe „17” – powiedziałam z chusteczką przy twarzy, gdy nauczyciel odszedł do następnego rzędu. Dla lepszego efektu kichnęłam głośno i jednocześnie mruknęłam: – W trzecim nie licz górnej ściany. To jest akwarium, nie cała bryła.

– Skończyłaś już? – Pilnujący nas nauczyciel stanął tuż nade mną.

– Owszem, panie profesorze – uśmiechnęłam się tak, jak uśmiechałam się do ojca, gdy chciałam przekonać go do jakiegoś swojego pomysłu – ale muszę jeszcze sprawdzić, żeby mieć pewność, że wszystko zrobiłam.

– To patrz na swój arkusz.

Pokiwałam głową. Przecież patrzę. Nie moja wina, że mam katar. Wstałam wreszcie i narobiłam mnóstwo szumu, gdy niechcący zrzuciłam torbę na podłogę.

– W czwartym to zwykły Pitagoras – powiedziałam, zbierając rozrzucone rzeczy i wykorzystując spowodowane przez siebie zamieszanie. – Weź dane z trójkąta.

Wyszłam i usiadłam na długiej, niskiej ławce na korytarzu. Ściany do połowy pomalowane na zielono, a wyżej, do sufitu, na seledynowo, podłoga kryta ciemnoszarą płytką PCV, zapach świeżych chemikaliów – to będzie moja szkoła. Wiedziałam, że się dostanę, ale i tak musiałam trochę ochłonać.

Minęło piętnaście minut i wszyscy opuścili salę.

– Dzięki. – Usłyszałam. Dziewczyna, której pomogłam, usiadła obok mnie. – Cholera, matma to zawsze był mój koszmar. Zgłupiałam nad tą kartką. Dzięki – powiedziała jeszcze raz. – Jestem Patrycja.

– Natalia.

Uścisnęłyśmy sobie ręce.

– Jaki profil?

– Humanistyczny.

– Ja też. Z taką matmą na biol-chemie przetrwałabym może tydzień, maks. O mat-fizie nie wspomnę.

Przyjrzałam się jej. Już wtedy bardzo się różniłyśmy. Ja wyglądałam jak uczennica przedwojennej pensji dla panien: granatowa spódnica, biała bluzka z kołnierzykiem, brązowe włosy zaplecione w warkocz, równiutka grzywka na czole. Twarz miałam nietkniętą makijażem, na nogach praktyczne, toporne buty wiązane na grube sznurówki. Jasna grzywka Patrycji była utrwalona lakierem i uczesana na modnego wtedy alfika, rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Dziewczyna miała na sobie krótką, czarno-białą sukienkę i pantofle na niewielkim obcasie. Paznokcie pomalowała na perłowo, rzęsy pociągnęła czarnym tuszem. Pachniała delikatnym, kwiatowym dezodorantem. Mnie wolno było używać tylko bezzapachowego. Patrycja szła do klasy humanistycznej z nienawiści do matematyki i chemii. Ja uwielbiałam literaturę i poezję, a na angielski mogłabym w ogóle nie chodzić. I tak zdałabym maturę śpiewająco.

– Dobra, leczę – rzuciła Patrycja. – Muszę to jakoś odreagować, bo pierdolca dostanę. To na razie, cześć. Może spotkamy się w klasie.

I rzeczywiście, obie trafiłyśmy do klasy A, ale nie od razu zostałyśmy przyjaciółkami. Ona natychmiast odnalazła się wśród dziewczyn, ja byłam outsiderką.

– Słuchaj – podeszła do mnie w listopadzie – może się na mnie obrazisz, ale i tak ci powiem. Nie lubią cię, bo jesteś okropnie sztywna i zawsze wszystko wiesz. Wyluzuj trochę. Nie wiem, złap jakąś pałę, zrób z siebie idiotkę, ale wyluzuj, bo cię obgadują. A szkoda, bo całkiem fajna jesteś. Pomogłaś mi wtedy na matmie, to i ja ci pomogę. Wkręcę cię na imprezę u Aśki.

Ojcu powiedziałam, że rodzice koleżanki wyprawiają jej urodziny i zaprosili wszystkie dziewczyny z klasy. Oczywiście, sami też będą w domu.

– Kim są ci ludzie? – zapytał.

– Tata jest ordynatorem neurologii – skłamałam. – A mama nie pracuje.

Mogłam iść.

Najpierw poszłyśmy do Patrycji. Musiałam się przebrać, bo stwierdziła, że nie o taki rodzaj idiotki jej chodziło. Beżowa sukienka na guziki nie nadaje się do tańca. Pożyczyła mi obcisłe, czarne legginsy, do tego czerwoną tunikę z cekinami. Rozpuściła mi włosy i kazała machać nimi jak najczęściej, na grzywce zrobiła alfika. Jeszcze nigdy nie wyglądałam tak dobrze. Jak zwyczajna piętnastolatka, a nie zmęczona życiem czterdziestka. Tylko buty musiałam mieć swoje, bo Patrycja miała mniejszą nogę.

– Trudno – zdecydowała. – Powiesz, że specjalnie je wybrałaś, bo to taki styl. Zresztą, czekaj, moja stara ma podobne, to pożyczę.

Włożyła brązowe, sznurowane półbuty na grubej podeszwie.

– Cześć wam! – zawołała od progu mieszkania Aśki. – Zobaczcie, jakie fajne buty mamy z Nati! Najnowsza moda. Genialnie pasują do legginsów, nie?

Wcale się nie zdziwiłam, gdy następnego dnia połowa dziewczyn przyszła w takich samych.

Od tamtej pory trzymałyśmy się razem. Wyluzowałam w klasie, dawałam ściągac i tłumaczyłam lekcje. Kiedy ktoś podśmiewał się z moich ubrań, Patrycja natychmiast się wtrącała:

– Wydziwiasz, bo zazdrościsz. Ma dziewczyna styl, co chcesz? Oryginalna jest. Poza tym, moja droga, to prawdziwa Chanel, wszystkie gwiazdy takie mają. Stać cię? To nie gadaj.

Zostałyśmy Pati i Nati, a dziewczyny zaczęły nas traktować, jakbyśmy były zrosnięte biodrami.

– Imprezkę robię. Będą Marta, Aśka, Gośka, Pati i Nati, z chłopaków: Piotrek, Robert i chyba Michał.

Nawet nauczycielom się zdarzało:

– Kto jedzie do Żelazowej Woli? Jolu, ty? Jacek? Pati i Nati? Zapiszcie się na listę.

Przez całe liceum ojciec żył w błogim przekonaniu, że rodzice moich koleżanek to w większości ludzie na stanowiskach. Sami dyrektorzy, ordynatorzy i prezesi. Tylko prawnikiem żaden nie był, bo bałam się, że ojciec jeszcze zechce któregoś poznać. Ich córki urządzały eleganckie spotkania, na których rodzice zawsze byli obecni: garden party, popołudniowe koktajle (naturalnie bezalkoholowe) i wieczorki poetyckie przy świecach – bardzo odpowiednie dla panienek z dobrych domów. Chłopcy nie robili przyjęć i nie przychodzili na zabawy dziewcząt. Mogłam „bywać”. Chodziłam na imprezy taneczne, grille, czasem do klubu. Wtedy mówiłam, że to urodziny córki szefa radiologii albo kierownika zakładu PAN, i dostawałam całkiem niezłe pieniądze na prezent. Miałam na wstęp do dyskoteki i zostawało mi jeszcze na zagraniczne czasopisma z empiku.

Pati szybko odkryła mój aktorski talent i przedstawiła go reszcie w taki sposób, że nagle wszyscy mnie polubili. Niektórzy nawet prosili o lekcje poglądowe.

– Nati potrafi absolutnie kontrolować twarz. Opowie kawał i nawet mięsień jej nie drgnie. Przy łzawym romansie nie zapłaczę, ale jak trzeba, to ryczy na zawołanie albo wybucha najszczerzym śmiechem. Marcin do tej pory myśli, że jego głupie dowcipy ją bawią.

– No i co? – zapytała kiedyś Marta.

– No i co?! Głupia jesteś?! No i to, że jak coś takiego opanujesz, to będziesz mogła łącać nawet na gegrze, że się nie przygotowałaś, bo ci kotek umarł. Opowiesz facetce, jak konał na twoich rękach, a ty rozpaczałaś. Łezkę uronisz. Zobaczysz, przez tydzień cię nie zapyta i będziesz miała spokój.

Jednego Pati nie wiedziała, a ja nigdy się z tego nie zwierzyłam. Wmawiałam jej, że moje zdolności mimiczne są wrodzone. Nie przyznałam się, że to ojciec wytrwale pracował nad ich ukształtowaniem, wymagając ode mnie stoickiego spokoju niezależnie od sytuacji. Każdy moment był dobry, aby przypomnieć mi o tym, co stosowne, a co wykracza poza konwenanse. Jak wtedy, gdy...

Miałam jedenaście lat, wracałam ze szkoły. Doszłam do jezdni i spokojnie czekałam na zielone światło.

– Tofik! Tofik! – Usłyszałam nagle dziecięcy głos i odwróciłam się gwałtownie. Jakiś chłopiec, siedmioletni na oko, wyrwał się w kierunku ulicy. Matka w ostatniej chwili złapała go w pasie i zatrzymała.

– Tofik! – krzyknęła.

Oboje z napięciem wpatrywali się w jezdnię. Ja też popatrzyłam i potem długo żałowałam swojej ciekawości. Pomiedzy samochodami, oślepiiony przerażeniem, miotał się brązowo-czarny kundelek.

„O Boże, zaraz go rozjadą – pomyślałam. Zamarłam w nadziei, że piesek jednak się uratuje, że kierowcy go zauważą i samochody staną. Ale one pędziły jak na autostradzie, coraz bardziej niweczając szansę na ocalenie biednego stworzenia. – Biegnij na drugą stronę – ponaglałam go w myślach. – Biegnij, mały, uciekaj stąd!”.

Jakby mnie usłyszał. Ruszył przed siebie i... nie zdążył.

Do końca życia nie zapomnę tego dźwięku. Najpierw ciche stuknięcie, które dla mnie zabrzmiało jak huk, jak wystrzał. Potem paskudny, płaskający odgłos. Krótki skowyt, krew, drgające łapy. I płacz. Głośny, histeryczny płacz chłopca, kobiety i mój.

Zabłyśło zielone, ruszyłam biegiem. Chciałam do domu, chciałam, żeby ktoś mnie przytulił.

– Tusi, co to za zachowanie? – przywitał mnie ojciec w progu.

– Widziałam... ciężarówka... przejechała pieska. Takiego malutkiego – zanosłam się szlochem. – Tato, to było okropne, on tak... on... tak ruszał łapkami... krew... Tofik.

Nie mogłam złapać tchu.

– Cóż... Rzeczywiście przykre, ale to nie jest powód do takiej hysterii, Tusi – stwierdził mój tatuś. Pogłaskał mnie niezgrabnie po

głowie. – No już, proszę się uspokoić, tak, tak, już dobrze. A teraz proszę iść do łazienki i spojrzeć na swoją twarz. Czerwona i zapuchnięta. No, Tusi, dziecko drogie. Czy ty pomyślałaś, że ludzie na ciebie patrzą? Wstyd.

Na siłę wepchnął mnie do łazienki. Odkręcił zimną wodę i opryskał mi twarz.

– Już. Spokój – polecił.

Musiałam się opanować. I doprowadziłam tę umiejętność do perfekcji.

Kiedyś przyszli do nas goście. Byłam trochę starsza, miałam dwanaście, może trzynaście lat. Pani Hanna pół dnia przygotowywała wymyślne potrawy. Między innymi małże. Ojciec sięgnął po kolejną muszlę i pomagając sobie połówką poprzedniej, otworzył ją dokładnie tak, jak należy to robić w towarzystwie. Rozmowy przy stole akurat się urwały, przez chwilę panowała idealna niemal cisza. I w tej ciszy, wśród spojrzeń państwa Drawskich, sędziego Bekera i profesora Jaczyńskiego, ojciec siorbnął głośno, a potem odsunął się gwałtownie, gdy zawartość skorupki wylądowała mu z chlupotem na talerzu i opryskała sosem obrus i jego białą koszulę. Wtedy byłam już dobrze wytrenowana. Rozluźniłam mięśnie twarzy, tak by nie czuć najmniejszego nawet napięcia, i natychmiast zaczęłam myśleć o jutrzejszym sprawdzianie. „Władysław Łokietek urodził się w 1260 lub 1261 roku, badacze nie są co do tego zgodni. Jego pełny tytuł to: Władysław z Bożej łaski król Polski, pan i dziedzic ziemi krakowskiej, sandomierskiej, łęczyckiej, Kujaw i ziemi sieradzkiej”. Udało mi się nie roześmiać. Mecenase Drawski nie miał następnego dnia klasówki z historii, więc nie powstrzymał krótkiego chichotu. Ale jemu bardziej wypadało niż mnie. Mecenasowi Drawskiemu ojciec przenigdy nie zarzuciłby braku etykiety.

W moim rodzinnym domu Pati była tylko raz. Podobało jej się duże, staroświecko urządzone mieszkanie, podobał jej się mój pokój, choć zdziwiła się, że nie mam na ścianach żadnych plakatów. Powiedziałam, że nie przepadam za większością zespołów. Przemilczałam, że ojciec chyba by mnie wydziedziczył, gdybym zapaskudziła wnętrze wycinkami z gazet.



Potem już nie wolno mi było zapraszać Patrycji. Ojciec sobie tego nie życzył. Jej rodzice prowadzili niewielki sklepik spożywczy. Było oczywiste, że córka sklepikarza nie może być dla mnie odpowiednią koleżanką. Nie umiała się zachować, była głośna i nieokrzesana.

– Proszę jej tu więcej nie przyprowadzać, Tusi – oznajmił mi tego dnia, gdy Patrycja zawołała na widok jego domowego stroju:

– Jeju drogi! Matka nigdy nie pozwoliłaby staremu chodzić po domu w butach i wyjściowym garniturze!

Decyzja ojca nie podlegała negocjacom. Rozmawiając z Pati, próbowałam wymyślać różne kłamstewka, ale była jedną z nielicznych osób, które potrafiły wyczytać prawdę z mojego kamiennego oblicza. Gdy piąty raz z rzędu miałam remont, gości albo ojciec przygotowywał się do rozprawy, przerwała mi:

– Daj spokój, Nati. Wiem, że twój stary mnie nie cierpi. I spoko, ja też za nim nie przepadam, bez urazy. Będziemy siedzieć u mnie, a Zuzce jakoś wyjaśnimy, że ma nie sterczeć pod drzwiami.

Zuzka to młodsza o pięć lat siostra Patrycji. Czasem do nas dołączała, ale częściej twierdziła, że jesteśmy nudne, bo ciągle gadamy o chłopakach. No i zdarzało jej się podsłuchiwać, a potem szantażowała Pati, że albo odrobi za nią polski, albo Zuzka powie mamie, że Pati znów się zakochała.

Po maturze przyrzekłyśmy, że o sobie nie zapomnimy.

– Na mały palec, Nati, przysięgaj, że choćby nie wiem co, choćbyśmy wylądowały na dwóch krańcach świata, pozostaniemy przyjaciółkami.

– Na mały palec, przysięgam – powiedziałam uroczyście i wysunęłam dłoń z odgiętym palcem.

– Na mały palec, przysięgam – powtórzyła Pati i zahaczyła swoim palcem o mój.

Mocnym ruchem strzepnęłyśmy ręce. Rytuał dopełniony.

– No. A jak pojedziesz do Konopnicy, to wyściskaj ode mnie panią babcię i pana dziadka. Możesz szepnąć, że tato wypił już całą wiśnióweczkę. – Roześmiała się.

Tego roku nie mogła jechać ze mną. Miała rozpocząć pracę w sklepiku rodziców, żeby odłożyć trochę pieniędzy na zaoczne studia.

– Zarządzanie, moja droga, to przyszłość. I od razu będę miała trening. Pozarządzam sobie chlebem na półkach i chipsami w torebkach, to potem z ludźmi pójdzie mi jak z płatka.

W czasie studiów spotykałyśmy się bardzo rzadko. Ja codziennie byłam na zajęciach, Pati do wieczora pracowała w sklepie, w weekendy ona z kolei się uczyła.

Gdy obie obroniłyśmy prace magisterskie, poszłyśmy na obiad do restauracji hotelu Victoria, żeby to uczcić. W domu powiedziałam, że koleżanka z roku, której ojciec był profesorem na uniwerku, urządza spotkanie z okazji ukończenia studiów. Naprawdę nie wypada nie iść, bo co pan profesor pomyśli, gdy zobaczy, że córka radcy Rawicza jako jedyna pogardziła jego zaproszeniem. Zresztą, przez całe studia ciągnęłam model z liceum.

– Wiesz, tato, teraz po prostu jest w dobrym tonie, żeby dziewczyny urządzały spotkania. Oczywiście, dotyczy to wyłącznie tych osób, których rodzice coś osiągnęli. Te z gorszych domów chodzą do dyskotek, ale z takimi się nie zadaję.

Problemem było również zdobycie niezbędnych funduszy. Ojciec uważał, że przyzwoite kieszonkowe tylko mi zaszkodzi. Wydam na głupstwa albo jeszcze zrobię sobie krzywdę, kupując coś nieodpowiedniego. Dostawałam grosze na chusteczki i bezbarwną pomadkę ochronną. Oszczędzałam tygodniami i kupowałam książki. Kiedy potrzebowałam większej kasy, wymyślałam urodziny. Dzięki temu mogłam się czasem zabawić, idąc z grupą do pubu lub na tańce.

Gdy dostałam pracę, Patrycja cieszyła się jak szalona.

– Fantastycznie, Nati. Zobaczysz, powalisz ich na kolana. Redaktorka w wydawnictwie, za-je-biś-cie. Mam teraz mówić do ciebie „pani redaktor”?

– To maleńkie wydawnictwo – tłumaczyłam. – Ale wreszcie będę miała własne pieniądze. Też zresztą małe.

– I co z tego? Super, jak na pierwszą pracę. Potem sama będziesz chciała zmienić, bo wiesz o wiele więcej, niż ci tam potrzeba. Po kulturoznawstwie możesz pracować wszędzie. A każdy, kto zobaczy

twój dyplom, na kolanach będzie zebrał, żebyś się u niego zatrudniła. Machnij im jeszcze przed nosem certyfikatem z angielskiego i włoskiego, i zobaczysz: trupem padną. A jak dowalisz ruski, to zmartwychwstaną tylko po to, żeby cię w pięty całować – trajkotała szczęśliwa, jakby sama miała zostać panią redaktor. Zawsze taka była. Cieszyła się moimi sukcesami jeszcze bardziej niż własnymi. – Ja nie do końca wiem, co chcę robić – przyznała. – Powiem szczerze, podoba mi się praca w sklepie. Teraz właściwie całkiem przejęłam jego prowadzenie. Wiesz, te wszystkie pierępały z zamówieniami, z dostawcami to mój żywioł. Nie wiem, czy do końca życia chcę tkwić w spożywcym. Może wolałabym własną drogerię albo butik, zobaczymy. Ale podoba mi się to.

Tak samo cieszyła się, gdy jeszcze w czasie studiów opowiedziałam jej o moim narzeczonym.

– Uuu, Joachim, doskonałe imię. Święty Joachim – dziadek Jezusa, Joachim Lelewel, Joaquin Phoenix, wiesz, brat Rivera Phoenixa, zresztą też aktor. Doborowe towarzystwo. No, dawaj o tym swoim „nabręczonym”.

Opowiedziałam, jak umiałam najlepiej. Była zachwycona. Do momentu, w którym poznała go osobiście.

– Dzień dobry, pani Patrycjo – przywitał się Joachim i chciał pocałować ją w rękę, ale niestety, podała ją do uścisku i mój przyszły mąż nie miał wyjścia. Musiał ścisnąć.

– Oj, jaka tam „pani Patrycjo”. Pati. Przecież zaraz będziesz moim prawie szwagrem. Z Nati jesteśmy jak siostry. – Roześmiała się serdecznie, gotowa zaraz polubić Joachima.

Nie ułatwił jej zadania.

– Tusia rzeczywiście wspominała o pani – powiedział mój narzeczoney sztywno, siadając na brzegu sofy. Już wtedy miał skórzany komplet, ale stary, nieodpowiedni dla młodej żony. Konieczny był zakup nowego w niedalekiej przyszłości. Nic tak nie świadczy o zamożności jak zapach świeżych skórzanych obić.

– Tusia? Ale przecież Nati nie znosi tego zdrobnienia. – Pati jak zwykle mówiła to, co myślała. Na szczęście zauważyła moje znaki. – To znaczy... pewnie tobie udzieliła specjalnej dyspensy. – Rozsiadła się wygodnie w fotelu, zaplatając nogi w przedziwny supeł.

Miała na sobie bordową tunikę i elastyczne dzinsy, więc mogła zwinąć się w chińskie igrek. Ufarbowane na rudo włosy obcinała wtedy na jeża, w uszach nosiła indyjskie kolczyki, a na obu nadgarstkach – kolorowe bransolety. Mój narzeczony patrzył na nią zdegustowany.

– Tu będziecie mieszkać? – ciągnęła podekscytowana. – Super. Masz świetne mieszkanie, Joachim, ogromne. Z taką przestrzenią można cuda zdziałać. Zobacz, Nati, możesz rozłożyć gigantyczny dywan na podłodze. Widziałam w Topwercie takie piękne, ręcznie tkane, zajebisty splot. I do tego jakieś boczne światło. Tylko żeby żółte było, bo z białym będzie wyglądać jak w szpitalnej poczekalni. I obrazy na ścianach. Pamiętasz te pejzaże ze Starówki? Facet miał talent, nie? Też bym tak chciała.

Oprócz zarządzania Pati fascynowała się dekoracją wewnątrz i miała doskonałe oko. Dla zabawy wyobrażała sobie, jak ten czy inny pokój wyglądałby po przemeblowaniu. Swoją własną urządziła, kupując sprzęty i dodatki za grosze, a całości nadała tak przytulny i kameralny wyraz, że uwielbiałam u niej przesiadywać.

Joachim zachowywał się, jakby tuż koło niego dreptała jadowna tarantula. Siedział cały sztywny, oficjalny, lekko wykrzywiając usta.

– Pani Patrycjuszko – powiedział wreszcie. – Moje mieszkanie już jest urządzone i nie widzę powodów, by jakkolwiek to zmieniać. Tusia też z pewnością uważa, że dywan zakłóciłby tylko minimalistyczną elegancję salonu, a obrazy niepotrzebnie zmniejszyłyby go optycznie. Poza tym, czy nie uważa pani, iż płótna nikomu nieznanego malarza są dowodem raczej zaściankowości nabywcy niż dobrego gustu? Boczne oświetlenie jest, owszem, zasadne, ale w kawiarni. W domu światło musi padać z góry, żeby uwidocznić przestrzeń, która, jak słusznie pani zauważyła, jest jednym z atutów tego miejsca.

– O, matko – szepnęła tylko Pati i nie odezwała się przez resztę popołudnia.

Pożegnała się dość szybko. Podała Joachimowi dłoń, tym razem do pocałunku. Dygnęła zgrabnie.

– Było mi bardzo przyjemnie pana poznać.

I poszła, zostawiając mnie na pastwę Joachimowej krytyki.

– Co to w ogóle jest za osoba? No, sama zobacz, Tusi, ubrać się nie potrafi, zachować się nie potrafi, mówi za dużo, śmieje się za głośno...

– Ale to moja najbliższa przyjaciółka.

– Była twoją koleżanką w liceum, Tusi. Czy nie uważasz, że czas, abyś znalazła sobie bardziej odpowiednich znajomych?

Nie uważałam. Ale nie odważyłam się sprzeciwić.

Za wszelką cenę chciałam, żeby Patrycja była moją druhną na ślubie, i długo próbowałam przekonać ojca i Joachima, ale obaj zagrozili odwołaniem całej uroczystości, jeżeli Pati w ogóle się pojawi. Zamiast niej poproszono na druhnę jakąś kuzynkę mojego męża, która cały czas raczyła mnie opowiastkami o sukni ślubnej swojej siostry. Suknia była piękna, okropnie droga, od francuskiego projektanta. Tu diamencik, tu falbanka, tu ręcznie dziergana koronka. A fryzura panny młodej, a bukiety, a kwiaty, które trzymała, a biżuteria... Była podobno zjawiskowo piękna, gdy stała przed ołtarzem, podczas gdy ja wyglądałam zaledwie ładnie, co niewątpliwie i tak było ogromnym osiągnięciem w moim przypadku. Zresztą, siostra kuzynki i na co dzień prezentowała się jak modelka, a ja... No cóż, figurę może i miałam dobrą, ale...

Patrycja natychmiast kazałaby jej się zamknąć i wyraziłaby żal, że owa kuzynka w niczym nie przypomina zjawiskowej siostry i że to na pewno strasznie przykre – być ciągle w jej cieniu. Ja milczałam i zaciskałam usta. Nie będę przecież robiła scen na własnym ślubie, prawda? Prawda, tato, nie będę.

A potem Pati zniknęła. Jej rodzice zlikwidowali sklep i wyprowadzili się gdzieś razem z dorosłymi córkami. Nie wiem dokąd. Nie wybaczyła mi, że się nie postawiłam i nie zaprosiłam jej na ślub. Odeszła bez pożegnania. Zdradziłam naszą przysięgę na mały palec, nie zostałyśmy przyjaciółkami „choćby nie wiem co”. Joachim zwyciężył, ja straciłam coś, co miałam najcenniejszego. Samą siebie i Pati.

Jadąc do Double Book, odebrałam wiadomość. Grudzień zaczynał się mrozem, a autobus był nieogrzewany. Z trudem i niechętnie

wygrzebałam telefon z kieszeni sukienki. Musiałam rozpiąć płaszcz i odsunąć sweter, żeby dostać się do bezpiecznie schowanego aparatu. Poprzednią komórkę ukradli mi w autobusie, a moim błędem było poskarżenie się Joachimowi.

– Tyle razy powtarzałem ci, Tusi, że to nie jest bezpieczne, by samotna kobieta jeździła zatłoczoną komunikacją miejską.

– To może... – Zatrzymałam się w ostatniej chwili. Jeszcze by tego brakowało, żeby Joachim woził mnie i odbierał z pracy. Mało miał kontroli nad moim życiem? – To może kupisz mi gaz pieprzowy?

– Tusi, no co za pomysły? – Uśmiechnął się pobłaźliwie.

Faktycznie, pomysł był głupi, ale musiałam szybko wybrnąć z wpadki. Nie należy mu podpowiadać, jak założyć na moją szyję dodatkową uprząż.

*Zaloguj się na Naszej Klasie. Gośka.*

O co chodzi?

Siedziałam w sekretariacie, bo Gazda oczekiwał ode mnie odbierania telefonów i przyjmowania gości. Pomiedzy telefonowaniem a podawaniem herbaty miałam robić redakcję. Na szczęście udało mi się przekonać szefa, by autorzy dostarczali prace mailowo. W Wordzie było mi o wiele łatwiej przerabiać całe akapity i zamieniać niegramatyczny bełkot na przyzwoitą polszczyznę.

– Po pierwsze, Rafał, pisarze tylko zawracają ci głowę, gdy przychodzą, żeby dostarczyć wydruki – powiedziałam wtedy, naśladując stanowczy ton Patrycji. – Po drugie, walające się sterty papierzysk źle wyglądają w oczach takiego na przykład Krynickiego.

Włączyłam komputer i udając, że pilnie nanoszę poprawki, weszłam do Internetu.

– O, Marek, dobrze, że jesteś – rzuciłam do wchodzącego DTP-owca. – Co to znaczy: „Zaloguj się na Naszej Klasie”?

– Nie wiesz? Przesuń się trochę.

Wpisał „nasza-klasa” i otworzył portal. Pokazał mi, jak się zarejestrować i jak odnaleźć szkoły. Trafiłam na moje liceum i forum humanistycznej klasy A. Panował tam duży ruch. Z jednego

wątku dowiedziałam się, że polonistka wreszcie znalazła sobie męża, a jej byli uczniowie zastanawiali się, do jakiego stopnia ślepy musiał być jej wybranek. Na drugim koledzy zapalali wirtualne świece dla Krzyśka, który zginął w wypadku, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat. Zapaliłam swoją i przez chwilę wspominałam wygadanego, trochę bezczelnego chłopaka o zabójczo przystojnej twarzy. Przy kolejnym wątku zatrzymałam się na dłużej.

*Cześć wszystkim, mam pomysł. Zrobmy spotkanko. Może być u mnie. Metraż mały, ale damy radę, jeśli nie będziemy się wiercić i przyjdziemy bez przyczep. Gośka Rogala (kiedyś: Staniszevska)*

*Tylko bez przyczep. Zanudzimy mężów, żony, a tym bardziej dzieciaki wspomnianiem wymagań geogrzyzy i sweterków Makowskiej. Piotrek Rejent*

*Sweterkami Makowskiej to bardziej zbrzydzimy, niż zanudzimy. Marta Sykowicz (kiedyś: Zalewska)*

*Ludzie, błagam, właśnie jem kolację. Nie przypominajcie mi, jak pachniały ubrania Makowskiej, bo mi w gardle staje i w żołądku się przewraca. Kaśka Gadomska (kiedyś: Mikucz)*

*Dobra, to postanowione. U mnie, 10 grudnia, godz. 18:00. Adres: Lisowska... Wpisujcie się, kto przyjdzie. Gośka Rogala (kiedyś: Staniszevska)*

Spojrzałam na listę. Prawie wszyscy się wpisali. A Pati? Nagle poczułam suchość w ustach. Co będzie, jeżeli nawet nie zechce ze mną rozmawiać? Doszłam do samego końca, tracąc wzrok od wpatrywania się w ekran. ...Michał Wolańczyk, Jacek Zagórski. Jest, jest na liście, przyjdzie na spotkanie. Patrycja Żurawik (znów: Żurawik). A więc była mężatką, a teraz zapewne rozwiedziona. Szkoda. A może lepiej? Zależy, z kim się związała.



Na spotkanie klasowe jechałam z bijącym sercem. Joachimowi powiedziałam prawdę: jadę zobaczyć dawnych kolegów i bardzo mi na tym zależy. Tak żarliwie go prosiłam, że nie tylko nie robił problemów, ale jeszcze zaoferował, że odbierze mnie samochodem, gdy po niego zadzwonię. Zgodziłam się. O ile nie narzekałam na wracanie autobusem z pracy w ciągu dnia, o tyle nie uśmiechało mi się chodzenie nocą po Starym Żoliborzu.

– Poza tym, Tusi, niech twoi koledzy zobaczą, jak ci się powiodło w życiu – rzekł.

Ach, więc chodziło o zaprezentowanie nowego lexusa.

Z ojcem nie było kłopotu. Nie odzywał się do mnie od tygodnia, ponieważ w czasie niedzielnego obiadu z Drawskimi powiedziałam, że nie lubię Modiglianiego.

– Musiał tworzyć pod wpływem wizji po haszyszu połączonym z absyntem – stwierdziłam. – Bo jak inaczej wyjaśnić zniekształcone sylwetki na obrazach? A te oczy bez źrenic są po prostu przerażające.

Następnie dodałam, że jeżeli już zachwycać się dziwakami, to znacznie lepszym obiektem jest Salvador Dalí ze swoją paranoiczno-krytyczną manierą. Przynajmniej od razu nazywa to prawidłowo. Chodziło mi o słowo „paranoja” i ojciec doskonale mnie zrozumiał. Natomiast ja nie mogłam pojąć, w jaki sposób, krytykując Modiglianiego, obrażam ojca i sugeruję, że on sam jest paranoikiem. Zyskałam tyle, że nawet gdyby się dowiedział, dokąd idę w sobotni wieczór, to nie zadzwoniłby, żeby wyrazić swoje zdanie na ten temat. Miałam jeszcze co najmniej tydzień spokoju.

Weszłam do skromnie urządzonego, ładnego mieszkania Gośki. Gospodyni przywitała mnie w progu i odebrała ode mnie torbę z mandarynkami.

– Świetnie! – zawołała. – Mandarynek nie mamy. – Przesypała je do ogromnej misy. – Zaniesiesz do pokoju? – spytała. – Ja muszę dopilnować żarełka na ciepło.

Pomagały jej Marta i Dorota, które oderwały się na chwilę od ratatouille w aluminiowym saganie. Uśmiechnęły się do mnie i wróciły do sporu o tymianek. Dodawać czy nie dodawać?

Przeszłam do pokoju i od razu wpadłam w gwar rozmów. Zebrali się już prawie wszyscy. Na odsuniętym pod okno stole Gośka zrobiła

bufet. Poustawiane w szklankach paluszki, pokrojone w paski rozmaite sery, wędliny i warzywa zachęcały do jedzenia. W plecionych koszykach pod serwetkami leżało pieczywo: drobniutkie bułki z sezamem, kilka rodzajów chleba. Z kuchni dochodził zapach prawie gotowego gorącego dania. Część gości siedziała na nielicznych krzesłach, część ścisnęła się na tapczanie, reszta usiadła na podłodze, jak za dawnych szkolnych czasów. Szybko przeskanowałam twarze. Gdzie Pati? Jest. I patrzy na mnie tak, jakbyśmy widziały się tydzień temu. Jakbym nigdy nie zdradziła naszej przyjaźni i nie dała jej żadnego powodu do rozczarowania. Pomachałam do niej przez pokój, odpowiedziała takim samym gestem. Na razie nie miałam odwagi podejść. Nie wiedziałam, czy dopasowała się do mojego nastroju, czy też zwyczajnie nie miała ochoty się ze mną przywitać. Siedziała tylko i przyglądała mi się z tą swoją serdecznością w oczach.

– Cześć – powiedziałam do wszystkich dość nieśmiało.

– Nati! Cześć! Kopę lat. Nic się nie zmieniłaś! Jak ty to robisz?! – zawołała Aśka.

Jakie miłe słowa, prawda? Każda inna kobieta na moim miejscu byłaby szczęśliwa. Ja nie. Aśka niechcący trafiła w sedno. Nic się nie zmieniłam. Przez wszystkie te lata byłam zagubioną Tusią, najpierw posłuszną ojcu, potem mężowi. I nawet teraz, jako dorosła kobieta, płaszczyłam się przed Joachimem i próbowałam nim manipulować, żeby dostać to, czego chciałam, zamiast prosto z mostu powiedzieć, co mam zamiar zrobić, albo jeszcze lepiej, w ogóle się nie tłumaczyć. I wciąż nosiłam przedpotopowe modele Chanel.

Pati momentalnie przeczytała treść pod moim uśmiechem i zareagowała:

– Oczywiście, że się zmieniła. Spoważniała, wydorosła i zobacz, jak fajnie układa włosy.

Cholera jasna, to miało być wesołe spotkanie. Mieliśmy wspominać śmierdzące sweterki Makowskiej i obśmiewać męża polonistki. A ja zaraz się rozpłaczę.

„Tusiu, co to za zachowanie? To nie jest powód do takiej hysterii. Proszę iść do łazienki i spojrzeć na swoją twarz” – zacytowałam w myślach ojca i udało mi się opanować.

– Nati, co się dzieje? – Pati objęła mnie tak jak zawsze, gdy byłam smutna. Pokręciłam tylko głową.

– Spadamy, muszę zapalić, a Nati będzie mi towarzyszyć – obwieściła Pati i wypchnęła mnie do przedpokoju. Jak małą dziewczynkę ubrała mnie w płaszcz i po chwili stałyśmy na klatce przed drzwiami wejściowymi.

– Palisz? – spytałam.

– A skąd. Ale oni o tym nie wiedzą, a ty najwyraźniej potrzebujesz się pozbierać.

Teraz do mnie dotarło.

– Matko jedyna, Pati! Jak ja za tobą tęskniłam!

Przytuliłam ją z całej siły, nie bacząc na to, że obie nie mamy miejsca na oddech. Dopiero po dłuższej chwili mogłam się trochę odsunąć i przyrzeć dawnej przyjaciółce. Była szczupła, szczuplejsza niż w czasie studiów. Pod oczami miała cienie zamaskowane korektorem. Lekki makijaż dodawał jej urody, asymetrycznie ostrzyżone rude włosy sprawiały, że jej twarz wyglądała jak buzia elfa. Włożyła ciemnobrązowe spodnie i długi zielony sweter. Uśmiechnęłam się, a ona od razu wiedziała, co chcę powiedzieć. Wyglądała ślicznie.

– Nie dostałaś mojego listu – stwierdziła. – Nie mogłaś dostać, bo nie wierzę, że tak po prostu nie odpisałaś.

– Nie, nic nie dostałam.

– Napisałam ci, że przenosimy się z rodzicami do Wrocławia. Wiesz, sklepik splajtował, tam mieliśmy krewnych, którzy mogli trochę pomóc. Podałam adres do korespondencji. Kiedy nie doczekałam się odpowiedzi, chciałam napisać jeszcze raz i jeszcze, zadzwonić. Liczyłam, że któregoś razu to ty otworzysz skrzynkę i wyjmiesz pocztę albo odbierzesz telefon. Ale potem doszłam do wniosku, że nie chcę być przyczyną twoich zatargów z mężem. Mailowych namiarów na ciebie nie miałam.

Zacisnęłam pięści. Joachim. Musiał przejąć list od Pati i nawet mi nie pokazał. A ja przez cały czas myślałam, że obraziła się na mnie za ślub, za to, że jej nie zaprosiłam. I nawet nie miałam do niej pretensji.

„Czasami go nienawidzę” – pomyślałam i zaraz poczułam oplatające mnie przerażenie. Co to za myśl? Przecież szanuję

Joachima. Tak, wiem, że go nie Kocham, ale to wiedziałam już dawno. Najprawdopodobniej on również mnie nie Kocha. To żadna nowość. Ale to?! Pomyślałam, że gdyby zjawiał się teraz przede mną, chyba bym go zabiła. Nie mogłam powiedzieć tego na głos. Nie mogłam, bo gdybym to powiedziała, stałoby się realne. Stałabym wobec zupełnie nieznanego mi Natalii. Nie wiedziałam, czy umiałabym sobie z nią poradzić. „– Już, uspokój się, to nie jest powód do takiej hysterii. W końcu Joachim nie zrobił nic strasznego, po prostu odebrał list Pati i nie przekazał mi go”. – Ale już rozumiałam, że nie chodzi mi tylko o list.

– Czasami go nienawidzę – wychrypiałam zduszonym głosem. Doskonale wiedziałam, co robię. Doskonale wiedziałam, co uwalniam. – Czasami go nienawidzę – powtórzyłam głośnie.

Pati natychmiast pojęła, o kim mówię, nie musiałam wymieniać imienia mojego męża.

– Nie jest gorszy niż mój były.

Gdy w końcu Joachim po mnie przyjechał, musiałam wymyślić, co było na spotkaniu. Opowiedziałam parę banałów: Robert się ożenił, Piotrek ma już trójkę dzieci, Aśka wyszła za nauczyciela, Gośka za informatyka. Nic ciekawego, żadnych ludzi na stanowiskach, żadnych skandali. O Pati nie mówiłam, a Joachim nie pytał. Byłam opanowana, całkowicie osadzona w mojej codziennej roli marmurowego posągu. Ani słowem nie wspomniałam o liście. Jeszcze nie byłam gotowa. Najpierw musiałam to sobie poukładać. Poznać tę nową Natalię, która dopiero we mnie kiełkowała. Maleńkie, nieśmiałe ziarenko, które zamierzałam pieczołowicie podlewać. Na razie z wierzchu spokój i marmur. Potem roślinka się przebije i rozsadzi kamień. I, kto wie, może nastąpi „piękna katastrofa”?

Nie powiedziałam mężowi, że całe spotkanie spędziłam na klatce schodowej, rozmawiając z przyjaciółką. Nie powiedziałam, że płakałyśmy i pocieszałyśmy się nawzajem. Przecież ja nie płaczę, to takie nieestetyczne. Ani słowem się nie zająknęłam, że poruszę niebo i ziemię, by pomóc Patrycji znaleźć pracę i mieszkanie. I będę przy niej, gdy od początku zacznie budować swoje życie.

– Zaraz po ślubie uderzył mnie pierwszy raz – opowiadała. – Wybaczyłam, tak bardzo przepraszał. Potem było cudownie. Kwiaty,

czułe karteczki na poduszce, pocałunki i fantastyczny seks. Długo było dobrze. Później miał kłopoty w pracy. Był zmęczony, a ja roześmiałam się za głośno. Dostałam w twarz, aż zatoczyłam się na łóżko. Uznał to za zaproszenie i zwyczajnie mnie zgwałcił. – Pati przetarła twarz dłonią. – Widzisz, jaka głupia byłam? Przysięgał na kolanach, że już nigdy tego nie zrobi, płakał. Znów było cudownie. Pojechaliśmy na wakacje, a on dosłownie nosił mnie na rękach. Kiedy wróciliśmy, wściekł się, że za dużo wydałam. Domyślasz się, co było dalej. Ech, trzeba było zostawić fiuta już po pierwszym policzku.

Westchnęła i usiadła na schodach. Pochyliła głowę.

– Wniosłam sprawę o rozwód. Musiał mieć jakieś znajomości. Zostałam bez mieszkania, bez alimentów, zaraz potem bez pracy. – Zaśmiała się gorzko. – Praca to nie przez niego. Miałam ten swój sklepik, wiesz? I dupa. We Wrocławiu jest tyle butików z damską bielizną, że kolejny po prostu nie był potrzebny.

Wstała nagle i na siłę przywróciła mięśniom energię. Przeszła się po korytarzu, potrząsnęła rękami, jakby chciała zrzucić z nich pajęczyny.

– No, a potem – dodała przerażająco wesołym głosem – zmarł ojciec i, jakby tego było mało, matka miała udar. Funkcjonuje teraz w formie warzywka w domu opieki we Wrocławiu. Marcheweczka taka albo papryczka. Czerwona. Czasem żółta, gdy ma kłopoty z wątrobą.

– Pati!

Wzruszyła ramionami. Cała reakcja na moje oburzenie. Mówiła dalej:

– Nie mogę przecież obzerać siostry. Ona sama nie ma lekko. Wyszła za mąż z miłości, rozumiesz? Są jeszcze kobiety, które wierzą w coś takiego. Jest zajebiście szczęśliwa z uroczą czterolatką i mężem, który co miesiąc przynosi do domu tysiąc pięćset złotych. Z tego się utrzymują, bo Zuzka siedzi w domu z dzieciakiem. Szczęście, że chociaż mała nie choruje. Te wszystkie astmy, alergie to przecież teraz plaga wśród dzieci.

„Dość” – postanowiłam w tym momencie. Pati opiekowała się mną przez całe liceum. Teraz moja kolej.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałam.

– Na razie u Zośki, masz pojęcie? Święta Zofia od pacierza przed sprawdzianem przyjęła pod swój dach rozwódkę. No, ale Jezus każe opiekować się także upadłymi kobietami. – Spoważniała nagle. – Wróciłam do Warszawy, bo tu łatwiej o pracę. Od miesiąca czegoś szukam i żyję na koszt Zośki. Jestem jej cholernie wdzięczna, wiesz? Ale już mam trochę dosyć i ona także. Poza tym, jak długo można?

– Masz na oku jakieś mieszkanie?

– Jest jedno taniutkie na Tarchominie. Kliteczka taka, dwadzieścia parę metrów. Ale na razie i tak nie mogę wynająć.

„Na Tarchominie – pomyślałam. To jeżeli uda mi się urobić Gazdę, będziesz miała blisko do pracy”.

– Ile potrzebujesz?

– Nati, no coś ty!

– Żadne „no coś ty”, Pati, tylko czas najwyższy zrobić użytek z bogatego męża – powiedziałam stanowczo i sama się zdziwiłam, jak łatwo mi to przyszło. – Ile ci potrzeba? I nie wyjeżdżaj mi tu z dumą i fałszywą godnością. Ty holowałaś mnie przez całe liceum. Pozwól mi na rewanż. Niech i ja poczuję się potrzebna.

Na koncie miałam sporo. Jeśli chodzi o pieniądze, Joachim był jak angielski arystokrata. Mamy je, nie mówimy o nich, zarobki męża są wspólne, mizerna pensyjka żony idzie na jej zachcianki. Nie miewałam wielu zachcianek, więc udało mi się odłożyć całkiem przyzwoitą kwotę.

– Dziesięć tysięcy wystarczy na początek? – zapytałam lekkim tonem, żeby nie przerazić Pati. To była jedna piąta moich oszczędności, ale przecież z każdą kolejną wypłatą uzupełnię skarbonkę.

Suma przerażyła Pati. Rozpłakała się. Muszę jeszcze popracować nad niefrasobliwymi stwierdzeniami.

– Kiedy ja ci to oddam?

– Jak to kiedy? Gdy otworzysz sieć butików, oczywiście. Dostanę u ciebie stały rabat na najlepsze staniki, jakie uda ci się sprowadzić.

Roześmiałyśmy się i wreszcie atmosfera się rozluźniła. Ostatecznie poprosiła mnie o pięć tysięcy. Wystarczy na pierwszy miesiąc wynajmu i na życie. Przecież musi w końcu coś znaleźć i zacząć na siebie zarabiać.

W poniedziałek weszłam do wydawnictwa w pełnych regaliach żony radcy prawnego. Włożyłam wełniany kostium Chanel w eleganckim granatowym kolorze, do tego jedwabną bluzkę z misternie haftowanym kołnierzykiem. Na palec wyjątkowo, oprócz obrączki, wsunęłam pierścionek zaręczynowy. To była jedyna biżuteria, jaką miałam, bo Joachim nie lubił kobiet obwieszonych świecidełkami jak choinki. Pierścionek był platynowy, z dość dużym brylantem otoczonym mniejszymi kamykami. Całą sobą informowałam, że mam kasę i wpływy. Po raz drugi zamierzałam wykorzystać pozycję mojego męża, ale teraz cel był słuszny.

– Rafał – powiedziałam, wchodząc do gabinetu Gazdy i siadając bez zaproszenia naprzeciwko jego biurka. – Przestałam się wyrabiać z obowiązkami sekretarki i redaktorki jednocześnie. – Zanim przyszło mu do głowy szukać kogoś, kto będzie się wyrabiał, dodałam: – Krynicky ostatnio coś bąkał o niepotrzebnych oszczędnościach, wiesz? Aż mi się niezręcznie zrobiło, bo przecież chyba rozumie, że musisz ograniczać wydatki.

Gazda skrzywił się niezadowolony. Dokładnie o taki efekt mi chodziło. Teraz trzeba uderzyć mocno i celnie.

– Nawet poskarżyłam się mężowi, ale nie stanął po mojej stronie, choć zwykle mnie wspiera. – Kłamstwo łatwo przeszło mi przez usta. W końcu to przecież ja w liceum uczyłam dziewczyny, jak opowiadać łzawe historyjki przed geografią. – Wyobraź sobie, Joachim powiedział, że sekretarka to wizytówka firmy i nie może być tak, że osoba, która przyjmuje ważnych gości swojego szefa – podkreśliłam wyraźnie – wygląda, jakby co chwila odrywano ją od innych zajęć. No, ale może prawnicy inaczej na to patrzą. – Pobawiłam się ostentacyjnie pierścionkiem. Potem, jakbym zauważyła swoje niewłaściwe zachowanie, przestałam go obracać i ułożyłam dłoń na kolanie lekko uniesionej nogi. Brylanty zamigotały w świetle. – To zaręczynowy. Wiem, że nie jest odpowiedni na co dzień, ale tak bardzo go lubię. Joachim specjalnie zamówił kamienie w Anglii.

Mówiłam leciutko, bez cienia nacisku w głosie, jakby fakt noszenia pierścionka, którego wartość przekracza cenę czterech garniturów Emporio Armani, był dla mnie czymś zupełnie naturalnym. Dziękuję wam, tato i Joachimie, za nieustający trening



manier. Niechący nauczyliście mnie także dobrego aktorstwa. Teraz miałam siłę, by w pełni wykorzystać swoje umiejętności w tej materii.

Popatrzyłam na Gazdę. Przewidywalny snob. Usłyszał dokładnie to, co miał usłyszeć. Po pierwsze, mam bogatego męża, który kocha mnie tak bardzo, że sprowadza dla mnie biżuterię z Anglii. Po drugie, jest cholernie dobrym prawnikiem, więc uważaj, Gazda, zanim coś mi zrobisz. Po trzecie, chcę, żebyś zatrudnił sekretarkę, a gdyby coś ci nie pasowało, wróć do punktu drugiego.

– Nie będę zrzucać na ciebie kolejnego obowiązku – powiedziałam. – Już tyle ich masz. Ważne spotkania, goście na stanowiskach. Dam ogłoszenie do prasy i przejrzę CV kandydatek.

Moje słowa zabrzmiały, jakbym troszczyła się o wygodę szefa, ale ton temu przeczył. Zdecydowałam. Sama się tym zajmę. I już. A ty nie wnikaj.

Gazda musiał być nieźle zaszokowany moją nową postawą. Do tej pory niczego od niego nie chciałam poza bezpieczną posadką i jałmużną co miesiąc. W czasie całej rozmowy siedział prosto, z rękami na biurku. Nie rozwalał się na krześle w luzacko-lekceważącej pozie, nie okazywał znudzenia. Siedział i słuchał. A potem zrobił, jak chciałam. Zresztą, i tak nie miał wyjścia. Jeżeli nie chciał świecić oczami przed Krynickim i podpaść mojemu mężowi, musiał ustąpić. Wróciłam do sekretariatu i zamówiłam ogłoszenie w „Wyborczej”. Nie mogłam powiedzieć szefowi, że już mam odpowiednią osobę, bo nabrałby podejrzeń, że coś knuję. Zamierzałam zebrać kilka życiorysów i wybrać ten Patrycji jako najlepszy. Wprawdzie nie zarobi w Double Book dużo, ale na opłacenie kliteczki na Tarchominie i skromne przeżycie wystarczy, a potem już spokojnie będzie mogła poszukać czegoś lepszego.

Kiedy zostałam sama w pokoju, wystukałam numer jej komórki.

– Pati, chcesz popracować jako sekretarka? To przygotuj CV. Nie musi być prawdziwe. Nie pisz o sklepie, pisz, że już pracowałaś w biurze niewielkiej firmy. To ja będę sprawdzać twoje referencje.

Czułam się silna i skuteczna. Zupełna nowość dla mnie, więc pławiłam się w tym uczuciu jak w egzotycznej kąpieli.

W stosunku do Joachima byłam uprzejma: „Tak, Joachimie”, „Nie, Joachimie”, „Rozumiem, Joachimie”. Zupełnie jak pani Hanna wobec mojego ojca. Ale odmówiłam przesiadywania wśród skóry i słuchania *Requiem*. Zamknęłam się w moim pokoju z książką. Wyjęłam też z piwnicy drugi z kupionych na Starówce pejzaży. Ani ojciec, ani Joachim nie wiedzieli, że jeszcze na studiach, za pieniądze „na prezent” dla jednej z moich koleżanek urządzających eleganckie spotkania dla panien kupiłam dwa obrazki od stojącego na rynku malarza. Akurat skończyli mi się profesorowie i ordynatorzy, więc powiedziałam ojcu, że koleżanka, którą chcę obdarować, jest córką rektora prywatnej uczelni w Krakowie. Przezornie zapomniałam której. „Tak, tato, masz rację, nie można polegać na mojej pamięci. Rozumiem, że uniemożliwiłam ci zawarcie interesującej znajomości, ale wiesz, on i tak prawie nie bywa w domu, a ta moja koleżanka okropnie tęskni. Za to często rozmawiają przez telefon i ona o wszystkim mu opowie, o przyjęciu, o prezentach”.

– Czy ty w ogóle pomyślałaś, Tusi, jak odpowiednio uhonorować święto takiej osoby? Jestem przekonany, że gotowa byłaś dać jej coś taniego i zwyczajnego. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że gdy mnie kiedyś zabraknie, powinnaś mieć odpowiednich znajomych, którzy ci pomogą, podpowiedzą, jak właściwie postępować. I już teraz musisz o to zadbać. Proszę pójść do Apartu i wybrać dla niej odpowiednie złoto. Zresztą, sam kupię.

– Och, tato, robisz sobie tyle kłopotu z mojego powodu! Może przyniosę katalog i powiesz, co jest dobre, a ja po to pojedę. I prosto z zakupów pojedę na urodziny, żeby prezent gdzieś mi się nie zawieruszył.

Nie mogłam przecież ryzykować, że ojciec zechce dokonać inspekcji zakupu. Dostałam wtedy pięćset złotych. Malarz był szczęśliwy, ja też. Koleżankę szybciotko odesłałam do Krakowa, żeby ojciec nie nakazał mi zaproszenia jej do domu i, niestety, zupełnie straciłam z nią kontakt. „Tak, tato, nie potrafię pilnować swoich spraw”.

Gdyby ojciec kiedykolwiek zadał sobie trud i policzył, szybko doszedłby do wniosku, że każda ze znanych mi dziewczyn obchodzi urodziny co najmniej dwa lub trzy razy w roku. Na szczęście nie

zawracał sobie tym głowy. Obrazy upchnęłam pod łóżkiem, licząc, że po ślubie zawieszę je w swoim nowym domu. Starannie owinięte spędziły w piwnicy na Bemowie długi czas. Potem jeden trafił na ścianę w Double Book, a pora drugiego przyszła właśnie teraz. Znalazłam młotek i właśnie przekopywałam szuflady w poszukiwaniu gwoźdźca, gdy do kuchni weszła Wiola. Postawiła na stole kubek z niedopitą herbatą.

– Czego szukasz? Może podpowiem? – zapytała, a do mnie dotarło, że w mojej własnej kuchni Wiola orientuje się lepiej niż ja.

– Chcę wbić gwoździec w ścianę. Młotek już mam.

– A co będziesz wieszac?

– Obraz u siebie.

– Pokaż.

Zaprowadziłam ją do pokoju.

– Jaki cudny! Ale na gwoździu to on długo nie wytrzyma, wiesz? Tu potrzebne są wiertarka i solidny kołek rozporowy.

Zwiesiłam głowę. Czy ja w ogóle nie znam normalnego życia? Umiem dobrać strój, żeby zamienić się w elegancką starszą panią, a nie potrafię poradzić sobie z tak prostą rzeczą, jak ocena wytrzymałości głupiego gwoźdźca.

– W porządku. – Wiola jakby czytała w moich myślach. – Pomagałam kiedyś ojczulkowi przy remoncie, to się trochę obeznałam. Wasz sąsiad ma wiertarkę, kołek pewnie też. Poczekaj, polecę. O tej godzinie jest już w domu.

Więc i sąsiadów znała lepiej. Miałam wrażenie, że do tej pory żyłam w zamkniętym pudełku i dopiero teraz wydrapywałam sobie dziurkę, przez którą mogłam zobaczyć kawałek świata. Wiola wróciła po kilku minutach.

– Same będziemy wbijać? – zapytałam.

– A co, chcesz męża prosić o pomoc?

Nagle ogarnęła mnie dzika wesołość. Wyobraziłam sobie, jak Joachim w angielskim garniturze balansuje na krześle i wierci dziurę w ścianie.

– Wiertarko, czy nie uważasz, że powinnaś się bardziej postarać z tymi obrotami? – Że powiedziałam to głośno, zorientowałam się dopiero, gdy Wiola wypluła łyk herbaty, który właśnie zamierzała przełknąć, i zanosła się kaszlącym rechotem.

– Nie „wiertarko” – wykrztusiła. – „Wierciu”. Wierciu, czy nie uważasz...

Szybko się zorganizowałyśmy. Wiola stała na krześle, trzymając wiertarkę przy ścianie, ja od razu wyłapywałam pył odkurzaczem. Tak zastał nas Joachim. Nawet nie usłyszałyśmy, gdy wszedł do domu.

– Tusi, co ty robisz? – zapytał.

– Chcę powiesić obraz – powiedziałam.

– Czy nie uważasz, Tusi, że...

Wiem, że Wiola robiła, co mogła. Starła się kaszleć, zaciskać usta, przygryzać wnętrze policzka. Nic nie pomogło. Znowu wybuchnęła śmiechem. Nie miała mojego talentu popartego wieloletnim treningiem.

„Uderzył mnie w twarz, aż zatoczyłam się na łóżko... zwyczajnie mnie zgwałcił” – przypominałam sobie i natychmiast się opanowałam.

– Wiolu, zrób, proszę, herbatę dla mnie i dla pana radcy – rzuciłam. Nie chciałam, żeby Joachim poczuł się na tyle dotknięty, by natychmiast ją zwolnić.

Nasza gosposia zorientowała się w powadze sytuacji i szybko poszła do kuchni. Strzepnęłam pył z granatowej, zakardowej bluzki i spódnicy Chanel. Zsunęłam z nóg czółenka i spokojnie weszłam na krzesło.

– Podaj mi obraz, Joachimie – poleciłam tonem cesarzowej Cixi, mojej najnowszej fascynacji.

Był tak zaskoczony, że bez wahania wręczył mi pejzaż, który zawiesiłam na kołku. Odeszłam od ściany i przyjrzałam się radosnej wiośni. Kwiaty na jabłoni właśnie się rozwinęły i lśniły bielą wśród liści. Słońce bawiło się odcieniami i wydawało się, że całość delikatnie się porusza.

– Piękny – szepnęłam.

Mój mąż odzyskał głos.

– Ale, Tusi, czy nie uważasz...

– Nie, Joachimie, nie uważam. Bardzo podoba mi się ten widok i chcę codziennie na niego patrzeć. Czy nie uważasz, że dobrze mi zrobi, gdy będę budziła się w pozytywnym nastroju?

Nie mógł powiedzieć mi wprost, że nie chce, bym miała dobry humor. To było zaledwie maleńkie zwycięstwo, ale ja poczułam się, jakbym zdobyła górski szczyt. Jeden z wielu, które sobie wyznaczyłam. Z satysfakcją złapałam spojrzenie wytrzeszczonych oczu mojego męża. „Bardzo nieelegancko tak się gapić, panie radco”.

Patrycja bez trudu przywykła do obowiązków sekretarki pana prezesa Rafała Gazdowskiego. Zwracała się do niego oficjalnie, jak Ania, ale nie pozwalała wchodzić sobie na głowę. Teraz, gdy znów poczuła, że kontroluje własne życie, mogła być dawną sobą. Wesołą, szczerą, trochę zbyt gadatliwą Pati. Marek i Zenobia szybko ją zaakceptowali. I o ile naszego specja od DTP odrobinę przytłaczała ekspansywna osobowość mojej przyjaciółki, o tyle Zenobia niemal ją adoptowała. – Jesteś stanowczo za szczupłą, Pati – mawiała. – Za mało jesz. Masz, przyniosłam ci domowe ciasto. Zresztą, starczy dla wszystkich. Siadać mi tu i jeść, bo nie pozwolę, żeby taki serniczek się zmarnował.

Ja też zaczęłam przynosić za dużo jedzenia.

– Już nie mogę z tą Wiolą – skarżyłam się Pati. – No, zobacz, mówię i mówię: „Jedna kanapka wystarczy”. To daje mi dwie, a do tego pojemnik risotto. Pomożesz mi zjeść? Wyrzucić szkoda, a Wiola robi oczy zbitego basseta, gdy przynoszę to z powrotem do domu.

Po przeprowadzce z pożyczonych ode mnie pięciu tysięcy zostało Patrycji naprawdę niewiele. Nie chciała kolejnego wsparcia, a na wypłatę musiała jeszcze poczekać. Na pewno rozszyfrowała moje intencje. Znała mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że odstawiam teatr z tymi obiadami. Grała razem ze mną, bo to pozwalało jej z godnością przyjąć poczęstunek. Może po prostu nie doceniała swojej własnej pomocy, gdy przerażona i zagubiona próbowałam ogarnąć się w liceum.

Wobec Gazdy spuściłam z tonu. Znów weszłam w rolę miłej, trochę nieśmiałej pani redaktor. Nie chciałam, żeby zaczął bać się mnie bardziej niż Joachima i pod byle pretekstem wyrzucił z Double Book. Gabinecik o powierzchni chusteczki do nosa wciąż pozostawał moim jedynym azylem.

Od połowy stycznia Gazda chodził z nosem na kwintę. Przygotowywaliśmy kolejną książkę Krynickiego i ciągła obecność „wybitnego autora” w wydawnictwie wszystkim dezorganizowała pracę. Pershing codziennie udowodniał, że w pełni zasługuje na to miano. Miotał się po pokojach, wygłaszał te swoje teksty o docenianiu profesjonalizmu i niechęci do pouczenia, a potem stawał nade mną lub Markiem i czepiał się każdego szczegółu. Tylko Zenobii dawał spokój. Facet miał niezłe tempo pisania, swoją drogą. Co pół roku nowa książka. Z drugiej strony, twórczość powstająca na zasadzie „kopiuj-wklej” nie zajmuje chyba wiele czasu, a ostatnie dzieło Krynickiego było zlepkiem jego poprzednich dokonań.

Gazda odreagowywał frustrację jak zwykle na nas. W gabinecie postawił teraz w ogromnej, ozdobnej donicy metrową jukę gwatemalską. Od razu pouczyłam Pati:

– Skrapiaj jej tylko ziemię po wierzchu, żeby Gazda myślał, że porządnie podlałaś.

Siedzieliśmy we troje w moim pokoiku, Pati, Marek i ja, starając się opracować strategię przetrwania pod rządami Pershinga i Rafała.

– Chcesz przytrzeć szefowi nosa, susząc jukę?

– Chcę uratować jej życie. W zimie wystarczy podlewać raz na dwa tygodnie. Gazda i tak po tobie poprawi i juka skończy w bagnie jak palma. A potem my wszyscy za to zapłacimy.

Pati aż podskoczyła na krześle, słysząc szefa:

– Patrrrrrycja! Ile razy mam powtarzać, żebyś dbała o jukę?

Poklepałam ją po ramieniu.

– Bądź dzielna, Pati. Skończy się Pershing, skończy się „Patrrrrrycja”.

Po chwili z gabinetu Gazdy dobiegł słodziutki głos przyjaciółki:

– Postanowiłam, panie prezesie, że będę postępowała z juką w odpowiedzialny sposób. Przeczytałam w brrrrrdo profesjonalnym poradniku, że jukę trzeba podlewać raz na dwa tygodnie, a prawdziwa dbałość polega na mówieniu do kwiatka i głaskaniu po liściach. I to jest zadanie dla pana, bo juka wybiera sobie tylko jednego właściciela i to jego obdarza miłością.

– Dobra jest – skomentował Marek orację nowej koleżanki.

– Dobra, to fakt – zgodziłam się. – A my będziemy mieli radochę, słuchając, jak Gazda zwierza się roślinie.

Marek przyglądał mi się dłuższą chwilę. Otwierał usta, nabierał powietrza, a potem wypuszczał je nosem. I od nowa. Wyglądał jak akrobata przygotowujący się do salto mortale. Wreszcie wsunął dłoń we włosy, zaplątał się w mocno skręconych lokach i sięgnął do kieszeni po grzebień. Przeczesał barana, którego miał na głowie, i znów głęboko odetchnął. Czekałam cierpliwie.

– Słuchaj, Natalia – powiedział wreszcie. – Ta twoja Pati, no wiesz... ona ma kogoś?

– Już przestała cię przerażać? – zapytałam ze śmiechem.

Pokiwał głową. Spoważniałam. Nie znałam Marka aż tak dobrze, a Pati swoje w życiu przeszła. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Sięgnęłam głębiej i obudziłam nową Natalię.

– To teraz ty słuchaj, i słuchaj bardzo uważnie. Pati ma za sobą niezły koszmarek. Jeżeli jakkolwiek ją skrzywdzisz, to nie Krynicky urwie ci jaja, ale ja to zrobię. Wydłubię tępą łyżką i podam jako omlet, rozumiesz?

Marek przytaknął desperacko, kiwając całą swoją dużą postacią, a ja dodałam normalnym tonem:

– Jest rozwiedziona, nie ma dzieci. Uwielbia stokrotki. Z chwilą gdy zaprosisz ją do siebie, zasypie cię propozycjami przemeblowania mieszkania. I lepiej jej posłuchaj, bo zna się na rzeczy.

Przez następne tygodnie Marek czał się wokół Pati jak mysz wokół kota. Obserwowałam jego podchody z dystansu, nie wiedząc, że moja spokojna egzystencja dożywa swoich dni.

Dwudziesty drugi lutego to dzień, który powinnam wielokrotnie podkreślić w kalendarzu. Dokładnie pamiętam tę datę, bo to od niej wszystko się zaczęło. Określenie „wszystko” należy rozumieć dosłownie. Zaczęło się dla mnie drugie życie, a nowa Natalia z maleńkiego kielka rozwinęła się nagle w sporą łodygę.

Rano nic nie zapowiadało trzęsienia ziemi. Wpatrując się w ekran komputera, próbowałam zrozumieć, co tłumacz miał na myśli, pisząc: „Ale teraz możesz to smyrgnąć i wrócić do początku w środku”. Nawet nasza polonistka nie potrafiłaby tego odgadnąć. Koleś był lepszy niż Grześ Lemańczyk, który na łacinie *servus Graecus* tłumaczył jako: „Witaj, Greku!”.

Weszłam do szefa i z trudem zachowałam neutralny wyraz twarzy. Czym ten człowiek się wyperfumował? I dlaczego w takich ilościach? Żeby wypełnić tą wonią cały wielki pokój, musiał zużyć chyba pół butelki. Natychmiast zateśniłam za subtelnym zapachem Joachima.

Gazda siedział zanurzony w ogromnym czarnym fotelu. Odsunął się od fortepianowego biurka, założył nogę na nogę i kiwał w powietrzu stopą obutą w coś absolutnie niezwykłego: czarne lakierki z imitacji krokodylej skóry. A czubki to cudo miało tak długie, że stopy wydawały się o trzy numery większe niż w rzeczywistości. Czy w sklepach dla nowobogackich naprawdę nie sprzedawali zwykłych, skórzanych półbutów? No cóż, nie każdy musiał mieć styl mojego męża. I, gdy się głębiej zastanowić, jest to powód do radości.

– Rafał, chyba nie powinniśmy zlecać kolejnych tłumaczeń Jaworskiemu – powiedziałam. – To, co on wyczynia z tekstem, przechodzi wszelkie pojęcie.

W roli skromnej redaktorki nie robiłam na Gaździe większego wrażenia, więc potraktował mnie odpowiednio:

– Luzuj pośladki, Natalia, nie rób tragedii. Popraw i po sprawie.

Westchnęłam. To nie był powód, żeby nadużywać autorytetu Joachima.

– Dobrze, daj mi oryginał *Sekretów Excela*, spróbuję się zorientować, o co chodziło Jaworskiemu.

Gazda natychmiast się zainteresował:

– Tak dobrze znasz angielski?

O nie, nie, nie, nie. Nie mam zamiaru luzować pośladków i oprócz redakcji zajmować się także tłumaczeniami.

– Nie, no coś ty! – Zaśmiałam się z zakłopotaniem. – Strasznie słabo. Ale może jakoś posprawdzam ze słownikiem i uda mi się połapać.

Cholera, zła odpowiedź. Nasi tłumacze tak właśnie pracowali. W ten sposób to i szef mógł robić przekłady, choć jego angielski ograniczał się do: *yes*, *OK* i *business*. Z przerażeniem zauważyłam, że na czole Gazdy formuje się charakterystyczna zmarszczka. Już kalkulował, już się zastanawiał i za chwilę wpadnie na genialny



pomysł. Pomysł, dzięki któremu zaoszczędzi pieniądze na kolejne sztuczne krokodyle, a ja będę miała dodatkowe obowiązki.

Jeszcze nigdy nie byłam tak wdzięczna Pati za jej doskonałe wyczucie czasu.

– Panie prezesie – powiedziała, zaglądając przez drzwi – przyszedł pan Gryniewicz.

– O, świetnie. – Gazda przestał się zastanawiać nad nowymi zadaniami dla mnie. – Dawaj go tutaj. No, no, dziesięć lat, szmat czasu! Cześć, stary, cześć! – wykrzyknął na widok mężczyzny około trzydziestki. Wydostał się z fotela, podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Siedem, stary, siedem! – odpowiedział tamten i uśmiechnął się tak, że zupełnie straciłam kontrolę nad własnym ciałem. Zamiast wyjść, opadłam na stojące w rogu pokoju krzesło i wpatrywałam się w nieznanego. Gorączkowo szukałam w myślach pretekstu, który wyjaśniłby moją przedłużającą się obecność w gabinecie. O, już mam. Oryginał *Sekretów Excela*. Gazda wciąż mi go nie dał.

Gryniewicz prezentował się fantastycznie. Jakże daleko było mu do taniej elegancji Gazdy i jego lakierowanych krokodyli! Miał na sobie zwyczajną, wypuszczoną na spodnie koszulę w odcieniu przybrudzonego błękitu, do tego dzinsy i nieco sfatygowane brązowe półbuty. A nosił to z takim wdziękiem, z taką klasą, że zostałyby wpuszczony na dwór królowej angielskiej. Niedbałym ruchem przegarniał gęste, brązowozłote włosy i śmiał się całą twarzą.

– Co tam słyhać w wielkim świecie? – zapytał Gazda.

Z powrotem zajął swoje miejsce za biurkiem. Wiedziałam, co zaraz nastąpi. Przedstawienie pod tytułem: „Ja jestem prezesem wydawnictwa. A ty co osiągnęłaś w życiu?”. Gestem wskazał nowo przybyłemu krzesło i sięgnął po telefon.

– Patrycja! – warknął do słuchawki. – Czy nie uczyłem cię, że gościa trzeba poczęstować kawą? – Spojrzał na Gryniewicza. – Beznadziejna dziewczyna – mruknął, kontynuując pokaz. Akt pierwszy zatytułowany: „Jestem wspaniały, a moi pracownicy to debile”. Publiczność bije brawo.

– Twoja sekretarka jest bardzo miła – odparł spokojnie gość. – Zaproponowała mi coś do picia, gdy tylko powiedziałem, że jestem

z tobą umówiony. Ale podziękowałem.

– A, no to dobrze – stwierdził Gazda, chociaż nie wyglądał na uszczęśliwionego. Raczej na rozczarowanego, że uciekła mu okazja do popisania się władzą.

Patrycja zajrzała przez uchylone drzwi i zaraz się cofnęła, odprawiona machnięciem ręki.

– Przyjechałeś na stałe czy to tylko gościnne występy?

Gazda taksował strój swojego gościa, a na jego ustach zagościł uśmiezek zadowolenia. Emporio Armani jest droższy niż bawełniana koszula i dżinsy.

– Na razie zostaję. Zatęskniłem do korzeni.

– „Hameryka” nie posłużyła?

Gryniewicz się uśmiechnął.

– Naprawdę zatęskniłem. To nie jest wymówka.

– Jasne, jasne – potwierdził Gazda skwapliwie. Nawet nie starał się ukryć uśmiechu satysfakcji. Jego oczy mówiły: „Myślałeś, facet, że Pana Boga za nogi złapałeś, co? Udało ci się wyjechać, pragnąłeś kariery, a teraz wracasz z podkulonym ogonem. Ja tymczasem dorobiłem się firmy”. Rozparł się wygodnie i znów wymachiwał stopą, chcąc olśnić Gryniewicza krokodylami. Tamten nie reagował.

– No dobrze. – Szef przybrał poważny wyraz twarzy, przysunął się do biurka, przerzucił papiery. Próbował zbudować napięcie. – No dobrze – powtórzył, przeciągając nieco samogłoski – ostatecznie mogę ci dać jakieś tłumaczenie na próbę – powiedział jak łaskawy darczyńca. – Potem sprawdzę i ocenię, czy się nadajesz. Double Book nie wypuszcza byle czego.

Nawet ojcowsko-mężowski trening okazał się niewystarczający. Parsknęłam i zaraz zaniosałam się desperackim kaszlem. Gazda dał się nabrać. Gryniewicz nie. Odwrócił się do mnie i konspiracyjnie przymrużył oko.

– Ach, Natalia, jeszcze tu jesteś? – Szef spojrzał na mnie. – Dobrze. Daj mu jakiś kawałek tekstu. Niech pokaże, czego się nauczył w tych swoich zagranicach.

– Przecież teksty są u Patrycji.

– Słyszysz, Adam? Teksty są u Patrycji. To ta sekretarka, która nie umie przyjmować gości. Powiedz jej, że kazałem dać ci parę stron. – Odjechał fotelem pod okno.

– Nie przyszedłem do ciebie po pracę – powiedział Gryniewicz. – Po prostu chciałem odnowić znajomość. Pójdę już, sprawiasz wrażenie człowieka bardzo zajętego.

– No wiesz, *business is business*, nie? Trzeba się kręcić wokół interesu, żeby interes się kręcił. – Gazda roześmiał się głośno. – Ale zczekaj moment, może uda mi się znaleźć jakiś termin dla ciebie, to pogadamy. – Rozłożył na kolanach duży kalendarz. – W tym tygodniu oczywiście nie mogę... spotkanie w Mirex and Books, potem karty z prezesem Bartex Publishing... W przyszłym... Poniedziałek, golf z dyrektorem Arex- Print, wtorek... lunch z jakimiś szuchami z urzędu miasta. Uparli się, że muszą się ze mną spotkać, wyobrażasz sobie? Myślą, że czas mogę sobie kupić jak wszystko inne. Ale tak ładnie prosili... Czekaj, czekaj, środa... Nie, też nie mogę...

– Zadzwoń do ciebie – przerwał mu Gryniewicz. – Może za miesiąc znajdziesz chwilę. Między kręglami z Wiesiex and Company a bilardem z Tony Kishka Limited.

– Tony Kishka? – zainteresował się Gazda. – Co oni wydają?

– Kulinaria – odparł Gryniewicz natychmiast. Nawet powieka mu nie drgnęła.

– No tak – stwierdził Gazda, jakby właśnie wszystko zrozumiał. „Kishka” skojarzyło mu się jednoznacznie.

Jak tak dalej pójdzie, szef osobiście kupi mi pastylki na kaszel.

– Tak, może za miesiąc uda mi się coś wykroić. – Odłożył kalendarz i spojrzał na swojego gościa. – No, świetnie się rozmawiało. – W ostatnim akcie desperacji zamachał krokodylami.

– Fajne butki. – Gryniewicz zlitował się w końcu. I chwala mu za to. Gazda ze skreconą kostką byłby jeszcze bardziej nie do zniesienia niż zwykle.

– Prawie tysiaka za nie dałem.

– Sporo. Ale warto było. Prawie nie widać, że to sztuczna skóra. – Twarz Gryniewicza była idealnie poważna.

– Ale przecież to jest...

– Lecę, obowiązki wzywają. – Gość uniósł dłoń, nie zadając sobie trudu, by pożegnać się uściskiem. Skinął mi głową i wyszedł z gabinetu.

Nawet później, gdy już na spokojnie, w domu myślałam o tym zdarzeniu, nadal nie wiedziałam, co mną wtedy kierowało. Jakaś przedziwna siła kazała mi wstać i ruszyć za Gryniewiczem. Niemal wpadłam na niego, gdy oparty o ścianę tuż za drzwiami gabinetu próbował dojść do siebie po spotkaniu. Wachlując się dłonią, przeganiał zapach wody toaletowej Gazdy.

– W szkole był zupełnie inny – powiedział cicho, nawet na mnie nie patrząc. – Tak bardzo się zmienił. Tyle miał planów... Chciał studiować dziennikarstwo, a potem pisać prawdę.

– Wspominał o tym. Mówił, że na szczęście w porę wyrósł z naiwności.

I wtedy Adam Gryniewicz spojrział na mnie. Cała moja tresowana ogłada momentalnie zniknęła. Gapiłam się w jego oczy i nie mogłam wydusić słowa. Były zielone. Nie, były oliwkowe. Nie, były morskie. Były piękne.

– Jak to możliwe, że taka kobieta jak pani pracuje dla Rafała?

– N-nie rozumiem – wyjąkałam.

– Przecież to widać, że pani jest na poziomie. Co pani robi w tej firmie?

– Długa historia – odparłam, wiedząc, że nie pyta o obowiązki zawodowe.

Zerknął na zegarek.

– Naprawdę muszę iść – powiedział z autentycznym żalem.

Przeszedł korytarzem, mrużąc coś do siebie. Skręcił w lewo do sekretariatu.

– Proszę pana! – zawołałam za nim. – Wyjście jest na prawo!

– Wiem. Ale chcę wziąć te tłumaczenia na próbę.

Ach, więc jednak szukał możliwości dorobienia. Nawet jeśli miałby pracować dla Gazdy, którego ewidentnie nie szanował.

## Adam

Często się u nas pojawiał. Nie wiem, jak to robił, ale zawsze mijał się z Gazdą. Pogadał z Patrycją, zajrzał do Marka i podrzucił mu solucje do najnowszej gry, zachwycił się sernikiem Zenobii. Na mnie zerkał z daleka. Szkoda. No, ale co ja miałam do zaoferowania? Byłam raczej milcząca, nie piekłam ciast i nie grałam w gry fabularne. Dopiero po dwóch tygodniach regularnych odwiedzin przyznał się, że ma problemy z tłumaczeniami i wstydzi się przed Gazdą. Jego angielski jest dość słaby, nie wie, jak przełożyć niektóre sformułowania. Czy byłabym tak miła i spojrzęła na jego tekst, zanim Rafał to zobaczy? Byłam bardzo miła. Tak miła, że nie zapytałam, choć miałam ogromną ochotę, czy potrafi zmieniać kolor tęczy intencjonalnie, czy tylko tak mi się wydaje.

Przynosił niewielkie partie tekstu, stronę, dwie. Wolno mu szło, bo wcześniej nigdy tego nie robił. Błędów było sporo, ale zwykle udawało mi się ogarnąć je w ciągu pół godziny. Potem rozmawialiśmy o sztuce i literaturze. Od razu go polubiłam, gdy powiedział, że nie podoba mu się Modigliani. No dobrze, polubiłam go wcześniej, Modigliani był wisienką na torcie. Ogromnie zainteresowała go historia Cixi i poprosił o pożyczenie *Cesarzowej* Pearl S. Buck.

– Pani Natalio – powiedział wtedy – wiem, że powinienem czekać, aż sama to pani zaproponuje, ale tak dobrze nam się rozmawia. Może moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

„Oczywiście, Adamie, że moglibyśmy” – pomyślałam.

Wyciągnęłam dłoń.

– Natalia.

Lekki uścisk, uśmiech.

– Adam.

Postać cesarza Qin Shihuangdi też go zaciekała. Poprosił o *Talizman z Nefrytu* – wszystkie trzy tomy od razu. Będzie mi oddawał kolejno, żebym nie musiała na długo rozstawać się z ulubioną lekturą.

Kończył się marzec i wiosna zaczynała nieśmiało pokazywać swoje piękno. Niedługo będzie taka jak na obrazie w moim pokoju, nic dziwnego zatem, że czułam się dobrze i lekko. Naprawdę nie przypisywałam swojego pozytywnego nastroju żadnym innym okolicznościom czy wpływom. Dopiero Pati wyrwała mnie z nieświadomości.

- Wpadło ci do głowy, żeby wygooglować jego nazwisko?
- Nie, dlaczego?
- Niech ci wpadnie, to się dowiesz.

Otworzyłam wyszukiwarke i wpisałam: „Adam Gryniwicz”. Obok wyników pokazało się zdjęcie, więc nie miałam wątpliwości, że znalazłam właśnie jego. Urodzony w 1982 roku.

„Cholera – pomyślałam od razu – pięć lat młodszy ode mnie”.  
Potrząsnęłam głową. Co mnie to obchodzi? Czytałam dalej.

*Artysta fotograf, autor albumów i książek z dziedziny kompozycji, portretowania i fotografii pejzażu. Absolwent: ASP Warszawa, wydział: Grafika.*

*Absolwent: Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu, wydział: Komunikacja Multimedialna, katedra: Fotografia.*

*Tytuł AFIAP – 2008 rok.*

*Albumy: Kraków – miasto melancholii, 2003 rok, Elfy w Górach Stołowych, 2005 rok, Grand Canyon – dreams and impressions, 2010 rok.*

*Książki: Och, po prostu rób zdjęcia – poradnik początkującego fotografa, Kompozycja i światło w portrecie, Landscape and its characteristics in photography.*

*Wielokrotnie nagradzany uczestnik wystaw w Chicago, Nowym Jorku...*

Przerwałam czytanie. Powolnym, spokojnym ruchem zamknęłam wyszukiwarke. Upiłam łyk herbaty, spojrzałam na jesienny pejzaż na ścianie. Wyszłam z pokoju. Rzeczywistość docierała do mnie w niewielkim stopniu. Wystarczyło zaledwie na bezpieczne ominięcie Zenobii na korytarzu. Coś do mnie mówiła, ale nie rozumiałam poszczególnych słów.

– Pati, może ty będziesz umiała na to odpowiedzieć, bo ja tu czegoś nie rozumiem. – Czułam się tak, jakbym była otulona grubym kokonem z waty. – Dlaczego ktoś, kto jest tak cenionym fotografem, chce dorobić u Gazdy? I dlaczego ktoś, kto pisze książki po polsku i po angielsku, przynosi mi proste tłumaczenia z tyloma błędami?

Pati nie odpowiedziała mi wprost, za to zadała kilka dodatkowych pytań:

– Dlaczego ktoś robi z siebie kompletnego idiotę, żeby mieć pretekst do spotkania z tobą? Dlaczego ktoś wypytuje mnie o ciebie? Dlaczego ktoś, gdy mówię, że masz męża, patrzy na mnie tak, jakbym mu stukła wszystkie obiektywy i rozdeptała aparaty?

– Ale on jest pięć lat ode mnie młodszy!

– Patrz, ciekawe, że akurat to ci przyszło do głowy jako pierwsze – zastanowiła się Patrycja, patrząc na mnie znad klawiatury.

– A co mi miało przyjść?

– Może to, że jesteś już zajęta? – Zaśmiała się.

Faktycznie, o tym nie pomyślałam. Jak mogłam zupełnie zapomnieć o Joachimie?

– Dla twojej informacji, Nati, facet mówi po angielsku jak *native*. Podśluchałam kiedyś, jak rozmawiał przez telefon. Tłumaczył komuś, że zdjęcia przyśle, ale na wystawę nie przyjedzie, bo jest w Polsce. To dlatego mnie tknęło i pogrzebałam w Internecie.

Usiadłam w fotelu dla gości. Dopóki myślałam, że Adam przychodzi do mnie po pomoc w redagowaniu tłumaczeń, mogłam oszukiwać samą siebie, że po prostu go lubię. Teraz, gdy się okazało, że prawdopodobnie jest zainteresowany mną, a nie pracą dla Gazdy, nie mogłam się dłużej oszukiwać. Nie, nie byłam zakochana. Wtedy jeszcze nie. Ale Adam bardzo mi się podobał. Pal licha te pięć lat!

– To jest zupełnie bez sensu – powiedziałam.

– Co jest bez sensu? – spytał Marek, zaglądając do sekretariatu.

Szlag by go trafił. Akurat teraz. Spojrzałam z irytacją na jego sympatyczną, okrągłą twarz.

– Ciągłe poprawianie błędów – odparła błyskawicznie Pati. – Sam wiesz, co dostajemy.

– Żenada – zgodził się Marek. – Pati, miałabyś czas na małą kawkę dziś wieczorem?

– Kawkę, i to zupełnie dobrą, mogę wypić tutaj – mruknęła nagle obrażona Patrycja i nasz grafik szybko się wycofał.

W końcu przestał się czaić i od czasu do czasu próbował gdzieś Pati wyciągnąć. Z uporem i nie zawsze grzecznie odmawiała, a on z uporem i zawsze uprzejmie ponawiał zaproszenie.

– Właściwie czemu go tak odtrącasz? To miły facet.

– Właściwie czemu zmieniasz temat? Mówiliśmy o Adamie.

– Czy ty się dzisiaj uwzięłaś, żeby na każde moje pytanie zadawać swoje?

– Czy ty się dzisiaj uwzięłaś, żeby nie widzieć tego, co masz przed oczami?

– Pati, do jasnej cholery! – Rzadko podnosiłam głos, jeszcze rzadziej przeklinałam, ale kiedy już to robiłam, wzbudzałam zainteresowanie wszystkich. Do sekretariatu zajrzeli Zenobia, Gazda i jeszcze raz Marek.

– Bijecie się? – zapytał nasz grafik.

– Jeszcze nie, ale Nati jest już blisko – stwierdziła Patrycja.

– Nati, nie bij Pati – wyrecytował Marek i pogroził mi palcem.

Pati wywróciła oczami, ale się uśmiechnęła.

– No dobrze, wystarczy. Do roboty – zakomenderował Gazda i, chcąc nie chcąc, zaczęliśmy rozchodzić się do pokoiów.

– Tu, jak widzisz, nie ma atmosfery do poważnych rozważań – rzuciła jeszcze Patrycja. – Wciśnij jakiś kit Joachimowi i wpadnij jutro do mnie.

Bardzo potrzebowałam tej rozmowy. Przeżywałam jakieś idiotyczne zauroczenie młodszym od siebie mężczyzną. Chyba chciałam się dowartościować i dlatego wmawiałam sobie, że podobam się komuś takiemu jak Adam Gryniewicz. Dobrze nam się rozmawiało, fakt, ale nawet nie mogłam powiedzieć, że mamy wspólne zainteresowania. Przecież do tej pory Adam nie miał pojęcia o Chinach. Zaciekawilo go parę książek i tyle. Ja też czasem sięgałam po literaturę, którą ktoś mi polecił. Nic wielkiego.

Westchnęłam. Wspólnych zainteresowań może nie mieliśmy, ale niewątpliwie nadawaliśmy na tej samej fali. Śmieszyły nas podobne żarty, podobne rzeczy poruszały, zgadzaliśmy się w kwestii malarstwa. Przypomniałam sobie zmieniające kolor oczy Adama. Raz zielone, raz morskie, raz prawie niebieskie. „Uspokój się,



Natalia – powiedziałam sobie stanowczo. – Nie jesteś licealistką, żeby tak się nakręcać. Może jeszcze zaczniesz prowadzić pamiętnik i opisywać w nim każdą barwę spojrzeń ukochanego?”

Głupie myśli znowu szły w nieodpowiednim kierunku, trzeba natychmiast skierować je na właściwy tor.

To, że Adam nie lubił Modiglianiego, naprawdę nie świadczyło o pokrewieństwie naszych dusz. Istnieją całe zastępy ludzi, którym nie podobają się pogięte linie i postaci bez źrenic na obrazach wiecznie odurzonego artysty. Pati ze swoim pragmatycznym podejściem do życia wybije mi z głowy głupstwa, które właśnie zaczęły się rodzić. Każe mi się otrząsnąć i przestać śnić na jawie.

Zaśmiałam się w duchu. Jestem mężatką, dawno już wyrosłam z egzaltowanych uczuć panienki, która woli wyobrażać sobie życie, niż faktycznie go doświadczać.

„Mój mąż jest dobrym człowiekiem – stwierdziłam w myślach, jakbym potrzebowała od czasu do czasu to sobie powtórzyć, żeby porządnie wryło się w pamięć. – Joachim jest dobry, spokojny i stabilny. Jest bezpieczny. Byłabym ostatnią kretynką, gdybym pod wpływem niepotrzebnych, niedojrzałych uniesień zrobiła coś, co zagroziłoby mojemu małżeństwu”.

Bezpieczeństwo, niestety, często bywa nudne. I właśnie nuda, a także ciągła kontrola coraz bardziej mi doskwierały. Czułam, że jestem gotowa na odrobinę szaleństwa.

Ponownie zaczęłam się gubić i zamiast przekonywać samą siebie, że Joachim jest stałą wartością, a Adam to tylko miły kolega, snułam nierealistyczne fantazje. Patrycja była mi niezbędną. Ktoś musiał mi wytłumaczyć, dlaczego jestem niemądra, bo sama jakoś nie potrafiłam do końca pojąć, że myślenie o Adamie w innych kategoriach niż luźna znajomość jest niewłaściwe.

– Mógłbyś to przyciszyć? – powiedziałam do męża, gdy wieczorem jak zwykle słuchał *Requiem*, siedząc wyprostowany w fotelu.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Jest za głośno – powtórzyłam. – Nie słyszę własnych myśli.

Sięgnął po pilota. Teraz Mozart ćmił jak chory ząb, ale dało się wytrzymać.

– Jutro wrócę później – oznajmiłam. – Odnowiłam kontakt z Patrycją i chcę się z nią spotkać po pracy.

Nigdy więcej kitów. Nowa Natalia nie manipuluje, lecz jasno komunikuje swoje potrzeby. I dostaje to, czego chce.

– Z tą Patrycją? – upewnił się.

– Tak, z tą Patrycją. Z moją najlepszą przyjaciółką.

Nadal nie byłam gotowa na rozmowę o liście od niej, którego mąż nie raczył mi przekazać. Zresztą, to już nie miało znaczenia. To była przeszłość, a ja chciałam się skupić na tym, co mam teraz. Joachim wyprostował się jeszcze bardziej i wygładził kamizelkę.

– Tusi, czy nie uważasz, że to naprawdę nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie?

– Wręcz przeciwnie, Joasiu – wyrwało mi się i mąż drgnął niezgrabnie. – Wręcz przeciwnie, Joachimie – poprawiłam się, bo nie chodziło mi o rozpętanie rewolucji. Chciałam tylko iść do Pati. – Uważam, że to bardzo rozsądne, bym, jako kobieta, miała przyjaciółkę.

– Ale o czym ty z nią będziesz rozmawiać? Nie macie ze sobą nic wspólnego.

Jak to, o czym? O chłopakach, oczywiście.

– Ostatni raz widziałeś ją piętnaście lat temu. Nie możesz wiedzieć, jakim jest teraz człowiekiem.

– To, co wtedy zaobserwowałam, wystarczyło, żeby wyrobić sobie opinię.

– Nie potrafię tak szybko oceniać ludzi. Brak mi twojej wnikliwości – powiedziałam. – Zanim przekonam się, jaka Pati jest teraz, chcę z nią spędzić więcej czasu.

– Jak masz zamiar wracać? Sama, wieczorem? O której?

– Wezmę taksówkę. Nie wiem jeszcze, o której będę. Jutro jest piątek, w sobotę nie muszę wstawać, więc pewnie posiedzimy do późna.

Ta-dam! Poproszę fanfary! Właśnie odniosłam kolejne małe zwycięstwo. To wcale nie jest takie trudne. Gdy już się zacznie, każde następne przychodzi łatwiej. Moja smycz z półmetrowego grubego rzemienia wydłużyła się do dwóch metrów.

Pati dokonała cudów ze swoją kliteczką na Tarchominie. Kuchnię, która jednocześnie była przedpokojem, pomalowała na ciepły, piaskowy kolor. Na tyle jasny, by powiększyć nieco przestrzeń, i na tyle słoneczny, by miejsce od razu wydało się przytulne. Na ścianie w pokoju powiesiła coś, co nazywała rzeźbą filcową. Była to gruba, nierównomiernie powyginana tkanina o bliżej nieokreślonym kształcie. Ceglastoczerwona barwa sprawiała wrażenie, iż „rzeźba” ogrzewa wnętrze. Zmęczoną życiem wersalkę Pati przykryła narzutą w podobnym kolorze, dokupiła pluszowe poduchy i stary mebel zaczął przypominać wygodne łóże zamożnej szlachcianki. Pod ścianą stał wąski, krótki stół, zapewne w tym samym wieku co wersalka, jednak dziergana ręcznie serweta zakryła wszelkie niedoskonałości. Z krzesłami niewiele dało się zrobić, ale przynajmniej były wygodne, głównie dzięki poduszkom w odcieniach pasujących do narzuty i do filcu na ścianie.

– Nie patrz na sufit – powiedziała Pati zaraz na wstępie, więc, oczywiście, spojrzałam. – No właśnie. Na tę szkaradę nic nie mogę poradzić – mruknęła, wskazując trójramienny żyrandol o kloszach stylizowanych na kielichy kwiatów. – Na szczęście zostały kinkiety. Będzie trochę ciemno, ale o wiele ładniej, bo to paskudztwo świeci tak, że wyglądam jak niedotrup.

Usiadłam na wersalce i podziwiałam niewielkie, kolorowe gobeliny zwisające z drzwi odrapanej szafy. Znowu drobny zabieg sprawił, że drewno pamiętające czasy głębokiego PRL-u nabrało świeżości.

– Ślicznie tu urządziłaś – pochwaliłam.

– Nie jest źle, co? Szkoda, że nie widziałaś, jak było na początku. Nora, mówię ci. Teraz dalej jest ciasno jak w pudełku zapalek, ale przynajmniej da się mieszkać. No dobra, do rzeczy. O moich zdolnościach dekoratorskich pogadamy później. Mów mi o Adamie.

– Poprawiła się na krześle przy stole i popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Co mam ci powiedzieć?

– Wszystko.

– Jakie *wszystko*, skoro nie ma nic? – zapytałam i zorientowałam się, że w moim głosie słychać żal.

Pati też się zorientowała. Czy ona naprawdę nie może czasem wyłączać tego swojego radaru?

– A chciałabyś, żeby coś było?

– Nie.

– Aha. Zapytam jeszcze raz, a ty albo odpowiesz mi szczerze, albo każesz mi się zamknąć. Ale nie będziesz opowiadać mi bajek. Na to jestem już trochę za duża. Chciałabyś, żeby było coś między tobą i Adamem Grynewiczem?

Westchnęłam i sięgnęłam po poduszkę. Przytuliłam ją do siebie, jakbym chciała odgrodzić się od całego świata.

– Nie wiem – odparłam po dłuższym milczeniu. – Nie wiem, Pati.

– Ku własnemu zdumieniu poczułam, że ściska mnie w gardle. – Podoba mi się jak jasna cholera. Ale to przecież jest bez sensu. Co, romans z nim będę miała? Zostawię Joachima? I co dalej? Adam jest młody, przystojny, świat stoi przed nim otworem. A ja?

– No tak, ty jesteś przecież stara i brzydka.

Pokiwałam głową. Pati dosłownie zatrzęsała się ze złości.

– Debilko jedna! Jesteś piękna, nie widzisz tego? Świetny tyłek, cienka talia, ładne cycki. Lustra nie masz?

– Dobrze! – krzyknęłam, także rozzłoszczona. – Zakładając, że cokolwiek z tego wyjdzie: pozwolę Adamowi się poderwać, rozwiodę się z Joachimem. I co? A mój ojciec? Znienawidzi mnie. – Nagle wybuchnęłam histerycznym płaczem. Wcisnęłam twarz w poduszkę i wyłam, jakby nagle cały mój świat runął, a mnie samej kazano zasypywać grób, w którym legło moje życie. Próbowałam coś mówić, jakoś się uspokoić. – Pati... – Znów rozrywający mnie skowyt zduszony poduszką. – Pati... – Nie mogłam złapać tchu. – P-p-p... – Zaraz rozpadnę się na kawałki...

„Pomocy, niech ktoś to wyłączy, niech ktoś wyłączy mnie!”.

Z oddali dobiegały strzępy słów Patrycji:

– Płacz... przecież ty nigdy nie mogłaś... teraz płacz... wrzeszcz... teraz możesz... bezpiecznie...

– Zmar-zmarnowałam całe ży-ży-życie – udało mi się wychrypieć i znów ten cholerny, nieopanowany ryk.

„Taka jesteś mądra, Pati, to wyłącz to teraz, do cholery!!! Wyłącz to!!! Niech cię szlag, Pati, wyłącz to!!!”.

Siedziała spokojnie, nawet nie podeszła, żeby mnie objąć. Patrzyła tylko i czekała. Cisnęłam poduszką przez pokój. Podniosła ją i położyła na krześle. Chwyciłam drugą i tym razem rzuciłam prosto w Patrycję. Złapała i podała mi. Rzuciłam znowu. I znów miałam ją w rękach. Zamachnęłam się... Odetchnęłam głębiej i odłożyłam poduszkę na wersalkę.

– Coś ty zrobiła, Pati?

– Uwolniłam cię. – Dopiero teraz podeszła i przytuliła mnie mocno. – Uwolniłam z pieprzonego gorsetu, w który cię wpakowano, a który potem sama dociskałaś. Zresztą, to nie moja zasługa, ja tylko poluzowałam wiązania. To ty go zrzuciłaś.

Wstałam i poszłam do łazienki. Ojciec byłby zadowolony. Spojrzałam na swoją twarz. Masakra. Nie mogę tak wrócić do domu. Pati tymczasem nalała wina do kieliszków. Sangria. Gdyby Joachim się dowiedział, że piję coś takiego, nie uwierzyłby. Ale mnie tanie wino Patrycji wydało się nagle tysiąc razy lepsze niż te wszystkie Chateâu i Puligny. Siedziałyśmy na wersalce. Pati zwinięta w jeden ze swoich supełków, ja nieco bokiem, z nogami na podłodze. Odetchnęłam i się opanowałam.

– Zmarnowałam swoje życie – powiedziałam spokojnym, rzeczowym tonem, jakbym mówiła o jakiejś dalekiej krewnej, której los zupełnie mnie nie obchodzi.

– Bzdura – odparła Pati równie spokojnie. – Straciłaś najwyżej trochę czasu. Nic, czego nie da się odrobić.

– Ojciec naprawdę mnie znienawidzi.

– A teraz kocha cię bezgranicznie?

Okrutne słowa. Okrutne, bo cholernie prawdziwe. Ojciec mnie miał. Posiadał. Układał i kształtował. Ale czy była w tym miłość?

– A jeżeli Adam po prostu mnie lubi i nie chodzi mu o nic więcej?

– A my rozmawiamy tylko o nim?

Obrzydliwy zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie.

Zastanowiłam się. Nie, tak naprawdę rozmawiałyśmy o mnie. Adam był tylko zawleczką, która właśnie została zerwana.

– Co mam teraz zrobić, Pati? Mam się rozwieść?

– Nie wiem. Tu ci nie doradzę. Masz być wolna, rozumiesz? Jakkolwiek to pojdziesz, jakkolwiek to wykorzystasz, masz być wolna.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Przypomniały mi się historie o murzyńskich niewolnikach, którym dobrzy biali panowie zwrócili wolność. A oni darli papiery i nadal pracowali na plantacjach, bo od dziecka znali tylko taką formę egzystencji. I nie potrafili inaczej.

– Jesteś dorosła, Nati. Umiesz żyć. Wiesz o tym, prawda?

Patrzyłam na nią, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Tak, jak patrzy się na niespotykany okaz cyrkowych osobliwości. Pati powiedziała tylko: „Jesteś dorosła”. Zwyczajne słowa, tak często powtarzane przy różnych okazjach, że nabrały znamion truizmu. Dla mnie były objawieniem.

„Jestem dorosła. Kurwa, jestem dorosła”.

Podciągnęłam spódnicę i usiadłam na wersalce po turecku. Uśmiechnęłam się. Coś musiało być dziwnego w tym moim uśmiechu, bo Pati wyglądała na zaniepokojoną.

„Luzuj poślady, Pati, nic się nie dzieje. Ot, po prostu nowa Natalia rozsadziła marmur”.

Moja mała „piękna katastrofa”.

– Naucz mnie nakładać makijaż – poprosiłam.

Do domu wróciłam w sobotę po południu. Gdzieś w całym tym zamęcie zadzwoniłam do Joachima i poinformowałam go, że zostaję u Pati na noc. Próbował mnie przekonać, że to zły pomysł. Mówił o niedobrym wpływie, jaki Pati niewątpliwie na mnie wywiera, czy nie uważam, że żona powinna wracać wieczorem do męża, i takie tam.

– Jestem dorosła, Joachimie – odpowiedziałam – i naprawdę nie widzę niczego niewłaściwego w nocowaniu u przyjaciółki. Dobrze nam się rozmawia i nie chcę przerywać w najlepszym momencie. Czy nie wydaje ci się, że o wiele bezpieczniej będzie jechać za dnia, niż wracać w ciemnościach z obcym taksówkarzem? Przepraszam cię, muszę kończyć.

Obudziłyśmy się z trudem po ciężkiej nocy. Spanie na wąskiej wersalce i walka o jedną kołdrę nie sprzyjają wypoczynkowi. Byłam jak połamana, a w karku czułam nieprzyjemny ucisk. Pati rozcierała ramiona. Jedno spojrzenie w lustro upewniło mnie, że wyglądamy

bardzo podobnie: podkrążone oczy, blade twarze, rozczochrane włosy. A jednocześnie i ja, i moja przyjaciółka spowite byłyśmy niezwykłym blaskiem. Świeżo zbudowany optymizm nic sobie nie robił z marnego wyglądu i siłą przedzierał się na zewnątrz, dodając nam naturalnej urody.

– A teraz... – Pati otworzyła przede mną szkatułkę z kosmetykami ruchem magika występującego na scenie. – Szanowni państwo, clou programu! Podkład i korektor! Czary, proszę państwa, czary! Siadaj – poleciła mi, a ja posłusznie usiadłam przy stole. – Twarz do góry. Nie tak, niżej trochę.

Nałożyła mi odrobinę fluidu i rozsmarowała starannie.

– Więcej nie trzeba. Masz fantastyczną cerę i wystarczy odrobina, żeby był efekt. Korektor właściwie ci niepotrzebny.

Zamachała ręką jak sztukmistrz i wyczarowała ze szkatułki róż do policzków.

– Wciągnij się – rozkazała.

Dziwne polecenie, ale wciągnęłam brzuch.

– Kretynka. Policzki wciągnij, żeby uwydatnić kości policzkowe. Tu nakładasz. Na drugim policzku robisz sama. No, całkiem nieźle. Masz pędzelek, przypudruj się. Nie tyle! Troszeczkę. Dobrze. Otwórz usta. – Zwiesiła bezradnie ręce. – Nie jak u dentysty. Nie mam zamiaru robić ci przeglądu ubytków. Trochę otwórz. Malujemy rzęsy.

– Dlaczego z otwartymi ustami?

– Genetyczne uwarunkowanie.

– Że co???

– Nie wiem. Po prostu z otwartymi maluje się lepiej. Drugie oko ty. Poczekaj, dam ci wacik, zetrzyj tusz z powieki. OK. Błyszczczyk. *Voilà!* Jest zajebiście.

Faktycznie wyszło zajebiście. Delikatny makijaż podkreślał moje oczy, które z brązowych stały się nagle tajemniczo ciemne. Róż dodał mi młodzieńczego uroku, błyszczczyk powiększył i nasycił usta.

– To co? Zakupy! – zadysponowała Pati. – Musisz mieć własny zestaw kosmetyków. Przede wszystkim podkład idealnie dobrany do karnacji, bo mój jest trochę za ciemny.

Ku rozpaczy Pati umyłam twarz przed wyjściem. Gotowa na zmiany, chciałam wprowadzać je we własnym tempie.

Odwiedziłyśmy kilka drogerii, zanim moja przyjaciółka była zadowolona. Było mi szkoda biednej ekspedientki, która schylała się, sięgała, podawała, prezentując coraz to nowe podkłady, tusze, szminki i róże. Wreszcie wybrałyśmy odpowiednie. Spojrzałam na kasę. Trochę dużo wyszło, ale nie zamierzałam się tym przejmować. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam kartę. Znów się uśmiechnęłam i Pati popatrzyła na mnie odrobinę zaskoczona.

– Joachim zapłaci – wyjaśniłam, wyjmując drugą kartę, tę do wspólnego konta.

– Zaczyna mi się podobać ten twój uśmiezek – powiedziała i roześmiała się głośno.

Nie umalowałam się w niedzielę na spotkanie z ojcem i Drawskimi. Nie umalowałam się w poniedziałek do wydawnictwa. Stchórzyłam. Ale też świadomość, że mogę to zrobić, na razie mi wystarczała. Cały czas powtarzałam sobie słowa Pati: „Jesteś dorosła, umiesz żyć”. Pewnie znów nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mi pomogła.

Jeszcze mocniej pokochałam pracę w Double Book – stała mi się dosłownie niezbędna do życia. Tu przychodził Adam. Odwiedzał mnie coraz częściej, a ja czekałam na sygnał z jego strony. Nie wiedziałam, jaki to ma być sygnał, nie wiedziałam, czego się po nim spodziewam. Po prostu chciałam widywać Adama. Dla zachowania pozorów nanosiłam dwie, trzy poprawki na jego tłumaczeniu i przechodziliśmy do ciekawszych tematów.

– Cixi była zimnokrwistą morderczynią – powiedział któregoś dnia. – Kazała zamordować swojego syna i synową, byle tylko utrzymać się przy władzy. A koniec końców zniszczyła kraj, bo nie potrafiła dogadać się z obcymi mocarstwami.

– Nie lubisz jej.

– Nie lubię. Zimna, bezwzględna, niepotrzebnie konserwatywna.

Gdyby na miejscu Adama siedział Joachim, pokiwałabym tylko głową, ewentualnie powtórzyłabym za nim: „Zimna, bezwzględna, konserwatywna”. I to byłby koniec rozmowy, bo o czym dalej mówić, gdy obie strony się zgadzają. Przy Adamie było inaczej. Przy nim czułam się mądra, ważna i na tyle atrakcyjna, by nie bać się własnych opinii. Jeżeli Adam naprawdę jest mną zainteresowany, to



niech pozna prawdziwą Natalię. Nie stanę się jego klonem tylko po to, żeby mnie akceptował.

– A ja ją lubię – powiedziałam. – Albo przynajmniej rozumiem. Była bardzo samotna. Zobacz, otaczała ją armia ludzi, a ona nikomu nie mogła ufać. To najgorszy rodzaj samotności: widzieć w innych gotowość do usług, ale nie móc z nikim szczerze porozmawiać.

Znałam taką samotność. Mój ojciec, Joachim, nawet Drawscy, oni wszyscy oczekiwali ode mnie przestrzegania reguł, mówienia tego, co jest stosowne, udawania, że czuję to, co należy odczuwać w danym momencie. Adam nie mógł o tym wiedzieć.

– Uważasz, że słusznie zrobiła, zabijając syna? – zapytał.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale była cesarzową. Odpowiadała za całe państwo i uznała, że poświęcenie paru osób dla Chin jest dobrą ceną.

– No ale przecież doprowadziła Chiny do upadku. Zmarnowała to, co było od czasów Qin... Qin...

– Shihuangdi? – podpowiedziałam.

– Właśnie. Zmarnowała to, co stanowiło o ich potędze od samego początku.

– Fakt. Nie umiała pójść na kompromis – zawahałam się. – Wyobraź sobie, że ktoś wdziera się do twojego domu, żąda, byś oddał mu kawałek powierzchni, mówi, że twoja wiara to zabobony, i narzuca ci swoją. Tak w jej pojęciu postępowali chrześcijańscy misjonarze, a ona uważała, że świat jest na tyle duży, by wystarczyło miejsca na wszystkie religie.

Mówiłam z zapałem i przekonaniem. Cixi była człowiekiem, miała uczucia. Kochała, bała się i nienawidziła. Jako głowa państwa musiała podejmować trudne decyzje, ale nie można patrzeć na nią tylko przez pryzmat pozycji cesarzowej. Uwielbiała ogrody, naturę, tam uciekała od zasad, obłudników i pochlebców. Kwiatom mogła się bezpiecznie zwierzyć ze swoich lęków i z niepewności.

Adam patrzył na mnie z delikatnym uśmiechem. Uspokoiliam się i zawstydziliam odrobinę.

– Śmiejesz się ze mnie.

– Nie. Śmieję się do ciebie. To, jak o niej mówisz, twoja pasja... Ty naprawdę starasz się wziąć pod uwagę wszystko: zarówno jej osobowość, jak i okoliczności. To jest niezwykle i... – roześmiał się

głośno – ...i zaraźliwe. Pożycz mi jeszcze raz *Cesarzową*, dobrze? Chcę spojrzeć na Cixi twoimi oczami.

To był najlepszy „przysmak”, jaki kiedykolwiek dostałam. A dostałam go za bycie sobą, nie za słuzenie na zawołanie.

– Wiesz, Jabuniu – powiedziałam, zmieniając kwiaty w wazonie i zapalając znicz – poznałam kogoś. Wciąż nic nie wiem i jeszcze mniej rozumiem, ale chcę tego. Nie myśl o mnie źle. Polubiłabyś Adama, wiesz? On nie przyjechałby na wieś w szytym na miarę garniturze i w nowiutkich Crockett & Jonesach.

Wracając z cmentarza, zajrzałam do centrum handlowego. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale nagle zapragnęłam być jak każda inna kobieta i uspokoić tumult w głowie nowym ciuszkiem. Weszłam do butik, stanęłam przed bluzkami. – W czym mogę pomóc? – Młodziutka sprzedawczyni wstała ze swojego miejsca i podeszła bliżej. Zdjęła z wieszaka czerwoną, zapinaną na guziki koszulę, której się przyglądałam. – Kolor bardzo do pani pasuje – powiedziała, przykładając ją do mojej twarzy – ale, jeżeli mogę doradzić, proponowałabym coś bardziej młodzieżowego.

W pierwszej chwili chciałam odmówić. Już sama czerwień była wystarczająco ekstrawagancka dla kogoś, kto do tej pory nosił przytłumione szarości, brązy i biele. Dziewczyna podała mi elastyczny, przylegający do ciała cienki golf w pięknym odcieniu rdzawej czerwieni.

– Proszę przymierzyć – zaproponowała. – Jeżeli się pani nie spodoba, wybierzemy coś innego. Och, fantastycznie! – wykrzyknęła, gdy wyszłam z przymierzalni. – Jak na panią szyte.

Golf rzeczywiście leżał idealnie i doskonale komponował się z brązową spódnicą Chanel, której klasyczny krój zyskał nagle zupełnie inny wyraz. Po raz pierwszy zobaczyłam, że mam naprawdę dobrą figurę. Mam talię, piersi, jestem kobietą, a nie dziewczynką przebraną za staruszkę.

– Coś by się tu jeszcze przydało – powiedziała sprzedawczyni i skierowała mnie do stojaka z biżuterią.

„Oj, chyba za dużo zmian jak dla mnie” – pomyślałam. Do tej pory obrączka i od czasu do czasu pierścione były jedynymi moimi

ozdobami. Przyjrzałam się naszyjnikom, wisiorkom i koralom. Wskazałam skromniutką, brązową łażkę zawieszoną na rzemyku.

– Może to?

– A może to? – Dziewczyna zdjęła duży, nieregularny wisior mieniący się czerwienią, brązem i oranżem. – Ożywi golf, zapełni pustą przestrzeń i doda pani blasku.

– Potrafi pani przekonywać. – Roześmiałam się i zapłaciłam za zakupy.

Joachim znowu nieświadomie zrobił mi prezent. Uważałam, że w pewnym sensie jest mi to winien za wszystkie bluzeczki z kołnierzykami, za babcine Chanel, za te burości, w które do tej pory byłam wciskana.

– Czy mogłaby pani odciąć metkę od golfu? – poprosiłam. – Zostanę w nim. W naszyjniku także.

Wstąpiło we mnie jakieś лихо. Nagle poczułam się jak żebraczka, której ktoś dał do ręki majątek i powiedział: „Wydadz to na siebie, ale pod jednym warunkiem: możesz kupić tylko te rzeczy, które podobają się tobie”. Zajrzałam do kolejnego butiku. Wyszłam z czarnymi, zwężanymi u dołu spodniami. Trochę przeszkadzało mi, że są takie obcisłe, więc sprzedawczyni, tym razem w moim wieku, znalazła odpowiednią dla mnie tunikę. Kupiłam. Szafirową. A do niej srebrną bransoletę i czarny, ozdobny pasek.

W sklepie z obuwem poczułam się jak w raj. Okazało się, że można mieć wygodne, ładne buty. Nie muszę nosić twardych czółenek, nie muszę chodzić w płaszcuteńkich balerinkach na cienkich podszwach, w których czuję każdy kamień i każdą nierówność terenu. Kupiłam zgrabne, brązowe pantofle na niewielkim obcasie.

– Przecież nie jest pani aż tak wysoka – powiedziała mi sprzedawczyni, gdy wyraziłam obawę, że wyglądam jak żyrafa. – Klientki znacznie wyższe od pani kupują szpilki, a tu mamy tylko „grzybek”. Proszę spojrzeć, jak ładnie podkreślają łydki.

Faktycznie, bardzo ładnie podkreślały. Poprosiłam o zapakowanie starych butów i wyszłam w „grzybkach”.

„Żeby się tylko nie zabić” – pomyślałam, niepewnie stawiając kroki.

„Dobrze, na dzisiaj wystarczy” – postanowiłam, mijając stoisko, na którym jakiś mężczyzna prezentował kosmetyki.

Cofnęłam się, gdy dotarła do mnie treść reklamowego banera: „Promocja. Testuj gratis. Wizażysta proponuje makijaże”. No, skoro promocja... Usiadłam na wysokim stołku. Młody człowiek o drapieźnie wystrzyżonych czarnych kosmykach zbliżył się do mnie. Spojrzałam na jego solarnianą opaleniznę, białe zęby i wypielęgnowane dłonie. Dałabym sobie głowę uciąć, że miał wytuszone rzęsy. Przez moment chciałam przeprosić i zejść, ale potem doszłam do wniosku, że przecież zawsze mogę iść do toalety i zmyć to, co namaluje mi na twarzy.

– Piękna, no piękna po prostu! – zaszczębiotał wizażysta, muskając palcami moją twarz.

Cofnęłam się odrobinę, ale po chwili pozwoliłam się dotykać.

– Jakie kości policzkowe, jakie usta, no normalnie bajtufel.

Trzepotał rzęsami i oślepił mnie uśmiechem.

– Najpierw podkładzik. – Nałożył odrobinę fluidu, cofnął się. – Doskonale, perfekt, bajtufel. Teraz różek, brzoskwinka. Tsk, tsk – zacmokał. – Tak, brzoskwinka, żaden cyklamenik. Puderek transparentik, żeby nie przykryć brzoskwinki. Mógłbym tak panią wypuścić i byłoby łonderful, ale nie, jeszcze oczka.

– Poproszę sam tusz.

Matko jedyna, ile można gadać na jednym oddechu? I te wszystkie zdrobnienia, ten pieszczotliwy ton, te angielskie słówka z polskim akcentem na przedostatniej sylabie. Niemal się wzdrygnęłam, wiedząc, że usłyszę tego więcej. Wizażysta wychodził z siebie.

– A cienik nie? Dałbym ciepły pomarańczyk albo złotko. Kreseczkę bym machnął, o tutaj. A tu rozjaśnić, a tu trochę ciemniej. Oczka byłyby jak marzenie. A może oliweczka?

– Nie, bardzo dziękuję. Bez pomarańczyku i oliweczki. I absolutnie żadnego złotka.

Mężczyzna cofnął się odrobinę. Ręce zgięte w łokciach trzymał przy sobie, dłonie, przełamane w nadgarstkach, miał zwieszane jak kangur. Taksował mnie wzrokiem.

– Jak pani sobie życzy, maj kłין. – Uniósł wciąż zgiętą w nadgarstku rękę, machnął do góry dłonią. – Tylko z tuszykiem też

bjuti. Oczka się uwidocznia, nabiorą głębi. Powinna pani pracować jako fotomodelka.

No, jeżeli będzie tak, jak mam nadzieję, że będzie, to może profesjonalista zrobi mi parę zdjęć.

– Teraz usteczka! – Wizażysta szalał, wybierając i odrzucając kolejne szminki. – Cegiełka nie, za mocna, różyczka, nie, nie pasuje. Brząsik, och, nie, nie, nigdy brząsik. Będzie jak z mora. – Zachichotał. – Beżyk, no mejbi... beżyk, beżyk, jaki beżyk? Taki beżyk!

Umalował mi usta i podał lusterko.

– Lustreczko, powiedz przecie... – wyrecytował bardzo zadowolony i zmieniając głos na jeszcze bardziej piskliwy, odpowiedział w imieniu lustreczka: – Pani jest najpiękniejsza na świecie!

Spojrzałam na swoje odbicie. Było jeszcze lepiej niż po makijażu Pati. „Normalnie *bjutiful* – powtórzyłam w myślach za wizażystą. Wyglądałam... Pięknie... Tak, ale to nie do końca to... Interesująco... Też, ale wciąż nie to... Wyglądałam... na szczęśliwą. Tak, tak właśnie było. Wyglądałam na szczęśliwą”.

– Poproszę o cały zestaw kosmetyków, którymi pan mnie umalował. – Usłyszałam gdzieś z boku.

Kto to powiedział? Głos łudzaco podobny do mojego. Cholera, ja to powiedziałam. Joachim kupił mi kolejną porcję specyfików do upiększania. Koniec z szaleństwami, teraz naprawdę wystarczy.

Wsiadłam do autobusu w rozpiętym płaszczu. Słowo daję, mężczyzna spod okna spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Uśmiechnęłam się. Niech patrzy, proszę bardzo.

Joachim przywitał mnie w progu, jak zawsze w koszuli i idealnie dopasowanej kamizelce. Podeszedł do drzwi, gdy tylko usłyszał szcęk klucza w zamku. Wioli już nie było.

– Tusi, a co to ma znaczyć? – Patrzył na mnie z marsową miną. Po chwili spojrzał uważniej. – Ależ, Tusi, co ty masz...

„Spokojnie, Joachimie, w twoim wieku trzeba uważać na ciśnienie”.

Mój stateczny, opanowany, starszy małżonek na przemian czerwieniał i bladł. Zaczęłam sobie przypominać, co wiem o pierwszej pomocy w przypadku zawału, gdy nagle błysnęła mi

perfidna myśl: „To nie jest powód do takiej hysterii, mój mężu” i zaraz potem: „Luzuj poślady”. Ciekawe, czy gdybym tak do niego powiedziała, naprawdę zszedłby na atak serca?

– Byłam na zakupach. Przepraszam, powinnam była zadzwonić.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, która jest godzina. Wróciłam spóźniona i nawet go nie zawiadomiłam.

– Nie o to chodzi! – Joachim podniósł głos. – Co ty masz na sobie? Co ty masz na twarzy? Jak tak można?

„Ach, więc nie martwiłeś się o mnie, mój drogi, jak miło z twojej strony”.

– Na sobie mam golf w kolorze czerwonej cegły – odpowiedziałam spokojnie. – Do niego pasujący wisior, który zapełnia przestrzeń i dodaje blasku. Na twarzy makijaż, „normalnie *bjutiful*”. A w torbie mam szafirową tunikę i czarne spodnie. Bardzo sexy.

Z przyjemnością zarejestrowałam, zdaje się po raz pierwszy w życiu, że Joachim nie wie, co powiedzieć.

– Ależ, Tusi, wydukał wreszcie. – Chyba nie zamierzasz pokazywać się tak ludziom...?

– Już się pokazałam, Joachimie. I wiesz co? Jakiś mężczyzna w autobusie przyglądał mi się z przyjemnością.

– Tusi, kochanie, nie wiem, co w ciebie wstąpiło...

„Licho” – pomyślałam.

– ...ale chyba wiesz, co myślę o kobietach, które tak eksponują swoje wdzięki i narażają się na... na lubieżne, tak, lubieżne spojrzenia nieznanym.

– Tamten mężczyzna nie patrzył lubieżnie. Nie robił obscenicznych gestów i nie oblizywał ust – wyjaśniłam. – Po prostu docenił mój wygląd.

Joachim się zachnął.

– Tusi, to nie jesteś ty. To ta Patrycja źle na ciebie wpływa. Musisz natychmiast zaprzestać kontaktów z nią.

„O, poważny błąd, mój drogi, bardzo poważny błąd. Ale poczekaj, sprawę z listem wykorzystam przeciwko tobie kiedy indziej. Na razie poznasz nową Natalię”.

– To właśnie jestem ja – stwierdziłam. – Nie lubię Chanel. Czuję się w niej jak własna prababcia. Nie będę więcej nosić zapinanych

pod szyję bluzek i spódnic, których krój przypomina odwróconą do góry dnem donicę.

– Ale... co powie twój ojciec, gdy cię taką zobaczy? Co powiedzą Drawscy?

„Ach, więc o to ci chodzi. Dobrze, po dziesięciu latach małżeństwa w jednym punkcie mogę ustąpić”.

– Na spotkania z nimi przebiore się za Tusię – obiecałam.

– Co to znaczy, że przebierzesz się za...

Poczułam nagle obezwładniające zmęczenie. Nie miałam siły na dalszą rozmowę.

– Przepraszam cię, ale jest już późno. Chciałabym się położyć.

Niech zostanie sam ze swoją złością. Niech upchnie ją w głębi, przyklepie i wygładzi. Gdy mu to w końcu kiedyś wybuchnie, fragmenty Joachima będzie można znaleźć w promieniu kilometra.

– Tusi, proszę, żebyś została. Czy nie uważasz...

– Chciałabym się położyć – powtórzyłam i poszłam do pokoju, zabierając ze sobą zakupy.

Nastawiłam budzik o pół godziny wcześniej niż zwykle. Potrzebowałam czasu, żeby zrobić makijaż. Jak ten wizażysta nakładał róż? O, chyba w ten sposób. Oceniłam efekty. Dobrze. Włożyłam czerwony golf, wisior i spódnicę, którą po wielu latach dopiero teraz polubiłam. W zestawieniu z golfem wyglądała bardzo ładnie. No i „grzybki”, naturalnie.

– Natalia, wyglądasz ślicznie! – wykrzyknęła Wiola, widząc mnie w kuchni. – Odmieniona, promienna. Ten kolor jest dla ciebie idealny.

Joachim sarknął niezadowolony.

– Co to w ogóle za marka? – zapytał.

„*Normalnie bjutiful*” – pomyślałam, bo nagle to określenie zaczęło mi się strasznie podobać.

– Nie wiem, co to za marka – odparłam. – Kupiłam w butik, nie patrzyłam na metkę. Wyglądał dobrze, więc go wzięłam.

– Pfff! – prychnął mój mąż. Bardzo nieświatowo. Radcy prawni nie prycają. – Masz zamiar iść tak wymalowana?

– Tak. Tak mam zamiar iść. – Odpuściłam sobie tłumaczenie, że inne kobiety na co dzień malują się znacznie mocniej niż ja.

– Nie pozwolę, żebyś tak paradowała po mieście, Tusiu.  
„I co, mój drogi, skrócisz mi smycz? Zaciśniesz obrozę?”  
– Posłuchaj... – powiedziałam.

Tyle byłam mu winna: spokojne wyjaśnienie, żeby mógł zakwalifikować mnie do innej niż dotychczasowa przegródki. Niech ma ten swój porządek świata. Aż za dobrze wiem, jak drenujący emocjonalnie jest moment, w którym wszystko, co człowiek znał do tej pory, nagle ulega kompletnemu przetasowaniu.

– Posłuchaj...

Zatrzymałam się na ułamek sekundy. Nie, nie powiem mu, że przez całe małżeństwo dusił mnie i ograniczał. Że kopiując mojego ojca, stał się dla mnie bardziej rodzicem niż mężem. Rodzicem surowym, wiecznie niezadowolonym, wciskającym mnie w zupełnie niepasujące ramy. Nie powiem, bo Joachim tego akurat nie zrozumie.

– Posłuchaj – zaczęłam po raz trzeci, a on naprawdę słuchał. – Nigdy nie lubiłam Chanel. A w każdym razie nie lubiłam klasycznego stylu. Nie mam zamiaru wyrzucić teraz wszystkich ubrań i zastąpić ich nowymi. I nie mam zamiaru wyglądać jak wielobarwna papuga, jeżeli tego się obawiasz. Nie stanę się chodzącą reklamą agencji towarzyskiej. Chcę tylko trochę zmienić *image*, ubierać się w inne kolory, czasem założyć jakąś biżuterię, pomalować oczy.

Skrzywił się nieznacznie. Siedział jak zwykle prosto w fotelu w salonie, bo nie wyobrażał sobie porannej kawy w kuchni. Siedział i dosłownie spijał słowa z moich ust. Nigdy wcześniej nie zaszczycił mnie taką uwagą.

– Wciąż jeszcze jestem twoją żoną...

Drgnął. Czyżby odebrał to jak groźbę? Nie, niemożliwe, przecież ja nie grozę, przeciwnie, uspokajam go. Usiadłam przy nim na poręczy fotela i dotknęłam jego dłoni. Pogłaskałam delikatnie, tak jak wnuczka głaszcząc chorego dziadka i zapewnia go, że wszystko będzie dobrze.

– Tak naprawdę nic się nie zmieniło, Joachimie. Tylko ubrania.

To niezupełnie prawda, zmieniło się znacznie więcej. Ale ani on, ani ja nie byliśmy gotowi, by mówić o tym głośno. Mąż skinął głową w milczącej akceptacji. Kolejne moje zwycięstwo. Ale bez fanfar.



Jakieś takie zmęczone. I trochę smutne. Pocałowałam go w czubek głowy i wyszłam.

Do wydawnictwa wchodziłam odrobinę niepewna. Co powiedzą wszyscy? Co powie Adam? Z niepokojem oczekiwałam jego przyjścia. Pati, widząc moje skrępowanie, nie powiedziała nic. Mrugnęła tylko do mnie zza biurka i uniosła kciuk do góry. Reszta nie miała jej wyczucia.

– No, Natalia! – wykrzyknął Marek, który chyba przeniósł się ze swoją pracą do sekretariatu, tak często tam bywał. – Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się zakochałaś!

„Oj, Marek, trochę za blisko domu strzelasz”.

– „Szyk panna”, że zacytuję Orzeszkową. – Roześmiał się nasz DTP-owiec nieświadomy moich bezgłośnych ostrzeżeń.

– Już nie panna – odpowiedziałam ze śmiechem i tym razem staranniej niż wtedy u Pati ukryłam żal.

– Wszystko jedno, szyk to szyk. Pati, jak dzisiaj stoisz z czasem? Knajpeczka po południu?

– Odchudzam się – mruknęła moja wciąż za szczupła przyjaciółka.

– Bar sałatkowy?

– Nie lubię zieleniny.

– Kebab?

– Odchudzam się.

– Zobaczysz, kiedyś w końcu cię porwę. – Marek był w szampańskim nastroju.

– Nie radzę – warknęła Pati lodowato.

No cóż, szampan jest najlepszy po schłodzeniu.

– Porwę ją, dobrze? – szepnął Marek do mnie i poszedł, zanim zdążyłam pokiwać głową na zgodę.

„Porwij, bo inaczej nic z tego nie będzie. Uparta kobieta”.

– No, no. – Gazda zaszczycił sekretariat swoją obecnością.

Krokodyle wciąż rządziły i szef nadal uwielbiał je prezentować. Usiadł w fotelu dla gości, podwinął nogawkę i celował we mnie czubkiem buta. Natychmiast wypełnił pokój zapachem swojej wody toaletowej. Patrzył na mnie z prawie takim samym zachwytem, jaki do tej pory rezerwował dla juki.

– Natalia, Natalia, gdzie ty się ukrywałaś przez te wszystkie lata?

– Tuż pod pana nosem, panie prezesie – szepnęła Pati i nie jestem pewna, czy Gazda ją usłyszał.

„Jeszcze tylko Zenobia” – pomyślałam, i będzie po wszystkim.

Księgowa wyraziła się krótko i na temat:

– Tak trzymaj, dziewczyno.

Poczęstowała mnie landrynką. Wybrałam żółtą.

Kiedy zostałyśmy same, Pati podeszła do mnie i pocałowała w oba policzki.

– Wiesz, jak wyglądasz? Wyglądasz jak ty – powiedziała.

– I tak się czuję – odparłam. – Nareszcie.

Siedziałam w pokoiku, z trudem powstrzymując się przed wyciągnięciem co chwila lusterka i kontrolowaniem makijażu. Kosmetyki były dobre, nie musiałam się obawiać, że tusz mi się rozmaże i zacznę przypominać pandę. Szminka także trzymała się na ustach. A jednak raz po raz miałam ochotę sprawdzać, jak wyglądam. Zerknęłam na zegarek. Kiedy przyjdzie Adam? Czy usłyszę cokolwiek z tego, co powie, czy też wszelkie dźwięki zagłuszy walenie mojego serca? Nareszcie.

Puk, puk.

– Proszę.

– Cześć. – Adam zatrzymał się w progu.

– Cześć. Wejdz, siadaj. – Chciałam pogratulować samej sobie panowania nad głosem.

– Najpierw popatrzę. Poczekaj chwilę, zatkało mnie i muszę zebrać się do kupy. Jeszcze moment. – Przyglądał mi się bez skrępowania.

– Mam wstać i się obrócić? – Teraz gratulowałam sobie odwagi.

– A mogłabyś?

Wstałam, wyszłam z biurka i wykonałam wolny obrót wokół własnej osi. W „grzybkach” byłam wciąż od niego niższa. Wziął mnie za rękę.

– Jesteś jak lody waniliowe – powiedział w końcu, patrząc mi w oczy. – Zwykły, podstawowy smak, żadnych niepotrzebnych uduziwnień. A jednak jego subtelność powala na kolana.

Poczułam się naprawdę niepewnie. Staliśmy bardzo blisko siebie i Adam pochyłał się wpatrzonego w moje usta. Zrobiłam chwiejny

krok w tył. Przytrzymałam się biurka, jakoś dotarłam na swoje miejsce. Odchrząknęłam.

– Przyniosłeś tłumaczenie?

– Co? A, tak, tłumaczenie. Mam. Stronę. Trochę błędów. Pewnie.

Wykazywał się niezłą inwencją. Pisanie z błędami, gdy człowiek odruchowo pisze poprawnie, jest naprawdę trudne. Wzięłam kartkę i zajęłam się wyjątkowo starannym podkreślaniami.

Parę godzin później ściśnięta w autobusie wracałam do domu. Odruchowo reagowałam na napierających zewsząd pasażerów, unikałam nadeptania komuś na nogę i uciekałam przed podeszwami tłoczących się ludzi. Pogoda za oknem w pełni odzwierciedlała mój nastrój. Padał deszcz, po chwili wychodziło słońce, po kilku minutach zniknęło i z nieba znów zaczynało siąpić. Taki sam bałagan miałam w głowie. Adam zmonopolizował moje myśli, a ja nie mogłam połączyć się we własnych uczuciach. Przerazało mnie, że coraz bardziej jest mi potrzebny, że odliczam minuty, zastanawiając się, czy przyjdzie dzisiaj, czy też będę musiała czekać do jutra. A zarazem byłam wściekła na nową Natalię, że przeżywa rozterki duchowe jak dawna Tusia albo jak bohaterka przedwojennego szlagieru *Chciałabym, a boję się*. Cholera, ja także chciałam tej znajomości, ale coraz bardziej się jej bałam.

Na swoim przystanku wysiadłam w ostatniej chwili, wyszarpując nogę z zamykających się drzwi.

– No nie, jeszcze tylko tego brakuje, żebym skreśliła kostkę – jęknęłam, idąc ostrożnie po mokrym, śliskim chodniku.

Obserwowałam parę przed sobą. Ona dość wysoka, zgrabna, w botkach na cieniutkich obcasach. On podtrzymywał swoją partnerkę, żeby nie przewróciła się na nierównych płytach. Kobieta poślizgnęła się nagle, ale asekurowana przez towarzysza natychmiast odzyskała równowagę. Usłyszałam śmiech obojga i komentarz mężczyzny:

– Uważaj, gdybym cię nie złapał, byłabyś kobietą upadłą.

Ja także się uśmiechnęłam, dowcipny facet. Adam wykazałby podobny refleks. A może nie zdążyłby z pomocą i oboje wyłożylibyśmy się na prostej drodze. „Świetnie, byłabym kobietą upadłą z Adamem” – sparafrazowałam w myślach usłyszane przed

chwilą słowa. Matko kochana, o czym ja mówię?! Właśnie dwuznaczność żartu zamieniłam w obraz zdecydowanie jednoznaczny. Obraz, który – nie miałam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości – będzie mnie teraz prześladował. Aż się wzdrygnęłam: to było prawie jak zdrada.

Wchodząc do domu, już od progu poczułam, że coś jest nie tak. W mieszkaniu pachniało świeżą kawą i... ciastem? Znałam ten zapach. Znam. Ten. Zapach. Nie mogłam złapać tchu, w oczach zapiekły mnie łzy. Racuchy. Tak pachną racuchy z jabłkami.

Weszłam do salonu, nagle zbyt słaba, by zajrzeć do kuchni. Dlaczego w moim domu pachnie racuchami Jabuni? Usiadłam na sofie.

– Tak, proszę pana, udały się. – Usłyszałam Wiolę, a potem coś stuknęło, jakby odkładała telefon na stół.

Stare techniki wciąż działały, więc opanowałam się błyskawicznie. Wstałam.

– Cześć.

Wiola się uśmiechnęła, wchodząc do salonu. Na tacy niosła filiżanki z kawą i talerz racuchów.

– Twój mąż zaraz przyjdzie. – Zerknęła na zegarek. – Za jakieś dziesięć minut, więc jeżeli potrzebujesz się ogarnąć, to teraz.

– Co to jest? – zapytałam zupełnie bez sensu, bo przecież widziałam, co stawiała na stole.

Wiola nie była głupiutką dziewczyną, za jaką uważał ją Joachim. Od razu zrozumiała, o co pytam.

– Ja tam nie wiem, co to jest, ale pan domu zapowiedział się dzisiaj wcześniej. Poleciał mi przygotować kawę i usmażyć to. – Wskazała racuchy i dodała: – To chyba dla niego bardzo ważne, bo kazał znaleźć przepis, który schowałeś całe wieki temu, i wszystko zrobić dokładnie według niego. „Żadnych odstępstw, Wioletto”. Tak powiedział.

– A mówił dlaczego?

– Nie mówił. Ale od kiedy on mi się tłumaczy ze swoich poleceń? Poczekaj, mam jeszcze rozłożyć serwetki, te haftowane.

– Te kiczowate, wiejskie? – powtórzyłam opinię Joachima o rękodziele Jabuni. Dostałam je wiele lat temu, ale do tej pory nie

wolno było ich rozkładać, bo podobno nie pasowały do mahoni.

– Dla mnie one są śliczne – powiedziała Wiola.

– Dla mnie też, ale dla Joachima to kwintesencja złego smaku.

– Co złego smaku?

– Całe są złym smakiem.

– Aaa... No, dobra. Są gusta i guściki – skwitowała Wiola i poszła po serwetki. Nakrywając stół, trajkotała: – Fajny ten przepis, w domu takie usmażę. Mama się ucieszy, ojczulek też nie pogardzi. Wiesz, zapisałam się do szkoły. Zaocznej. Będę się uczyć w weekendy, zrobię maturę. Studia to chyba raczej nie, ale matura to dobry pomysł, jak myślisz? Trochę może za stara jestem, ale co tam, zrobię. Powieszę sobie na ścianie i dalej będę u was sprzątać, ha, ha, ha.

Mówiła i mówiła, przeskakując z tematu na temat. Matura, racuchy, hafty, mama. Wspomniała o jakimś narzeczonym, wysoki, blondyn, oczy miał i usta. Nie słuchałam uważnie. Poprzez zamieszanie, jakie zrobiło mi się w myślach, znów dotarło do mnie coś ważnego, z czego Wiola nawet nie zdawała sobie sprawy. „Trochę może za stara jestem, ale co tam, zrobię”. Skoro stara Wiola może iść do szkoły, to może stara ja zabiorę się jeszcze raz do prawa jazdy? I tym razem nie pozwolę na siebie wrzeszczeć.

Joachim przyszedł zgodnie z zapowiedzią. Przywitał się ze mną, szepnął coś Wioli na boku i zniknął w łazience. Przyglądałam się zdziwiona.

– No, no – powiedziała tylko Wiola i wyjęła z szuflady dwa pojedyncze świeczniki. Ustawiła je na stole, zapaliła świece. Potem ubrała się i wyszła. Dużo wcześniej niż zwykle.

Stałam bezradnie w salonie, jakbym nagle znalazła się w obcym miejscu i nie wiedziała, gdzie mogę usiąść. Pomysł z prawem jazdy wywietrzył mi z głowy, a ja próbowałam zrozumieć, o co chodziło Joachimowi, gdy zadysponował racuchy, kawę i świece. I haftowane serwetki. Jeżeli planował romantyczną kolację, to nie racuchy i wiejskie hafty. Jeżeli miało być zwyczajnie i domowo, to nie świece. No więc, o co chodziło?

Mój mąż pojawił się wreszcie w salonie. Podszedł, pocałował mnie w usta. Kolejne zdziwienie. Umył zęby i się ogolił. Po co?

Wychodzimy gdzieś? Bez sensu. Świeże racuchy. Świece. Zostajemy w domu.

– Popatrz, Tusi. – Machnął ręką wyraźnie zakłopotany. – Trochę do siebie nie pasuje, prawda?

„Prawda, Joachimie”.

Wciąż stałam. A on patrzył na mnie jak wtedy, gdy się oświadczał. Z jednej strony wie, że dobrze robi, z drugiej jest niepewny mojej reakcji. To był jeden z najbardziej uroczych momentów w naszym życiu, te jego oświadczenia. Dzisiaj miał być drugi.

– Usiądźmy może. – Zaprosił mnie gestem, żebym zajęła miejsce obok niego na sofie, chociaż zwykle siadaliśmy naprzeciwko siebie.

– Poprosiłem Wiolettę, żeby to przygotowała. Wiem, że tęsknisz za babcią, mimo że minęło już tyle czasu, i pomyślałem, że... no, że będzie ci miło.

– Jest mi miło – szepnęłam przez zaciśnięte gardło i usiadłam obok niego.

Wzruszyły mnie te jego próby... próby... Nie wiedziałam, co próbował zrobić.

– Świece są dla nastroju – dodał. – Chciałem, żeby było romantycznie.

Zawstydził się i ostatnie słowo wypowiedział z lekkim przekąsem. Wybaczyłam mu. Joachim Rostowski, współwłaściciel kancelarii prawniczej, to nie zakochany młokos, który z patosem wyznaje uczucia, przynosi kwiaty i czekoladki.

– Jest bardzo romantycznie – powiedziałam z uśmiechem i bez odrobiny sarkazmu. – Naprawdę zrobiłeś mi ogromną przyjemność.

Był zdenerwowany. Kilkakrotnie poprawiał się na sofie, zaplatał i rozplatał ręce, sięgał do krawata i sprawdzał, czy węzeł jest prawidłowo zawiązany. Wreszcie wziął do ręki talerzyk, nałożył racucha i podał mi. W ostatniej chwili zapanowałam nad wesołością. Oto elegancki człowiek w angielskim garniturze, w krawacie i skórzanych butach, siedzący na kosmicznie drogiej, skórzanej sofie, pachnący Guccim, podaje mi porcelanowy, misternie malowany talerzyk. A na talerzyku racuch według wiejskiego przepisu. A na kolanach eleganckiego człowieka ręcznie haftowana wiejska serwetka. Żaden jedwab, tylko zwykłe, białe płótno.

– Dlaczego akurat dzisiaj wpadłeś na taki pomysł? – zapytałam, przelykając cudowne ciasto.

– No cóż, Tusi... – Teraz zdenerwował się jeszcze bardziej. Postawił talerzyk z głośnym brzękiem. A tak zawsze dbał, żeby odstawić naczynia bezszelestnie. – Doszedłem do wniosku, że może ostatnio trochę cię zaniedbywałem? – Pytaniem złagodził oczywistość tego stwierdzenia.

„Jeżeli «ostatnio» równa się «przez dziesięć lat», to masz rację, mężu, zaniedbywałeś mnie, ale nie będę psuć nastroju”.

Milczałam.

– Wiesz, mam coś dla ciebie. – Poderwał się nagle.

Patrzyłam za nim. Zachowywał się, jakby był przerażony. Jakby walczył o coś, co wymykało mu się z rąk. Ale dlaczego? Szybkim krokiem poszedł do gabinetu i wrócił po chwili. Podał mi podłużne pudełko.

– Skoro chcesz nosić biżuterię, to pomyślałem, że ci się spodoba.

Zerknęłam na wieczko. Apart. Złoto. Otworzyłam. W środku leżał delikatny naszyjnik. Złote serduszko z diamentową kropką, do tego cienki łańcuszek o skomplikowanym splocie.

– Jest śliczny – powiedziałam na nowo wzruszona.

Byłam wzruszona nie tyle samym wisiorkiem, ile jego znaczeniem dla mnie. Joachim zaakceptował zmiany, które we mnie zaszły. Przyjął je do wiadomości i wspierał na swój sposób. Nagle poczułam się okropnie podle, choć przecież nic złego nie zrobiłam. Między Adamem a mną do niczego nie doszło, a jednak już drugi raz tego samego dnia miałam poczucie, że w pewnym sensie zdradziłam męża. Zdjęłam kolorowy wisior, Joachim zapiął mi na szyi serduszko. Dotknął ustami mojego ucha, delikatnie przygryzł płatek.

– Miałabyś ochotę porozmawiać ze mną ubrana tylko w to złoto? – szepnęła, łaskocząc mnie oddechem.

Nie mogłam wydusić słowa. Skinęłam tylko głową.

„Tak, miałabym ochotę”.

Przeszliśmy do mojej sypialni. Zdejmowanie golfu nie jest tak romantyczne, jak powolne rozpinanie bluzki. Z trudem powstrzymałam okrzyk, gdy elastyczny materiał zahaczył o wsuwkę z mojego koka i pociągnął boleśnie. Joachim nie miał wprawy z takimi ubraniami. Dalej już umiał. Drocząc się ze mną, muskał

ustami moją szyję, dekolt. Zsunął ramiączko stanika, chwytając je zębami. Pieścił wargami moje ramię. Całował mnie po rękach, w zgięciu łokcia, w nadgarstek, we wnętrze dłoni. Spokojnie, niemal metodycznie, centymetr po centymetrze. A ja na nowo go zapragnęłam. Chciałam, żeby mnie rozebrał, żeby zerwał ze mnie spódnice, rajstopy, majtki i...

Szybko rozpięłam mu kamizelkę i koszulę. Cholera, zapomniałam o mankietach. Roześmialiśmy się oboje, gdy Joachim na chwilę uwieczony we własnej koszuli wyrwał się na wolność. „Proszę, proszę, niech dzisiaj nie będzie żadnych nagich, obwisłych konduktorów” – błagałam w myślach, nie wiedząc dokładnie, do kogo się zwracam. Sięgnęłam do jego paska, do rozporka, zsunęłam spodnie razem ze slipami. Och, już prawie zapomniałam, jaki on jest... Zamruczałam jak kotka. Był duży. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, osunęłam się na kolana i wzięłam go do ust. Już dawno chciałam sprawdzić, jakie to uczucie.

– Nie, Tusi – szepnął Joachim. – Tak nie trzeba...

Zachęcił mnie, żebym wstała. Dłońmi trzymał moją twarz, całował w usta, w kąciaki ust, w policzki.

Podniósł mnie i przeniósł na łóżko. Obchodził się ze mną jak z najcenniejszym skarbem, był czuły, subtelny i niesamowicie podniecający. Od razu rozsunęłam nogi i pozwoliłam mu wejść. Byłam gotowa. Wszedł mocno. Jego ruchy były silne, męskie, niemal władcze. Byłam poddaną cesarza. Pierwszą, najpiękniejszą, ulubioną konkubiną. Teraz ja będę cesarzową. Drgnęłam, dając znak, że chcę zmienić pozycję. Położył się na plecach, a ja dosiadłam go jak amazonka. Miał półprzymknięte powieki, ale widziałam jego błyszczące oczy. Teraz nie wydawały się bladoniebieskie. Były ciemniejsze, pełne jakiejś pierwotnej żądzy. Kierowałam swoimi ruchami. Stałam się egoistką, poruszałam się tak, żeby to mnie było dobrze. Nie słyszałam protestów.

Wytrysnął nagle, ściskając moją talię. Trochę za wcześnie dla mnie, ale i tak byłam zadowolona. Opadłam na jego piersi, wyczerpana. Krańcami świadomości czułam, jak głaszczę moje włosy. Długo jeszcze leżeliśmy obok siebie, zanim Joachim wstał i poszedł popracować w gabinecie.



Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się, abym drugi raz śniła ten sam sen. Jednakże tej nocy znów klęczałam na pochyłym parapecie i robiłam, co mogłam, żeby nie spaść. Okno nadal zasnuwane było tłustym, brunatnym błotem, które nie wpuszczało promieni słońca do pokoju. Tym razem nie było obok mnie ojca ani Joachima. Przy oknie stała Pati.

– Złap się lewą ręką, a szoruj prawą – doradziła mi. – Nogi daj trochę do przodu.

Od razu złapałam równowagę. Chwyciłam mocno klamkę, zaparłam się kolanami i wreszcie poczułam, że mam pewną pozycję. Teraz podeszła do mnie babcia i podała mi irchową ściereczkę. Po chwili dołączył Adam. W rękę trzymał butelkę. Z łatwością odczytałam pomarańczowe litery, które układały się w nazwę: „Płyn do mycia okien”. Adam spryskał detergentem trzymaną przeze mnie szmatkę. Przetarłam szybę i miejsce, w którym ircha zetknęła się ze szkłem, od razu zrobiło się przejrzyste. Szybko umyłam resztę. Tafla stała się niemal niewidoczna. Dopiero teraz zrozumiałam różnicę między „umyte” a „naprawdę czyste”. Patrzyłam przed siebie na drzewa i budynki. Częściowo przysłonięte resztkami mroku, lśniły czerwienią wschodzącego słońca. Potem czerwień rozmyła się i zastąpiło ją jasne światło pierwszych promieni świtu.

Obudziłam się zdezorientowana. Słońce rozświetlało zasłony w sypialni i przez chwilę próbowałam sobie wmówić, że mój sen nie miał większego znaczenia. Ot, zwykłe nałożenie się rzeczywistości na uśpiony umysł. Tu słońce, we śnie słońce, nie ma się czemu dziwić, że na moment przed przebudzeniem zobaczyłam siebie myjącą szybę w złocistych promieniach. Jednakże mój skłonny do sceptycyzmu umysł natychmiast podpowiedział mi temat do rozważań: „Dlaczego po udanym seksie z Joachimem śni mi się Adam?”.

Wstałam, choć do dzwonka budzika została jeszcze prawie godzina. Starając się nie obudzić Joachima odgłosami z łazienki, szybko umyłam się i uczesałam. Długo stałam przed otwartą szafą. Do tej pory nie miałam problemów z doborem stroju. Wkładałam jedną z bluzek, zapinałam ją pod szyję, do tego jakiś szary lub brązowy sweter, rajstopy, spódnica, płaskie buty. To wszystko. Teraz

wybór również wydawał się prosty: golf lub dla odmiany tunika, nowe pantofle, czarne spodnie. A jednak wahałam się. Nowa Natalia czy Tusia? Tusia czy nowa Natalia? Kim w końcu byłam? Dotknęłam złotego serduszka, które wciąż miałam zapięte na szyi. Wzięłam jedną z jedwabnych bluzek, do niej dobrałam szarą spódnicę. Dobrze. Buty. „Grzybki” czy czółenka bez obcasów? W połowie kwietnia jest wystarczająco ciepło, żeby wybrać lżejsze obuwie, zdecydowałam, wdeptując w płytkie balerinki. Nie wiem, dlaczego poczułam złość. Zupełnie jakbym próbowała oszukać samą siebie. Spojrzałam w lustro i rozpięłam górny guzik bluzki. Serduszko zalśniło diamentowo. Wciąż zdenerwowana wróciłam do pokoju i zajęłam się makijażem.

Do Double Book weszłam ponura i niezadowolona z życia. Nie chciałam, żeby akurat dzisiaj odwiedził mnie Adam, i jeszcze bardziej złościło mnie, że wciąż zerkam na zegarek. Zwykle zjawiał się koło dziesiątej, kiedy Gazda wychodził na spotkanie. Była ósma trzydzieści, miałam trochę czasu na uporządkowanie własnych emocji i zorientowanie się, o co mi, do cholery, chodzi. Prawie podskoczyłam, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

„To chyba najszybsze półtorej godziny w historii” – pomyślałam, ale do pokoiku, nie czekając na sygnał z mojej strony, weszła Pati.

– Co się dzieje? – zapytała bez wstępów.

– Joachim był wczoraj cudowny – odpowiedziałam, wiedząc, że i tak nie ma sensu robić uników. Zresztą, potrzebowałam rozmowy. Opowiedziałam jej o wszystkim, pokazałam serduszko i bezradna czekałam na wskazówki.

– Do sennika nie będziemy zaglądać – stwierdziła. – Nie obchodzi nas, czy „okno myć o świcie” oznacza wielki spadek, czy katastrofę na wodzie. Tu wcale nie o okno idzie. Pomogłam ci ja, to jest zrozumiałe, pani babcia, to też jasne. A Adam... Co on według ciebie ma do tego?

– Od niego wszystko się zaczęło – odparłam zgnębiona. – Pamiętasz? U ciebie w piątek zapytałaś mnie o niego, potem ja zamieniłam się w histeryczkę, potem makijaż, zakupy. Dalej pociągnęłam sama.

– No dobrze. – Pati potrząsnęła asymetrycznymi kosmykami rudych włosów. – Ale czy trzeba od razu się załamywać?

– Trzeba, Pati. Nie chcę zostawiać Joachima.

– A kto ci każe?

– Zdradzać go też nie chcę.

– A kto ci każe?

Zastanowiłam się. Właściwie, nikt mi niczego nie kazał. To ja tak się pogubiłam, że wręcz szukałam kogoś, kto palcem pokaże mi, co mam robić.

– Nati, kiedy tłumaczyłam, że masz być wolna, nie miałam na myśli rozwodu i przeprowadzki na drugi koniec Polski. Chciałam tylko pokazać, że jesteś na tyle kumata, by samodzielnie podejmować decyzje. Rozumiesz?

Pokiwałam głową. Rozumiem. Ale czy Pati rozumie, jakie to trudne? Mówiła dalej:

– Adam ci się podoba. Fajnie. Możesz patrzeć na niego jak na ładny obrazek, jak na ten twój pejzaż na ścianie. Możesz fantazjować, jaki jest w łóżku. Wreszcie, możesz to sprawdzić. Ale nic nie musisz. Równie dobrze możesz wytknąć mu bief i zabronić odwiedzin. – Natychmiast zareagowała na wyraz mojej twarzy: – O, to ostatnie ci nie pasuje.

Nie pasowało. Myśl, że mogłabym już nigdy nie zobaczyć Adama, napawała mnie i smutkiem, i przerażeniem jednocześnie. Lubiłam nasze rozmowy. Podobało mi się, że to, co miałam do powiedzenia, było dla niego ważne. Poza tym jego reakcja, gdy zobaczył mnie w czerwonym golfie... Jakże inna od powitania, które zgotował mi Joachim. No, ale też dla Joachima to był większy szok. Można go usprawiedliwić.

– Chcę widywać się z Adamem, ale nie chcę, żeby wyszedł z tego romans – stwierdziłam stanowczo.

– OK. Tylko mu to powiedz, żeby facet nie obiecywał sobie cudów na kiju.

– Przecież on wie, że mam męża.

– Nati... – Patrycja skrzywiła się śmiesznie. – Nie rób z siebie idiotki, bo jesteś kompletnie niewiarygodna.

„Cholerna Pati” – pomyślałam na nowo rozżłoszczona. Rozżłoszczona, bo nagle zdałam sobie sprawę, że nie chcę mówić

Adamowi, że na nic poza rozmową nie może liczyć.

Tego dnia nie przyszedł do Double Book, a ja byłam mu na swój sposób wdzięczna. Potrzebowałam odrobiny spokoju. Oddechu od intensywności własnych emocji.

Zgodnie z obietnicą, jaką złożyłam Joachimowi, na następne spotkanie z Drawskimi przebrałam się za Tusię. I tak nie wypadało włożyć czerwonego golfu ani spodni. Wybieraliśmy się do filharmonii na Czwartkowe Spotkania Muzyczne. W grafitowej, prostej sukience z małym dekoltem wyglądałam bardzo odpowiednio. Spokojnie, jak co miesiąc, poddawałam się mężowskiej inspekcji. Ojciec doradził (czytaj: „polecił”) Joachimowi podtrzymywanie kontaktów z wiekowym mecenasem. Sam raz na kwartał zapraszał byłego wspólnika i jego żonę na obiad, zdecydował jednak, że mój mąż powinien zadzierzgnąć bliższą przyjaźń ze znanym w Warszawie adwokatem.

– Ja już niedługo popracuję – powiedział kiedyś. – Ale ty, Joachimie, masz przed sobą całą karierę. Powinieneś obracać się we właściwych kręgach i w razie potrzeby móc powołać się na odpowiednie nazwisko. Tusia także zyska na tej znajomości. Nabierze ogłady, zobaczy, jak to jest przebywać wśród ludzi na poziomie.

Joachim przytaknął mu gorliwie i ze skrupulatnością szwajcarskiego zegarmistrza umawiał nas na regularne spotkania. Przed kolejnym sformułowałam w myślach list do Drawskiego:

Szanowny Panie Mecenasie,

*czy zdaje Pan sobie sprawę, iż znajomość z Panem znaczy dla mojego męża dokładnie tyle, ile Pańskie wpływy w prawniczym świecie? Czy wiedząc o tym, dalej życzy Pan sobie iść z nami na Czwartkowe Spotkania Muzyczne, ryzykując, że będą grali Mozarta? A może wybierzemy się, tym razem bez Joachima, na jakiś chiński film? Tytuł Dom latających sztyletów wydaje się odpowiednio krwawy, by zainteresował także Pańską uroczą małżonkę, która z taką fascynacją słuchała opisu krępowania stóp. A może wystawa malarstwa azjatyckiego?*

*Z poważaniem, wciąż wdzięczna za Pańską uwagę w Blue City,  
Natalia Rostowska*

Uśmiechnęłam się pod nosem, redagując wyimaginowaną epistołę, podczas gdy wzrok Joachima uważnie lustrował moją suknię, pantofle i torebkę. Inspekcja przebiegała bez przeszkód do momentu, gdy pan mąż zatrzymał wzrok na mojej twarzy.

– Makijaż? No, Tusiś – skarcił mnie, jak karci się dziecko, które kolejny raz popełnia ten sam niewielki, lecz drażniący błąd.

– Jest wieczór – odparłam – i lekkie podkreślenie oczu i ust jak najbardziej pasuje. Poza tym, jeżeli chcemy zdążyć, powinniśmy wyjść już teraz. Co powiedzą Drawscy, jeżeli przyjedziemy spóźnieni?

Po romantycznych wzlotach Joachima zostało mi tylko miłe wspomnienie. Nie krytykował już moich strojów na co dzień, nie wymagał, abym umyła twarz, gdy umalowana wybierałam się do Double Book, ale też nigdy nie pochwalił, że ładnie wyglądam, ani nie przygotował następnej kolacji przy świecach i racuchach. Teraz spojrzął na zegarek i westchnął ciężko:

– Chodźmy więc. Mecenas najprawdopodobniej niczego nie zauważy.

„Jak mógłby zauważyć taką sobie Tusiś?” – pomyślałam gorzko. W końcu kim ja jestem, żeby zarejestrować moją obecność, nieprawdaż?

To miał być jednak pechowy wieczór dla Joachima, bo Drawski zauważył od razu.

– Pani Natalio – powiedział, pochylając się i całując moją dłoń. – Jeszcze nigdy nie widziałem pani umalowanej...

Mój mąż natychmiast wtrącił z usprawiedliwieniem:

– Próbowałam wytłumaczyć żonie, że pomysł nie jest dobry, ale wiesz, Ignacy, jakie są dzisiejsze kobiety. Marzą o niezależności, nawet jeżeli takowa im szkodzi.

Umilkł, czekając na uznanie mecenasa. No i tu zaczął się pech, który miał towarzyszyć Joachimowi do końca koncertu, a potem jeszcze odrobinę dłużej.

– Moim zdaniem nie ma nic bardziej interesującego niż niezależna, mądra kobieta – ocenił chłodno Drawski, a następnie

zwrócił się do mnie: – Pani Natalio, zanim nam przerwano, chciałem powiedzieć, że wygląda pani pięknie.

– To prawda – wtrąciła się Drawska. – Prześlicznie pani w takim odcieniu szminki. Co to za firma? Mnie też chyba będzie...

– Ależ, Ignacy, ja tylko chciałem... – Joachim zupełnie zapomniał o manierach, ale Drawski szybciotko mu przypomniał:

– Mój drogi, już po raz drugi przerywasz czyjaś wypowiedź. Tym razem wina jest większa, bo nie pozwoliłeś skończyć Helenie.

Mimo uśmiechu głos Drawskiego zabrzmiał lodowato, a ja obserwowałam całe zajście ze zdumieniem. Nigdy nie widziałam mecenasa tak zirytowanego. Do tej pory był miłym, spokojnym mężczyzną o przedwojennych manierach. Dzisiaj zmienił się w mojego obrońcę. Wiedziałam, że mnie lubi i czasem patrzy z pobłażliwą ironią na mojego męża i jego sztywny sposób bycia. Dotychczas jednak nigdy nie stawał tak jawnie po mojej stronie przeciwko Joachimowi. A może czekał, aż ja sama będę gotowa? Może Drawski to taki mistrz zen, który wstrzymuje lekcje do czasu, aż uczeń dojrzeje na tyle, by przyjąć nauki? Musiałam także zrewidować poglądy na temat jego małżeństwa. Drawska wcale nie stała w cieniu męża; odzywała się rzadko, ponieważ nie lubiła przyciągać uwagi. Jednakże, gdy już mówiła, mąż wymagał, aby słuchano jej z należyтым szacunkiem. Joachim zaś...

Mój biedny Joachim, aż mi się go szkoda zrobiło. Wyglądał jak chłopiec zbesztany przez nauczyciela, którego był pupilkiem. Okazało się, że nauczyciel wcale go nie lubił, a dobre oceny stawiał, bo nie miał wyjścia, chociaż irytowało go, że musi nagradzać wiadomości nie tyle zrozumiane, ile cytowane za podręcznikiem.

Mecenas zlitował się w końcu i zmienił temat:

– Kupię programy – powiedział i podszedł do hostessy.

Przeglądając niewielką książeczkę, odetchnęłam z ulgą. Żadnego Mozarta. Był Rachmaninow, a potem, ku mojej ogromnej radości, *Bolero* Ravela.

Joachim wyjątkowo nie cieszył się muzyką. Siedział spięty i rozdrażniony do tego stopnia, że nie udało mu się utrzymać prostej postawy. Wiercił się i poprawiał na krześle. Zachowanie, za które ja zostałabym przez niego skarcona.

– Piękny koncert – powiedziała Drawska, gdy w szatni czekaliśmy na nasze ubrania.

– Pianista odrobinę za późno reagował na sygnały dyrygenta – skomentował mój mąż. – Wyraźnie słyszałem, jak rozmija się z orkiestrą. No i bolero. Całkowicie zepsute. Zaczęli za głośno i żeby stworzyć efekt potęgowania się dźwięków, musieli potem przyspieszyć. Niedopuszczalne.

– Całe szczęście zatem – mecenasowa zaśmiała się cicho – że nie mam twojego wyrobionego ucha, Joachimie. Mogłam bez przeszkód cieszyć się wspaniałą muzyką, podczas gdy ty cierpiełeś z powodu niedoskonałości.

Drawski uśmiechnął się do niej czule i spojrzał na mnie.

– A co pani myśli, pani Natalio?

– Zauważyłam przyspieszenie orkiestry przy Ravelu, ale uznałam, że to zamierzony zabieg. W ten sposób jeszcze lepiej budowali napięcie. Bardzo mi się podobało. Kiedy w końcu włączyły się kotły, miałam ciarki na całym ciele.

– Tusi – szepnął Joachim.

Co powiedziałam nie tak? Ach, ciarki. Nie należało wspominać o ciarkach.

– Mnie też przechodziły dreszcze – wyznał Drawski, a potem dodał, całkowicie pokonując Joachima: – Bardzo lubię to uczucie.

Wracaliśmy do domu w zupełnej ciszy. Joachim od razu uruchomił silnik, nie szukając stacji z muzyką klasyczną, i ruszył. W mieszkaniu rzucił mi krótkie: „Dobrej nocy” i bez zwyczajowego pocałunku w czoło poszedł do swojej sypialni.

Dopiero rano zrozumiałam przyczyny jego złego nastroju.

– Powinnaś była zgodzić się ze mną, gdy mówiłem o koncercie – powiedział mój mąż zamiast „Dzień dobry”, gdy, jak zwykle nieprzytomna, weszłam do salonu. – Teraz Drawski pomyśli, że nie układa nam się w małżeństwie.

– Słucham?

– Jeżeli żona zaprzecza mężowi w każdym zdaniu, to znaczy, że źle się dzieje w związku. Sprzeciwiłaś mi się i w kwestii makijażu, i w kwestii oceny muzyki. Nie chcę, żeby Drawscy odnieśli wrażenie, że... – Zawiesił głos.

„Że co, kochanie? Że niedostatecznie mnie kontrolujesz?” – Nie, przesadziłam, czegoś takiego Joachim by nie powiedział.

– ...że nie umiem z tobą postępować, Tusi.

A więc jednak.

Odetchnęłam głębiej i pozwoliłam wściekłości spokojnie przez siebie przepływać. Po pierwsze, Drawskiemu podobają się samodzielnie myślące kobiety. Nie, to będzie po ostatnie. Jeszcze raz. Po pierwsze, nigdy nie umiałeś ze mną postępować. Po drugie, czasy twoich rządów właśnie się skończyły. Po trzecie, o tym, czy w małżeństwie dobrze się układa, nie świadczy posłuszeństwo żony. Po czwarte, jeżeli oczekujesz bezwarunkowego oddania, kup sobie psa. Labratory podobno żyją po to, by uszczęśliwiać właścicieli. Chcesz, to ci zorganizuję szczeniaczka. Po piąte... i tu poczułam się jak zbuntowana nastolatka, bo pomyślałam: „Pokażę światu, jak nikły jest twój wpływ na mnie. Na następny koncert w filharmonii przyjdę z różowo-zielonym irokezem na głowie i piętnastoma kolczykami w uszach. I głośno klaszcząc do rytmu, będę zachwycać się każdym fałszem, jaki zafunduje nam orkiestra”.

To było dziecinne i niedojrzałe, wiem. Ale też nigdy nie miałam okazji być zbuntowaną nastolatką. Całe życie byłam uprzejmą starszą panią i tylko na wsi u Jabuni mogłam zachowywać się jak dziecko. Oczywiście, żaden z tych pomysłów nie został zwerbalizowany. Szanowny pan radca mówił, a ja milczałam. Zresztą, po co polemizować z kimś, kto i tak przepuszcza wszystko przez swoje bardzo wąskie i wyspecjalizowane filtry?

Nie wiem, co Joachim zobaczył w mojej twarzy, ale po raz kolejny w ciągu kilku dni wyglądał na przestraszonego. Teraz jednak zrozumiałam, czego się boi. To nie jest lęk przed utratą żony, to nie jest lęk przed rozpadem małżeństwa. To okropny strach przed opinią innych ludzi. Bo czyż szacownemu radcy, współwłaścicielowi kancelarii Rawicz–Rostowski, wypada mieć nieposłuszną małżonkę, która ma czelność wygłaszać własne opinie? A czy wypada mieć małżonkę, która jest bliska decyzji o zmianie stanu cywilnego?

„Moje ty maleństwo – pomyślałam z zaskakującą dla mnie samej czułością. – Jaki ty jesteś biedniutki. Jak ty się boisz. – I z tą samą czułością dopowiedziałam w myślach: – Całe szczęście, mały, przestraszony Joasiu, że to twój strach, a nie mój”.



Wciąż bez słowa poszłam do swojego pokoju, żeby się ubrać. Ostrożnie odpięłam serduszko i umieściwszy je w pudełku, odłożyłam do szuflady. To był ostatni dzień, kiedy miałam je na sobie.

Po pracy pobiegłam na kolejne zakupy i chodząc po centrum handlowym, żałowałam, że nie zatrudniają tragarzy. Pomysł różowo-zielonego irokeza i piętnastu kolczyków w uszach musiał zapaść mi w pamięć głębiej, niż początkowo sądziłam, bo zatrzymałam się przed gabinetem kosmetycznym.

„Bezbolesne przekłuwanie uszu” – przeczytałam. To już chyba przesada. Komu i co chcę udowodnić?

„Jesteś na tyle kumata, by samodzielnie podejmować decyzje”. – Usłyszałam głos Pati, jakby stała tuż obok mnie.

„Niczego nie chcę udowadniać – zdecydowałam. – Po prostu mam ochotę na kolczyki. Przecież nie włożę piętnastu”.

Reklama na witrynie gabinetu okazała się, jak wszystkie reklamy, odrobinę nieprawdziwa. Bezbolesne to nie było, ale niewątpliwie skuteczne. Kosmetyczka przyłożyła mi pistolet do płatka i po jednym: „Au!” i jednym „Auuua!” miałam w uszach śliczne, delikatne kolczyki ze stali chirurgicznej.

– Tak najszybciej się zagoi, nawet lepiej niż przy srebrnych – wyjaśniła młoda pracownica gabinetu, której jedynym sposobem na nudę musiało być przekłuwanie własnego ciała. W każdym uchu miała po trzy kółeczka i dwie cyrkonie, nad jej górną wargą tkwił czarny punkcik z daleka przypominający pieprzyk, a brew przebita była miniaturowym, zagiętym gwoździem. Reszty nie widziałam, i dobrze.

– Złoto jest najlepsze – wtrąciła się starsza klientka, która przyszła na maniur.

– Stal – odparowała kosmetyczka i udzieliła mi dodatkowych porad: – Proszę przemywać spirytusem, nie wyjmować kolczyków przez co najmniej dwa tygodnie, nie ruszać. I uważać na ubranie, żeby nie zahaczało.

– Wódką trzeba przemywać – sprzeciwiła się manikiurowana pani. – I obracać w uchu, bo wrosną w ciało i potem pani nie

usunie. Poza tym lepsze byłyby kółka, bo powietrze dochodzi. Pod sztyftem się kisi i zacznie ropieć.

Wzdrygnęłam się. Pożałowałam, że w ogóle tu przyszłam.

– Bzdura – syknęła poprzekłuwana dziewczyna. – Nie ruszać, spirytus, stalowe sztyfty.

– Obracać, wódka, złote kółka.

– Och, ale późno! – wykrzyknęłam, patrząc na nadgarstek, na którym nie miałam zegarka. – Dziękuję, do widzenia.

Wybiegłam z gabinetu, wygrzebałam z torebki telefon i zadzwoniłam do Pati, która, gdy już skończyła się dziwić, szybko powiedziała mi, jak postępować ze świeżo przekłutymi uszami.

– Nie martw się – uspokoiłam Joachima, widząc, jak patrzy na mój nowy nabytek, gdy wreszcie zjawiłam się w domu. – Drawskim powiemy, że mi pozwoliłeś.

Nic nie zrozumiał.

– A twojemu ojcu? – zapytał.

– Że córka ordynatora onkologii też ma takie...?

– Kto?

– Nieważne – westchnęłam. – Nieważne.

– Ależ, Tusi...

Tusiu-srusiu... Następnym krokiem będzie nauczanie go, że mam na imię Natalia.

Ostatni raz widziałam Adama w połowie kwietnia. Teraz wiosna szalała majem, a on nie przychodził. Dlaczego? Codziennie biegłam do wydawnictwa z nową nadzieją i codziennie popołudniami pocieszałam ją, prosiłam, żeby się nie poddawała, bo może jutro już... Wynajdywałam rozmaite usprawiedliwienia: może wyjechał na wystawę, może dostał pilne zlecenie i musi zająć się pracą, może... Może po prostu znudziły mu się nasze rozmowy. Byłam zła na wszystko i wszystkich. Na Gazdę za to, że traktuje nas lekceważąco, na Pati, że jest świadkiem moich problemów, na wiosnę, że jest taka szczęśliwa, podczas gdy ja cierpię, na Jabunię, że jej nie ma, na Joachima za całokształt. I na Adama. Bo pokazał mi, co mnie ominęło i czego prawdopodobnie nigdy nie dostanę.

Tworzyłam w głowie scenariusze spotkania: Adam przychodzi w końcu do Double Book, a ja witam go lodowato i nie mam dla

niego czasu; Adam przychodzi, a ja rzucam mu się na szyję, całuję, potem idziemy na kawę, trzymając się za ręce; Adam przychodzi, obok niego piękna kobieta, na jej palcu pierścionek. I ostatnia wizja: Adam nie przychodzi, ja do końca życia wędnę za biurkiem do szesnastej, potem usycham w skórzano-mahoniowym salonie, za towarzystwo mając *Requiem*. Byłam gotowa sama przed sobą przyznać się do uczuć wobec Adama. Wciąż jeszcze nie miałam odwagi nazwać ich miłością, ale jednego byłam pewna: zwykle „Ten facet bardzo mi się podoba” dawno przestało być aktualne. Chciałam więcej. I dać, i dostać. A on nie przychodził. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Nie umiałam znaleźć sobie miejsca, kręciłam się w kółko jak niespokojny żrebak wyczuwający koniec świata.

Wtedy przyszedł. Bez pukania otworzył drzwi do mojego pokoiku i stanął przed biurkiem. Przestałam oddychać. To jest ten moment, w którym powie, że nie chce mnie ranić, że zauważył moje zaangażowanie i nie mogąc się zrewanżować, postanowił nigdy więcej mnie nie odwiedzać. A potem wytłumaczy, delikatnie, łagodnie, ale sens będzie oczywisty: nie interesuje go o pięć lat starsza kobieta, która dopiero teraz uczy się żyć, dopiero teraz poznaje samą siebie. I jeszcze poprosi, żebym zrozumiała. Zrozumiem, oczywiście, że zrozumiem.

– Siadaj – powiedziałam, wskazując krzesło.

Byłam spokojna, mówiłam neutralnym tonem, do którego nawet Joachim by się nie przyczepił. Adam się nie odzywał. Usiadł i patrzył na mnie tymi swoimi zielono-zmiennymi oczami. I milczał.

– Przepraszam – szepnął wreszcie.

Uniosłam pytająco brew.

„Za co? Niczego mi nie obiecywałeś. To w końcu nie twoja wina, że zaczęłam traktować cię jak niezbędny do życia tlen”.

– Zachowałem się jak gówniarz, znikając na tyle dni bez słowa.

„Przecież z niczego nie musisz mi się tłumaczyć” – pomyślałam.

– Przygotowywałeś się do wystawy? – zapytałam głośno.

– Chciałbym mieć takie proste wyjaśnienie – odparł i dopiero po chwili zaskoczony dodał: – A więc wiesz?

Skinęłam głową.

– Od jak dawna?

– Od marca.

Roześmiał się krótko.

– Tyle czasu pozwalalaś mi robić z siebie idiotę z tłumaczeniami dla Gazdy?

Znów skinęłam głową, potwierdzając wszelkie jego domysły na temat moich uczuć. Jeżeli w ogóle chciało mu się czegokolwiek domyślać.

– Dlaczego?

Oj, za trudne pytanie. Czas sięgnąć po sposoby Pati.

– Dlaczego tyle czasu robiłeś z siebie idiotę?

Wsunął dłoń w zaczesane do góry włosy, ale w połowie gestu opuścił ją bezradnie. Poruszył ustami, pokręcił głową, jakby zdecydował, że nie to chce powiedzieć.

– Naprawdę zainteresowały mnie twoje Chiny. Niczego nie udawałem.

– Wiem. Trzy tomy *Talizmanu z Nefrytu* to za dużo na udawanie.

– Nat... – zamilkł. – Nat...

Podobało mi się to zdrobnienie. Nikt inny tak mnie nie nazywał. Odetchnął głębiej i podjął decyzję. Teraz mówił szybko, jakby bojąc się, że wyproszę go z pokoju, zanim zdąży wszystko powiedzieć.

– Wiem, że masz męża. Patrycja nie chciała mi nic więcej powiedzieć, nawet nie wiem, czy jesteś z nim szczęśliwa. Szlag. Próbowałem sobie tłumaczyć, że to kretyństwo, ale... – zdusił przekleństwo – zakochałem się w tobie, Nat. Ja wiem, że to bez sensu. Nie mam prawa pakować się w twoje życie. Dlatego przestałem przychodzić. Myślałem, że gdy nie będę cię widywał, nabiorę dystansu, zmadrzeję, zrozumiem, że... Ech – machnął ręką.  
– Zrozumiałem tylko, że dystans nie działa. Było mi jeszcze gorzej.

W trakcie przemowy wstał, chodził po pokoiku. Mógł zrobić tylko po dwa niewielkie kroki w każdą stronę i wyglądał jak tygrys w klatce. Ale nie taki, który samą wściekłością próbuje rozerwać pręty. Wyglądał jak tygrys, który jeszcze nie do końca pojął, gdzie się znalazł, i stara się ocenić sytuację. Usiadł wreszcie, nie patrząc na mnie.

Teraz już mogłam oddychać. Wciąż nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, ale mogłam oddychać. Równo, głęboko i spokojnie.

– Więc przyszedłem do ciebie, bo pomyślałem... pomyślałem, że to ty powinnaś zdecydować. Powiedz mi, że jesteś szczęśliwa z mężem, a zniknę. Ale jeżeli powiesz, że tego chcesz, to jestem twój. Nat, odezwij się – szeptał tak cicho, że z trudem go słyszałam.

Nadeszła chwila, w której miałam zdecydować, czy zostanę przy marzeniach, czy dotknę rzeczywistości.

– Nie jestem – powiedziałam.

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie jestem szczęśliwa w małżeństwie – powtórzyłam, żeby miał pewność, że dobrze zrozumiał.

Roześmiał się głośno, z ulgą.

– Paskudny jestem, prawda? To wstrętne, że cieszę się, że nie jesteś szczęśliwa.

– Trochę nieładnie z twojej strony.

Śmialiśmy się oboje. Ach, Joachimie, może odsłanianie zębów jest nieeleganckie, ale nawet nie wiesz, jak cudownie jest się śmiać tak szczerze. Jakie to piękne uczucie, gdy aż boli brzuch, gdy próbujesz go ścisnąć i jakoś powstrzymać wesołość, ale zupełnie ci to nie wychodzi i w końcu poddajesz się, i po prostu śmiejesz się i śmiejesz. To jest ta wolność, o której mówiła Pati.

– Co robimy? – zapytał.

– Adam – powiedziałam nagle poważnie. – Wiesz, że jestem od ciebie starsza? Pięć lat.

– Pieprzyć – stwierdził krótko.

– Pieprzyć – powtórzyłam. Ale fajne słówko, „pieprzyć”. Tyle znaczeń, tyle sposobów interpretacji. „Pieprzyć, drogi mężu. Pieprzyć, tato. Pieprzyć, mecenasie Draw...”. Nie, Drawski był w porządku.

– To co robimy?

– No wiesz, dżentelmen z wyższych sfer zaprasza damę do eleganckiej restauracji i wybiera za nią potrawy. Ale naprawdę sympatyczny facet proponuje spotkanie i pyta kobietę, dokąd chciałyby pójść.

– Natalio – zapytał oficjalnie, ale z radością w oczach. – Może zechciałabyś się ze mną spotkać? Powiedz, jaką lubisz kuchnię, dokąd miałybyś ochotę się wybrać.

Przed oczami stanęły mi wszystkie miejsca, które odwiedzaliśmy z Joachimem. Kawiarnia Kolonialna ze swoim sztucznie przytulnym wnętrzem, wielka sala w Elegantus, w której opowiadałam Drawskim o krępowaniu stóp. Niemal poczułam w ustach smak tiramisu i kremu truflowego.

- Poszłabym na pizzę – rzuciłam.
- Jakież konkretne miejsce?
- Wszystko jedno, po prostu pizza. Gdzieś, gdzie można usiąść.
- Piątek?
- Piątek.
- Po pracy?
- Po pracy.
- No to mamy randkę.
- Mamy.

Wtedy jeszcze mnie nie pocałował.

W piątek rano poinformowałam Pati:

– Gdyby cokolwiek, tak wiesz, na wszelki wypadek, to dzisiejszy wieczór spędzam z tobą.

Wiedziała, kiedy nie zadawać zbędnych pytań, więc uśmiechnęła się tylko i zadała niezbędne pytanie:

– Gadamy trochę i wracasz do domu czy rozmawiamy do późna i nocujesz?

„Nie, nie, żadnego nocowania, na to jest stanowczo za wcześnie”  
– tak chciałam jej odpowiedzieć. Zamiast tego wybąkałam:

– Zadzwoń w sobotę i ustalimy zeznania.

Pojechaliśmy do niewielkiej pizzerii na Woli. Joachim nie wytrzymałby tam ani minuty. Ludzie rozmawiali normalnymi głosami, nie ścisząc ich do eleganckich szeptów. Jakaś dziewczyna co chwila wybuchała serdecznym śmiechem, a siedzący razem z nią przy stoliku mężczyzna wtórował jej w nieco rzadszych odstępach. Para obok nas karmiła się nawzajem, podając sobie do ust ociekające serem kawałki pizzy. Wnętrze urządzone w jaskrawych oranżach i żółciach i nawet gdy rozmowy cichły na chwilę, miałam wrażenie gwaru. Westchnęłam i uśmiechnęłam się szczęśliwa. Tak

wyobrażałam sobie prawdziwe życie. Normalni ludzie, normalne emocje, normalne zachowania. Gdy coś cię bawi, śmiejesz się, jak ta dziewczyna z końca sali, gdy coś cię złości, przeklnij jak nastolatki pod oknem, a kiedy coś ci się nie podoba, możesz zawołać: „Absolutnie się nie zgadzam!”, jak starsza pani w zawadiacko przekrzywionym kapelusiku na głowie.

– Trochę głośno! – Adam przekrzyknął kolejną salwę śmiechu wesolej pary. – Ale mają najlepszą pizzę w Warszawie!

– Bardzo mi się tu podoba! – odkrzyknęłam i spróbowałam pizzy po chłopsku.

„Żadnej subtelności smaku – pomyślałam. – Cudownie”.

Wreszcie konkret: pieprz, papryka, majeranek, kawałki przypieczonego mięsa. Żaden policzek wołowy w korzennej marynacie z borowikami, żadne eskalopki cielejące w szparagowym sosie. Żadna zmiksowana jak dla niemowlaka zupa krem. Byłam zachwycona.

– W życiu nie jadłam czegoś tak pysznego – powiedziałam, a Adam ucieszył się, jakby osobiście przyrzędził moje danie.

Kolacja upłynęła nam na słodkich rozmowach o niczym. Trochę sztuki, trochę filmu, trochę literatury, dużo śmiechu, ani odrobiny udawania i ukrywania własnych opinii. Fantastyczny wieczór na luzie.

– Dokąd cię odwieźć? – zapytał, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Na Powstańców Śląskich, ale nie pod sam dom, dobrze?

Skrzywił się nieznacznie. Nie spodobało mu się przypomnienie o Joachimie.

– Nat, czy ty i on...?

– Mijamy się w drzwiach, mówimy sobie „Dzień dobry” i „Dobranoc”, czasem uzgadniamy, co Wiola ma ugotować na obiad. To wszystko – odparłam.

Skinął głową, twarz mu się wygładziła.

– Jest dużo starszy ode mnie – dodałam. – Traktuje mnie bardziej jak córkę, a ja już dawno przestałam widzieć w nim męża.

Zamyśliłam się, gdy usłyszałam własne słowa. Kim teraz był dla mnie Joachim? Drugim ojcem? Już nie. Twórcą, artystą rzeźbiarzem? Także nie. Posąg ożył i nabrał własnych cech. Więc

kim? Mieszkaniem i kontem bankowym? Częściowo. Kim jeszcze? Nie umiałam odpowiedzieć.

Adam czekał spokojnie, aż sobie to poukładałam, nie przerywał, nie zadawał pytań, nie próbował zagadać ciszy. Potrząsnęłam głową. Na pewno Joachim nie był kimś, o kim chciałam myśleć w czasie randki z Adamem. Uśmiechnęłam się.

– Fantastycznie się bawiłam. Dziękuję.

– Bardzo chciałbym zaprosić cię do siebie, ale chyba jeszcze trochę za wcześnie, prawda?

– Trochę tak.

– Dobrze. Nie musimy się spieszyć. Mamy cały czas na ziemi.

Wtedy uwierzyłam. No bo skąd miałabym wiedzieć, że cały czas na ziemi może okazać się tak krótkim okresem?

Wsiedliśmy do jego czerwonej corolli. Adam sięgnął do odtwarzacza CD.

„Błagam, niech nie lubi Mozarta”.

Spojrzał na mnie.

– Mam *Alkimję* Steczkowskiej, *Carmina Burana*, Lesiëm, Maanam, Pink Floyd i jakiś durny pop na dłuższą podróż, żeby nie zasnąć. Chcesz czegoś posłuchać czy wolisz ciszę?

– Wolę ciszę, ale chcę pożyczyć *Carmina Burana* i *Alkimję*.

Nie dojechaliśmy w ciszy. Rozmawialiśmy całą drogę. W czasach gdy Adam ukrywał się ze swoim zawodem, mówiliśmy głównie o moich zainteresowaniach. Teraz chciałam posłuchać o jego pasji. Opowiadał o fotografii z takim samym zapałem, z jakim ja o Chinach. Nawet kiedy nieco się zagalopował i wszedł w szczegóły techniczne, nie straciłam wątku i spokojnie nadażałam, rozumiejąc, że szerokokątne obiektywy są doskonałe do plenerów, a średniej wielkości zoomy sprawdzają się przy portretach. Dlaczego gubiłam się tak szybko, gdy Joachim tłumaczył zawilności prawne, a doskonale wyłapywałam różnice techniczne między Canonem a Nikonem?

– Zanudzam cię – stwierdził Adam, obserwując wyraz mojej twarzy.

– Skąd – roześmiałam się. – Po prostu przez chwilę próbowałam odgadnąć, czym parametry obiektywów różnią się od prawa spadkowego.



Kiwnął głową. Chyba zrozumiał.

Zatrzymaliśmy się na początku Powstańców. Stąd miałam dojść pieszo. Adam wysiadł razem ze mną z samochodu. Przez chwilę stał niezdecydowany, potem zbliżył się i objął mnie delikatnie. Pocałował mnie w policzek, w drugi, w czubek nosa. Odsunął się odrobinę, przyglądając się moim ustom.

– Piękna – szepnął.

Czekałam. I było to najdłuższe oczekiwanie, jakiego doświadczyłam w życiu. Gotowa byłam chwycić jego głowę i siłą przyciągnąć do siebie. Chciałam tego pocałunku już. Teraz. W tej sekundzie, bo każda następna była niepotrzebną stratą czasu. Moja wymuszana przez lata cierpliwa powściągliwość ulotniła się jak zapach tanich perfum. Adam uśmiechnął się przewrotnie i zmienił kolor oczu. Teraz przypominały zieleń trawy po zmierzchu. Patrzył na mnie tak, jak patrzy chłopiec przyłapany na psocie: „Wiem, że jestem niegrzeczny, ale zobacz, jak uroczo mi to wychodzi. Nie złość się”. Nie mogłam się złościć. Ale mogłam się niecierpliwić.

– Adam.

– Tak? – zapytał niewinnie.

Kilkakrotnie podskoczyłam w miejscu. Roześmiał się krótko.

– Nie jesteś taka grzeczna, na jaką wyglądasz.

– Już dawno nie jestem.

– To dobrze.

I wtedy mnie pocałował...

Czy kiedyś mówiłam, że Joachim posiadał sztukę uwodzenia ustami? Zaraz, jaki Joachim? Adam uwodził całym sobą, ustami, dotykiem, krótkimi westchnieniami. Poczułam jego dłoń na karku, delikatne łaskotanie na linii włosów, gdy drugą ręką gładził moje plecy. Nasze usta wreszcie się złączyły, a dla mnie był to pierwszy prawdziwy pocałunek. Jakbym wcześniej tylko oglądała je na filmach, a dopiero teraz przeżywała naprawdę. Musnął językiem moje zamknięte wargi, rozchyliłam je, pragnąc więcej. I więcej. I więcej. Dał mi wszystko. Kiedy się od siebie odsunęliśmy, musiałam się przytrzymać otwartych drzwi samochodu. Odetchnęłam głęboko.

– Kiedy znów cię zobaczę? – zapytał.

„Kiedy zechcesz” – pomyślałam.

Nie, to nie jest dobra odpowiedź. Niech nie myśli, że całkiem mną zawładnął.

– Kiedy zechcesz.

– Jutro?

– Tak.

– W samo południe?

– Tak.

– Przyjadę tu po ciebie.

– Tak.

– Kocham cię, Nat.

– Tak.

Mój słownik został zredukowany do tego jednego wyrazu.

– Jesteś już, Tusi? – przywitał mnie mąż na progu. – Długo rozmawialiście z Patrycją.

– Tak.

– Czy naprawdę myślisz, że powinnaś spędzać z nią tyle czasu? Bardzo późno wróciłaś.

– Tak.

– Mam nadzieję, że nie zaplanowałaś spotkania z nią na niedzielę. Pamiętasz, że jesteśmy umówieni z Drawskimi i twoim ojcem?

Joachim zaczął mi się dziwnie przyglądać. Najwyższy czas wzbogacić słownictwo.

– Tak.

Cholera, nie wychodzi. Potrząsnęłam głową i z niejakim trudem wróciłam do rzeczywistości.

– Pamiętam o niedzielnym obiedzie i nie umówiłam się z Patrycją. Zobaczymy się jutro, około południa.

Niechętny Patrycji Joachim spokojnie uwierzył, że to właśnie z nią spotykam się niemal codziennie. O dziwo, nawet nie protestował. Obiecałam tylko, że Drawscy nie dowiedzą się, że spotykam się z kimś tak nieodpowiednim, i dostałam niemal pełną swobodę. Joachima najwidoczniej nie obchodziło nic poza opinią osób z wpływowymi nazwiskami. A może wiedział o Adamie i to także go nie obchodziło, dopóki zachowywaliśmy pozory? Wyrzucałam sobie, że przez tyle czasu byłam taka ślepa. Dlaczego wcześniej nie dostrzegłam, co liczy się dla mojego męża? Już dawno

mogłam być sobą i tylko w towarzystwie grać uprzejmą żonę pana radcy.

Zignorowałam niezadowoloną minę Joachima i poszłam prosto do łazienki. Potrzebowałam gorącej kąpieli z pianą. Na komórkę, która poszła się kąpać razem ze mną, wystukałam szybki SMS do Pati: *Rozmawialiśmy do 20:00, jutro widzimy się w południe. Kocham świat, kocham życie.*

Przysłała mi uśmiechniętą buźkę i dłoń z uniesionym w górę kciukiem. I pytanie: *A Adama?*

*Też – odpisałam.*

W odpowiedzi dostałam wybuchające sylwestrowe petardy, parę wykrzykników i więcej buziek.

W sobotę popatrzyłam na Adama najładniej, jak umiałam.

– Adaaaam?

– Dlaczego mam przeczucie, że nie spodoba mi się to, co zaraz powiesz?

– Nie wiem. – Uśmiechnęłam się. – Bo przecież nie chcę powiedzieć niczego paskudnego. Chciałabym tylko spróbować poprowadzić twój samochód. W jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie będzie się czepiał formalności, takich jak prawo jazdy, na przykład.

– Eee... – Adamowi wyrwał się odruchowy dla mężczyzn w takiej sytuacji protest. Ogarnął się szybko. – To chyba muszę znaleźć duży, otwarty teren bez drzew i niczego, na co można by wpaść, hm?

Popołudnie spędziliśmy w Łazienkach, a późnym wieczorem pojechaliśmy na parking przed Realem. Żadnych samochodów, mnóstwo miejsca, ciepło, maj, pełnia szczęścia i wiosny. Teraz wiedziałam na pewno, że Adam jest we mnie zakochany. Jaki facet zgodziłby się na coś takiego? I to po zaledwie jednym, mizernym załączku sprzeciwu? Niech ktoś mi pokaże mężczyznę oddającego swoją śliczną, czerwoną corollę w ręce kobiety, która nie ma bladego pojęcia o prowadzeniu samochodu, jeżeli nie liczyć nieudanego kursu prawa jazdy jakieś sto lat temu. Wariat albo zakochany po uszy. Adam nie miał żółtych papierów, więc...

Siedziałam za kierownicą i zupełnie nie przejmując się, co Adam o mnie pomyśli, wydawałam wrzaski radości. Hura! Prowadziłam

samochód! No dobrze, może to za dużo powiedziane. Ścisnęłam kurczowo kierownicę, mając nadzieję, że twarda guma nie ulegnie sile zeserowanych damskich dłoni i nie powygina się w ósemki. Ostrożnie przycisnęłam pedał gazu, a samochód jechał. Jechał! Jakieś dwadzieścia kilometrów na godzinę. Za szybko. Zwolniłam pedał. Toyota wykonała zgrabny podskok i zatrzymała się gwałtownie. Silnik zgasł. Adam także wykonał podskok, ale trzeba mu przyznać, szybko się opanował i powiedział zupełnie spokojnie:

– To był tak zwany kangur. Wrzuć bieg na luz, a potem jeszcze raz daj jedynkę. I przypominam: sprzęgła nie zamontowano dla kaprysu, ono naprawdę jest potrzebne. – Przecież wiem.

Nieme „to używaj” zawisło w powietrzu, ale poza tym Adam wykazywał się nadludzką cierpliwością. Czasem tylko na moment przestawał oddychać, jednak pomijając chwilowe kłopoty, trzymał się bardzo dzielnie. Ja za to byłam zaskoczona. Po półgodzinnym treningu oraz kolejnych kangurach toyoty i naśladowanego ją Adama radziłam sobie zupełnie dobrze. Przerzucałam biegi, na razie tylko jedynkę i dwójkę, używałam sprzęgła i nie myliłam gazu z hamulcem. Adam odprężył się nieco i nie musiał już walczyć z odruchem zamykania oczu. Po godzinie oboje stwierdziliśmy, że wystarczy.

– Było całkiem niezłe – powiedział. – Na początku może trochę nerwowo, ale potem dawałaś radę.

– Myślisz, że mogłabym zrobić prawko?

– Oczywiście. Przecież to jest dla ludzi. Zwyczajna umiejętność do wyuczenia. Trochę praktyki i będzie z ciebie rajdowiec.

– A jeżeli instruktor będzie na mnie wrzeszczał? – zapytałam jak mała dziewczynka obawiająca się reakcji kolegów w nowej szkole.

– To nawrzeszczysz na niego.

Jakie to proste. Nawrzeszczę na instruktora. Podjęłam decyzję, o której nie zamierzałam nawet informować Joachima ani tym bardziej ojca. Zapisuję się na kurs, kończę go, zdaję egzamin i kupuję samochód. I dopiero wtedy im powiem. Nie chcę słuchać, że sobie nie poradzę, nie chcę obrzydliwego: „Przecież ci mówiliśmy”, gdy obleję egzamin. Dowiedzą się, gdy przyjadę moim własnym autem i głośno zatrabuję pod ich oknami.

Mając dość silnych wrażeń jak na jeden weekend, w czasie obiadu u ojca weszłam w skórę Tusi. O ile wcześniej było to dla mnie zupełnie naturalne, o tyle teraz czułam się jak w za ciasnym gorsecie. Drapie, uwiera, uciska i gryzie. A ja muszę wytrwać w jednej pozycji przez cały spektakl. Spektakl pod tytułem „Niegrzeczna Tusia bawi się z nieodpowiednią koleżanką”. Joachim bowiem naskarżył ojcu! Spokojnie wysłuchałam uwag o kobiecie, którą ojciec widział raz jeden, gdy była nastolatką. Przytaknęłam mu we wszystkim. Nie powinnam się z nią spotykać. Powinnam natychmiast zerwać tę nedorzeczną znajomość. Nie jest osobą na poziomie. Nic sobą nie reprezentuje. Czy naprawdę nie wystarczy mi to, co mam, i muszę szukać wrażeń jak nieodpowiedzialne dziecko? Czy pomyślałam, jaki wpływ taka osoba może mieć na mnie i na moje małżeństwo? I co to w ogóle jest za fryzura? Kobieta powinna odsłaniać uszy, a nie przykrywać je włosami i udawać renesansową madonnę.

– Joachim pozwolił – odezwałam się po raz pierwszy w trakcie tyrady ojca.

Mój mąż poparł mnie krótkim skinieniem głowy. Oczywiście, że pozwolił mi spiąć włosy tak, by opadały na uszy. To było mniejsze zło niż pokazanie kolczyków. Całe szczęście, że za pięć minut przyjdą Drawscy i wszyscy zaczniemy udawać kochającą się rodzinę. Przy mecenasie ojciec nie będzie krytykował mojej przyjaźni z Pati. Bynajmniej nie dlatego, by oszczędzić mi zażenowania. Chodziło o to, aby nie przyznać się przed gośćmi, że zadaję się z kimś „z nizin”.

Do domu wróciłam umęczona jak nigdy. Zamknęłam się w pokoju i wyobrażałam sobie reakcję tatuśka, gdyby na kolejny obiad zamiast układnej Tusi przyszła Natalia. Jak to było w tej reklamie? „Spodnie – 150 złotych, tunika – 80 złotych, kolczyki – 100 złotych, mina ojca – bezcenna”. Roześmiałam się sama do siebie. Do diabła z ojcem i Joachimem. Niedługo zaczynam karierę automobilistki!

Moim instruktorem jazdy został starszawy mężczyzna. Taki trochę w typie mecenasa Drawskiego, choć niewątpliwie nie wysławiał się literacką polszczyzną. Był za to uprzejmy i cierpliwy. I niemożliwie spokojny.

– Pani Natalio, pani się nie denerwuje. Łuk to trudny manewr i należy powtarzać go sto razy, zanim człowiek załapie. Nawróci pani na początek... Wszystko w porządku, pacholki się podniesie, a zderzak i tak jest już porysowany. – Nawet na mieście nie tracił opanowania. – Pani Natalio, nic się nie stało. Pani zapali silnik jeszcze raz. Teraz pani powie pod nosem: „Spadaj, palancie, przestań trąbić, też się kiedyś uczyłeś”. Świetnie, można trochę głośniej. I jedziemy. „Palanta” można zamieniać na „dupka”, żeby się nie znudziło. Sprzęgło proszę. I gaz.

Gdy wykupiłam u niego dwudziestą dodatkową lekcję, z tą swoją niewzruszoną, angielską flegmą wyjaśnił:

– Pani Natalio, ja panią bardzo lubię i chętnie dałbym pani i czterdzieści lekcji poza wymagany limit. Ale po pierwsze, więcej już się pani nie nauczy, po drugie, szkoda pani pieniędzy, po trzecie, nie chodzi o umiejętności, ale o pokonanie strachu. A do tego nie instruktor jest potrzebny, ale młotek, żeby się porządnie stuknąć w głowę. Pani idzie na egzamin. Pani się nastawi, że za pierwszym razem pani nie zda. To będzie taki zwiad, żeby się zorientować, co jest grane. A zaliczy się za trzecim albo czwartym podejściem. Chce pani od razu być Kubicą?

Nie chciałam od razu być Kubicą. Poszłam na egzamin. Teorię zdałam bezbłędnie. Część praktyczną wyznaczili mi za miesiąc.

Lipiec przywitałam radosna, pełna energii i przekonania, że lepsza przyszłość właśnie nadeszła i spełnia się na moich oczach. Ludzie wokół mnie wydawali się piękni i szczęśliwi, kasjerki w supermarkecie uprzejme, nawet Krynicki, który z polecenia „kopiuj-wklej” uczynił sztukę i właśnie przyniósł nowe dzieło do wydawnictwa, był znośny. Uśmiechnięta Zenobia częstowała mnie landrynkami, Gazda prawie się nie czepiał albo też nie zauważałam jego czepiania, śliczna Pati wesoło klikała w klawiaturę, przystojny Marek... a ten co wyprawia?!

– Patrycj. – Marek z bukietem kwiatów padł na kolana przed moją przyjaciółką.

Patrzyłam zdumiona. Czyżbym zajęta własnym szczęściem zupełnie nie zauważyła tego, co dzieje się u Pati? Ale dlaczego nie powiedziała mi, że sprawy między nią a Markiem zaszły tak daleko,

że teraz DTP-owiec się oświadcza? Dlaczego ani słowem nie dała znać, że w ogóle zaczęły się jakieś sprawy między nią a Markiem? Spojrzałam na przyjaciółkę. Była tak samo zaskoczona jak ja. Zastygła z palcami nad klawiaturą, a potem powoli obróciła się na krześle w kierunku naszego grafika.

Ten, ubrany jak nigdy, w garnitur, klęczał przed Pati, odgradzając się od jej gniewu ogromnym bukietem stokrotek.

– Patrycjo, błagam, uczyni mi ten honor i wybierz się ze mną na kawę i lody. Jeżeli mi odmówisz, rzucę się pod pociąg podmiejski. I będziesz miała na sumieniu nie tylko moją śmierć. Przez ciebie mnóstwo niewinnych ludzi spóźni się do pracy. A co, jeżeli mają takich szefów jak Gazda? Albo gorszych?

– Nie ma gorszych – mruknęła Zenobia i żeby okiełznać własne emocje, sięgnęła po landrynkę.

– Pati – powiedziałam – byłoby naprawdę nieładnie, gdybyś skierowała gniew rozmaitych Gazdów tego świata na Bogu ducha winnych spóźnionych pracowników.

– Och, no dobrze – uległa w końcu Patrycja. – Ale wiedz, Marek, że robię to tylko dla dobra poddanych innych Gazdów.

– A dla ratowania mojego młodego życia nie? – Wręczył jej stokrotki.

– No, może odrobinę. – Pati uśmiechnęła się i zanurzyła twarz w bukietach. – Są wspaniałe, dziękuję.

– Jakże daleko im do twojej wspaniałości, cudowna Patrycjo – powiedział Marek z teatralnym patosem.

– No już, co za dużo, to przesada – mruknęła Pati, ale nie umiała patrzeć na niego groźnie. Roześmiane oczy ją zdradziły.

Pełnię szczęścia osiągnęłam, gdy Adam zaprosił mnie do siebie.

– Chciałbym pokazać ci zdjęcia – powiedział.

– A nie kolekcję znaczków?

– Nie, w moim przypadku zdjęcia są bardziej wiarygodnym pretekstem.

Umówiliśmy się na piątek. Czy mogłam zrezygnować z okazji obejrzenia prac uznanego w Polsce i za granicą artysty? To byłoby wręcz niemądre. Poszłam, na wszelki wypadek zabierając ze sobą zmianę bielizny i przybory toaletowe. Joachimowi powiedziałam, że

tym razem to Pati urządza spotkanie klasowe i będziemy bawić się całą noc. Gdyby z Adamem do niczego nie doszło, zawsze mogłam wytłumaczyć, że wróciłam wcześniej, bo się nudziłam.

Mieszkał na Krzywym Kole, w przeuroczej kawalerce na trzecim piętrze. Mieszkanie było, jak by to określiła Pati, z klimatem. Niewielkie, przytulne, dość ciemne, bo choć przez dwa duże okna wpadało sporo światła, pomalowane na jasny brąz ściany zamykały przestrzeń i otulały człowieka ciepłem i bezpieczeństwem.

– Uwważaj! – krzyknął nagle Adam.

Prawie zaplątałam się w klisze wiszące na sznurze rozciągniętym w poprzek pokoju. Przesunął je ostrożnie.

– Rano wywołałem, musiały się wysuszyć. No cóż, odkryłaś moją tajemnicę.

Spojrzałam zdziwiona. Przecież już wiem, że fotografuje.

– Jako artysta mam wokół siebie hm... artystyczny nieład. – Uśmiechnął się i zamigotał zielenią oczu.

Dopiero teraz rozejrzałam się po pokoju. Na komodzie z przeszkloną nadstawką leżały odbitki, na niewielkim okrągłym stoliku leżały odbitki, na łóżku zajmującym prawie pół pomieszczenia leżały odbitki.

– Może usiądziesz? – zaproponował, zdejmując stertę odbitek z krzesła.

Położył je na podłodze. Usiadłam ostrożnie, starając się nie rozrzucić stopą sterty zdjęć.

– Przepraszam, naprawdę starałem się to ogarnąć, ale jak widzisz, z miernym rezultatem. To znaczy, gdyby to porównać ze stanem przed, na pewno doceniłabyś moje wysiłki... Ale wciąż chyba nie jest za dobrze.

Stał i czekał na moją reakcję. Widać było, że kocha swoje miejsce, swój nieporządek i atmosferę, którą tu stworzył. A jednocześnie obawia się, że jak większość kobiet, będę się źle czuła w bałaganie.

– Jest doskonale – powiedziałam, zastanawiając się, w którym momencie sprzątniemy zdjęcia z łóżka.

Chwilowo tylko to mnie interesowało i miałam nadzieję, że Adam nie będzie przestrzegał tych wszystkich nudnych form: najpierw herbata, może jakieś wino, potem kolacja, potem przeciągająca się rozmowa i dopiero na końcu wyczekiwany przeze mnie konkret.



– Czego się napijesz?

„Herbaty z winem do błyskawicznej kolacji – pomyślałam. – Potem zapytaj mnie, co widziałam w kinie, ja powiem, że dobry film, i w ten sposób zaliczymy konwersację. I do rzeczy. Nie, nie, tak nie można, nie wypada, należy poprosić o tę cholerną herbatę i wypić ją spokojnie”.

– Nie mam ochoty na nic do picia.

– A może coś zjesz? Mam...

– Głodna też nie jestem.

Adam spojrzał na mnie bardzo uważnie, z namysłem. Już wiedział, do czego zmierzam. Jak zwykle droczył się ze mną.

– W takim razie pokażę ci najładniejsze fotografie – zaoferował z kamienną twarzą.

– Później.

– Później? Po czym?

– Po tym jak sprzątniemy łóżko, chyba że pogniecione zdjęcia zyskają nowy wyraz artystyczny.

– Och. – Udał, że próbuje mnie zrozumieć, ale w jego oczach już tańczyły ogniki. – Ale dlaczego miałyby się pognieść?

Wstałam i podeszłam do niego. Pogładziłam go po policzku.

– Daj mi – powiedziałam.

– Zdjęcia?

– Adam!

– Tak? – zapytał z tak źle odegraną niewinnością, że musiałam się roześmiać.

– Daj mi – szepnęłam i delikatnie musnęłam jego usta. – Daj mi. – Pocałowałam jego ucho. – Daj mi. – Dotknęłam językiem szyi. – Daj mi. – Podrapałam go leciutko paznokciami po karku. – Daj...

– Wszystko, co zechcesz – powiedział cicho. – Wszystko, co zechcesz.

Sięgnął do mojego koka i spróbował go rozpuścić.

– Cholera, że też produkują takie coś. – Szarpał się z jedną ze wsuwek.

Wyрęczyłam go, wyciągając jedną po drugiej i rzucając byle gdzie na podłogę. Zawsze miałam długie, gęste włosy. Opadły teraz aż za łopatki. Patrzył zachwycony, jak potrząsam głową, jak lekko wijące się pasma spadają na moje ramiona i plecy. Wyciągnął rękę i przez

chwilę bawił się kosmykiem. Potem bardzo szybko uwolnił mnie od jedwabiu i kaszmiru. Przewornie włożyłam rozpinaną z przodu bluzkę z niewielką liczbą śliskich, wygodnych guzików. Do niej dobrałam spódnicę przed kolano. Cofnął się odrobinę i mierzył mnie wzrokiem z góry na dół, z dołu do góry i od nowa: z góry na dół, z dołu do góry. Stałam przed nim w samej bieliźnie i nagle poczułam się bardzo skrępowana. Nie wstydziłam się, że jestem prawie naga, nie wstydziłam się własnego ciała. Zawstydziłam się, bo miałam na sobie zwyczajne, białe, bawełniane majtki i najprostszy biały biustonosz. Żadnych seksownych koronek, żadnej wyzywającej czerwieni, żadnych stringów i przezroczyści w strategicznych miejscach. Źle, trzeba było kupić coś na specjalną okazję.

Patrzył na mnie jak Beduin na oazę.

– To jest... to jest... zajebicie podniecające.

Opuściłam wzrok i zatrzymałam go w okolicach rozporoka. Cóż, mówił prawdę. Rozpięłam guziki jego koszuli. Krótkie rękawy rozwiązywały problem mankietów. Położyłam dłonie na jego gładkim torsie, badałam palcami ciało. Był szczupły, ale ładnie umięśniony. Dotykałam jego brzucha, muskałam opuszkami sutki. Teraz ja go drażniłam. Zsuwałam ręce do jego paska, czułam, jak Adam wstrzymuje oddech w oczekiwaniu, i wracałam wyżej. Podobno zemsta kobiety potrafi być bolesna. Dobrze. Następnym razem zastanowi się, zanim zacznie się ze mną droczyć.

– Daj mi – poprosił.

No i to by było na tyle, jeżeli chodzi o zemstę. Rozpięłam i zsunęłam mu spodnie do kostek. Wyszedł z nich natychmiast. Uklękałam. Muszę tego spróbować, muszę się wreszcie przekonać, jakie to uczucie. Ta zakazana przez Joachima nieprzyzwoita pieścizna nieprzyzwoitych kobiet. Zdjęłam Adamowi slipy i przez krótki moment podziwiałam jego męskość. A potem wzięłam do ust.

– O, kurrrrr... – jęknął. – Nat... o, kurrrrr...

Pieściłam go językiem, wargami, starałam się dać mu jak największą przyjemność. Szybko zorientowałam się, gdzie dotykać, żeby wydobyć kolejne: „O, kurrrrr...”. Adam chwycił moje włosy i delikatnie sterując, nadał mi rytm.

– Nie, nie, już nie, Nat... Nie dam rady dłużej... – jęknął, odsunął mnie gwałtownie i podniósł z kłęczek. – Potrzebuję... moment... chwilę... bo... – Sięgnął za moje plecy i rozpiął stanik.

Lubił na mnie patrzeć, a ja nie czułam już skrępowania. Cieszyło mnie, gdy tak mi się przyglądał, gdy rozszerzały mu się źrenice, a tęczęwki szalały odcieniami jak w kalejdoskopie. Kręcąc biodrami, wsunęłam kciuki za gumkę majtek. Adam oddychał przez otwarte usta. Zatrzymałam się, gdy ostatnia część mojego ubrania znalazła się w połowie bioder.

– Daj mi.

„Kiedyś mu się oprę – obiecałam sobie. – Przyjdzie taki moment, gdy nie ulegnę”.

Biała bawełna opadła na ziemię.

Jednym ruchem ściągnął narzutę na podłogę. Razem z nią poleciały zdjęcia, którym nie poświęcił odrobiny uwagi. Złapał mnie za rękę i niemal rzucił na łóżko. W następnej sekundzie był nade mną, a ja obejmowałam go nogami. „Jestem gotowa – myślałam – nie czekaj”. Wszedł delikatnie, ostrożnie, próbując wyczuć moje reakcje. Teraz to ja nadawałam rytm. Poruszałam biodrami, decydowałam o tempie, Adam podążał za mną.

– Rób tak, rób tak – powtarzałam cicho. – Cholera jasna, rób tak. Wsadzaj go we mnie, mocniej – wyrwało mi się nagle i przez krótki moment byłam przestraszona. A jeżeli Adam nie lubi wulgaryzmów?

– Strasznie mi się podoba, gdy mówisz takie świństwa – szepnął.

Całował moje piersi, przygryzał brodawki, drażnił je językiem. Samymi opuszkami szczupłych palców badał moje ciało i samymi tylko opuszkami wprawiał mnie w drżenie. Zaraz dotknie mnie całą dłonią, a ja eksploduję. Napawało mnie to ekscytacją i niemal dziewczęcym lękiem.

– Mów do mnie – szepnął.

– Jesteś cudowny, doskonały – mamrotałam. – Rób mi tak, dotykaj. Kochaj mnie. Mocniej. Mocniej.

Posłusznie wykonywał polecenia. Brał mnie z siłą, z samczą zawziętością.

– Dobrze, Adam, zajebicie!

Uśmiechnął się z satysfakcją. Wytrysnął w chwili, gdy poczułam pierwszą falę szczytowania. Tak, kurwa, tak. To jest seks.

I mężczyzna, który wie, co robi. Dotąd byłam przekonana, że jednoczesny orgazm to tylko nieziszczalne marzenie kobiet. Teraz go przeżyłam.

Kiedy się obudziliśmy, było już dobrze po północy. Adam ocknął się pierwszy, a ja chyba wyczułam jego spojrzenie. Leżałam na boku, przytulając się do niego. Między szyją a obojczykiem miał lekkie wgłębienie, idealnie dopasowane do mojej głowy. Moje własne miejsce na jego ciele. Otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą jego twarz. Przyglądał mi się intensywnie.

– Nie ruszaj się – poprosił. – Nie zmieniaj pozycji.

Wstał, wyciągnął coś z komody i po chwili zbliżył się do łóżka. Zapalił nocną lampkę. Zobaczyłam, że trzyma w dłoniach aparat.

– Mogę? – zapytał.

Opuściłam na moment powieki. Nie mogłam kiwnąć głową, bo nie pozwolił mi się ruszać. Mówić nie byłam w stanie. Czekałam w napięciu.

– Popatrz na mnie – powiedział.

Pstryk.

– Zamknij oczy.

Pstryk.

– A teraz otwórz, ale tylko trochę.

Pstryk.

– Przekręć głowę odrobinę w prawo.

Pstryk.

– Zsuń kołdrę. Niżej. Niżej. Jeszcze. Dobrze.

Pstryk.

– Odkryj się całkiem i połóż się na boku tyłem do mnie. Zegnij trochę kolana, dobrze, wygnij lekko plecy. Cudownie.

Pstryk.

– Nie ruszaj się.

Szelest w pokoju, stuknięcie czegoś twardego o komodę. Adam położył się za mną.

– Nie ruszaj się.

Wszedł we mnie od tyłu.

Ranek przywitałam niemożliwie głodna i niemożliwie szczęśliwa. Nagi Adam siedział na podłodze z laptopem na kolanach. Na ekranie przeglądał nasze nocne zdjęcia. Uklęłam na łóżku, oparłam dłonie o jego ramiona i zza pleców zajrzałam w monitor.

– Szkoda, że nie pokażę ich na żadnej wystawie – powiedział. – Zobacz, jakie piękne.

Spojrzałam na fotografię, na której leżałam w białej pościeli. Moje włosy rozrzucone na poduszce odcinały się ciemnym brązem od materiału. Oczy miałam lekko przymknięte, przez rozchylone usta widać było czubek języka. Kołdra odsłaniała pierś w taki sposób, że zauważyłam fragment obwódki wokół brodawki. Zastanawiałam się, czy Adam ma ochotę przesunąć dłoń po monitorze w nadziei, że pociągnie kołdrę niżej. Ja sama chciałam to zrobić. Nigdy nie przypuszczałam, że własne zdjęcie tak na mnie podziała. Przejechałam dłońmi po barkach mojego ukochanego, zsunęłam je na tors i przytuliłam się do jego pleców, głaskałam brzuch, próbowałam sięgnąć dalej.

Szybkim ruchem zamknął laptop i znalazł się nade mną.

Dlaczego proza życia psuje takie piękne chwile? Obrzydliwa fizjologia zaczęła dopominać się o swoje prawa. Koniecznie musiałam do toalety, a burczenie w brzuchu aż nazbyt jasno informowało, że niezbędne będzie śniadanie. Adam się roześmiał.

– Trzeba cię nakarmić, bo całkiem opadniesz z sił.

„A do tego nie możemy dopuścić – pomyślałam. – Siły będą mi potrzebne”.

Określenie „niewyżyta nimfomanka” coraz częściej pojawiała się w mojej głowie i zastanawiałam się, czy jest jakiś limit, po którym poczuje się nasycona seksem z Adamem. On jednak się nie skarżył, więc uznałam, że dopóki nie doprowadzę go do całkowitego wyczerpania, mogę robić, co chcę.

Przeciągając się w łóżku, niechętnie zerknęłam na niewielki zegar wiszący na ścianie. Która jest? Niemożliwe.

– Dobrze chodzi? – zapytałam.

Kiwnął głową.

– Muszę iść.

Była czwarta po południu.

- Nie lubię, gdy do niego wracasz – mruknął Adam.
- Też nie lubię.
- To nie wracaj.

Spojrzałam na niego. „To nie wracaj”. I co by to znaczyło? Rozwód, nowy związek, nowe wszystko. Od razu wybiegłam myślami dalej. Gdzie byśmy mieszkali? Czy byłabym na utrzymaniu Adama? Jak długo by tego chciał? Czy Adam kiedykolwiek był w poważnym związku? Ile to trwało? I kolejna myśl – dzieci. Czy Adam chciałby mieć dzieci? Joachim nie chciał.

– Tusi, czy nie uważasz, że dziecko to zbyt duża odpowiedzialność? Powołać na świat nowe życie jest bardzo łatwo.

Pamiętam, jak się wzdrygnęłam, słysząc ten oklepany zwrot: „Powołać na świat nowe życie”. Matko jedyna, czy on ukradkiem czytał kolorowe pisma kobiece?

Pan radca tymczasem kontynuował:

– To przecież nie jest droga usłana różami, są i ciernie. Dzieci chorują, wymagają opieki, ciągłej, nieustającej troski.

„Robią kupę w majtki, a to nie pachnie fiołkami – dopowiedziałam w myślach. – Rozrzucają zabawki i śmiało wyrażają swoje uczucia, dopóki nie zostaną tego oduczone”.

Przy Joachimie nie tęskniłam za dzieckiem, które stałoby się jego dokładną kopią. Przecież nie pozwoliliby mi wychowywać potomka według moich zasad. Przy Adamie przychodziły mi do głowy myśli, z których kiedyś się śmiałam. Dotychczas kobiety, które po pierwszej randce wyobrażały sobie ślub i trójkę maleństw, wydawały mi się zwyczajnie głupie. Teraz czułam, że zaraz dołączę do tych naiwnych marzycielek.

– Muszę iść – powtórzyłam z żalem.

Odwiózł mnie i zostawił tak jak zawsze: na początku Powstańców Śląskich. Dalej szłam pieszo.

– Nat, Kocham cię.

Nareszcie mogłam odpowiedzieć tym samym, całkowicie pewna swoich uczuć:

– Kocham cię, Adam.

Ucieszył się jak chłopiec, który dostał najwspanialszy prezent na świecie. Roześmiał się, chwycił mnie za ręce i zakręciliśmy się w miejscu. Przechodzący ludzie patrzyli z życzliwym

zainteresowaniem, a ja chciałam, żeby wszyscy stali się tak szczęśliwi jak my.

Joachim otworzył mi drzwi tylko odrobinę niezadowolony. Szybko oswoił się z nową sytuacją i z nową Natalią, i teraz dostawałam od niego milczącą akceptację, od czasu do czasu przetykaną lekkim skrzywieniem ust, gdy wracałam zbyt późno lub za często chodziłam gdzieś po pracy. Wykazywałam sporą inwencję, przypominając sobie wszystkie kłamstwa, jakimi raczyłam ojca w liceum i na studiach. Joachimowi nie mogłam mówić, że idę na urodziny do koleżanki, w każdym razie nie co drugi dzień. Codzienne spotkania z Pati także zaczynały być podejrzane. Wymyśliłam więc salony spa, gabinety kosmetyczne, masaże, zakupy i wystawy, co do których byłam pewna, że nie zainteresują mojego męża. Mogłam żyć. I żyłam. Po raz pierwszy od trzydziestu pięciu lat żyłam naprawdę.

W sierpniu na zupełnym luzie podeszłam do egzaminu na prawo jazdy. Pomna słów instruktora, pierwszy termin potraktowałam jako zwiad. Egzaminator stał się w moich oczach osobą, która wcale nie będzie mnie oceniać, lecz udzieli odpowiednich wskazówek na następny raz.

Nie przejęłam się, widząc, że moje umiejętności będą sprawdzane przez aroganckiego czterdziestolatka. Spokojnym spojrzeniem obrzuciłam jego skórzaną, czarną kamizelkę narzuconą na koszulę w kratę i przez moment zastanawiałam się, czy nie jest mu za gorąco. Zerknęłam na obcisłe dżinsy i szare adidas. Mój wzrok powędrował w górę i dostrzegłam pełne politowania spojrzenie, aż nazbyt jasno informujące: „Nie spodziewaj się cudów, kobieto”. Nie spodziewałam się. Przyszłam po wiedzę, nie po zwycięstwo, więc nie miałam powodów do obaw.

– Proszę powiedzieć, co to jest. – Egzaminator wskazał palcem chłodnicę.

Odpowiedziałam prawidłowo. Z teorii mnie nie zagnie. Pokazał mi jeszcze parę elementów, które także dobrze nazwałam. Sprawdziłam poziom oleju, płynu hamulcowego i chłodzącego. Wsiadłam do samochodu, ponazywałam i posprawdzałam wszystko.

– Dobrze, proszę przejechać po łuku.

Ustawiłam samochód na odpowiedniej linii i bezbłędnie przejechałam łuk. Nie na darmo ćwiczyłam to sto razy.

– Górka.

Górkę też przerabiałam wielokrotnie.

– Jedziemy na miasto.

„Dobrze – pomyślałam. – Zaraz coś spieprzę, ale według przepisów, dopóki nie będę stanowiła zagrożenia, mogę jechać dalej, choć nie zaliczę egzaminu. Nic nie szkodzi, celem są informacje”.

Prowadziłam ostrożnie, ale pewnie. Na skrzyżowaniu odrobinę spanikowałam, ale zaraz się uspokoiłam. Przecież są światła, a inni kierowcy widzą elkę i z pewnością nie chcą się na mnie wpakować.

– Może pani jechać szybciej – odezwał się egzaminator.

– Nie mogę, tam było ograniczenie do pięćdziesięciu.

– Bardzo dobrze, nie dała się pani podpuścić.

OK, a więc egzaminator może próbować wprowadzić mnie w błąd. Przy kolejnym podejściu muszę jeszcze bardziej zwracać uwagę na znaki.

– Proszę tu skrócić. Jedziemy na parking. Parkowanie prostopadłe.

Zaparkowałam.

– Teraz tyłem.

Poszło. Z równoległym też dałam radę.

– Wracamy do ośrodka.

Egzaminator siedział oparty wygodnie w fotelu i zaznaczał coś w tabelce przymocowanej do podkładki. Gdy dojedziemy, zapytam go o błędy, które popełniłam. Potem wykupię dwie, trzy lekcje u mojego spokojnego pana Staszka i przećwiczę te sytuacje.

– Proszę – powiedział, wręczając mi jakiś papier. – Zaliczone.

– Gdzie mogę się umówić na następny termin?

– Po co pani następny termin?

Co za głupie pytanie. Chcę prawo jazdy i muszę mieć następny termin egzaminu.

– Bo chcę to zdać – powiedziałam stanowczo i popatrzyłam na niego tak, jak patrzył na mnie ojciec, gdy pytałam, dlaczego nie lubi Pati.

– No przecież zdała pani.



– Nie rozumie mnie pan. Muszę wiedzieć, kiedy będzie następny egzamin, bo przedtem chcę wziąć jeszcze parę lekcji.

Po raz pierwszy egzaminator się roześmiał.

– To pani nie rozumie. Zdała pani egzamin. Tu jest kartka potwierdzająca pozytywny wynik. Z tym idzie pani do urzędu miasta, składa papiery i czeka na dokument.

– Czy może pan powtórzyć?

– To pani nie rozumie... – zaczął wolno i głośno.

– Nie musi być całość, tylko ta część o zdanym egzaminie.

Mężczyzna przyjrzał mi się uważnie.

– Proszę słuchać: Zdała. Pani. Egzamin. Bardzo. Dobrze. Poszło. Była. Pani. Zupełnie. Spokojna. Dlaczego. Teraz. Się. Pani. Denerwuje?

– Aaaaaa! – wrzasnęłam jak wariatka. – Zdałam egzamin! Zdałam!

– Bez zastanowienia ucałowałam egzaminatora w policzek. – Zdałam! Yes, yes, yes! Naprawdę zdałam?

– Naprawdę. Proszę jechać do domu i napić się jakiegoś wina. Albo jeszcze lepiej, niech pani weźmie coś na uspokojenie i się prześpi.

Całe opakowanie tabletek uspokajających byłoby teraz kompletnie nieskuteczne. Wystukałam błyskawicznie numer na komórce.

– Adam, zdałam!!! Zdałam prawko!!! Za pierwszym podejściem!!! Kocham cię!!! Cieszysz się?

– Bardzo się cieszę, że pani zdała. – Usłyszałam w telefonie głos jakiegoś starszego mężczyzny – i serdecznie gratuluję, ale pomyliła pani numer.

– Och, przepraszam.

– Nic się nie stało. Wszystkiego dobrego i wygodnych dróg. – Mężczyzna się rozłączył.

Odetchnęłam głęboko, jako tako uspokoiłam rozedrgane ręce i zadzwoniłam jeszcze raz. Adam cieszył się tak samo jak ja. Był ze mnie dumny i przyznał, że on sam zaliczył dopiero za drugim podejściem, a przecież teraz egzaminy są trudniejsze niż dziesięć lat temu. Pati piszczała głośniej ode mnie i natychmiast umówiła się ze mną na zakupy i uroczysty obiad, żeby uczcić mój sukces. Wyobraziłam sobie, że dzielę się z ojcem moją radością.

– Tusi, czy ty myślisz, że wraz ze zdaniem egzaminem stałaś się dobrym kierowcą? – powiedziała mi. – Zresztą, teraz całe to zdawanie to jedno wielkie oszustwo. Egzaminatorzy nie przykładają się do tego tak, jak robili to za moich czasów. Każdy dziś może mieć prawo jazdy, choć nie każdy powinien, co widać wyraźnie, gdy oceni się liczbę wypadków.

A Joachim?

– Tusi, czy nie uważasz, że pomysł prowadzenia samochodu jest co najmniej nierozsądny? Tłumaczyłem ci, że to wymaga ogromnej uwagi i odpowiedzialności. Nie chcesz przecież, gdy spowodujesz wypadek, do końca życia wyrzucać sobie, że ktoś przez ciebie ucierpiał.

Tak właśnie by było: „Gdy spowodujesz wypadek”, nawet nie: „Jeżeli spowodujesz”.

„Na razie im nie powiem” – zdecydowałam. Miałam własne pieniądze, nie musiałam prosić Joachima o kilkanaście tysięcy na nieduże, używane auto. Pati spłaciła mi już połowę pożyczki, moja pensja co miesiąc spływała na konto, a na nowe ubrania nie wydałam aż tak dużo. Stać mnie było na samochód. I będę miała coś tylko mojego, coś, czego Joachim w żaden sposób nie będzie mógł mi wypomnieć.

Jeszcze raz wybrałam numer Adama.

– Pomożesz mi kupić samochód?

– Właśnie skończyłem rozmawiać z kumplem, który z kolei ma kumpla mechanika samochodowego. Masz czas jutro? Akurat będzie giełda, pojedziemy i wybierzemy coś odpowiedniego.

Zawsze mogłam na niego liczyć. Ani słowem nie wspomniał o wypadkach i zagrożeniach.

– Jutro? Tak szybko?

– A na co chcesz czekać?

– Aż odbiorę dokumenty.

– Po co? Odstawię ci wózek pod sam dom, poczeka na ciebie, a gdy dostaniesz papier, wsiądziesz i przyjedziesz do mnie.

Zgodziłam się. Nagle doszłam do wniosku, że po zmarnowanych trzydziestu pięciu latach teraz liczy się każdy dzień.

„Matko jedyna! Jutro kupię sobie samochód!”.

Spotkaliśmy się na rogu Powstańców Śląskich i Człuchowskiej. Rozglądałam się za czerwoną toyotą Adama, ale szybko doszłam do wniosku, że nie może przyjechać swoim samochodem, skoro chce odwozić mój. Po paru minutach zatrzymał się przede mną zmęczony życiem i polskimi drogami opel. Drzwi się otworzyły, Adam wysunął głowę i zaprosił mnie do środka. Wsiadłam. Wewnątrz unosił się zapach starego dymu papierosowego i czegoś jeszcze, czego nie umiałam zidentyfikować. Miejsce kierowcy wypełniały czyjeś ramiona i barki tak rozbudowane, że zdawały się rozsadać niemały w końcu pojazd. Pokryte tatuażami, walczyły o lepsze życie z rękawami T-shirtu, który prawie pękał, usiłując utrzymać węzlaste, poprzetykane nabrzmiałymi żyłami mięśnie.

– Dzień dobry – powiedziałam, przytulając się do Adama siedzącego z tyłu.

– Dobry – odpowiedział wesoło właściciel rąk grubych jak słupy telegraficzne.

Potem się odwrócił, a mnie w ostatniej chwili udało się opanować i nie zamknąć oczu. Twarz mężczyzny także była wytatuowana. Przez dolne powieki biegły sinoniebieskie kreski, nadając kierowcy nieco demoniczny wygląd. Nawet kurze łapki miał zaznaczone tuszem. Gdy mrugnął, zobaczyłam po dwie kropki na obu górnych powiekach.

– Kruch jestem. – Podał mi rękę.

Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym miał klucz przekreślony krzyżykiem. Uścisnęłam jego dłoń i ze zdziwieniem zauważyłam, że przywitał się ze mną bardzo delikatnie, choć pewnie potrafiłby zmiażdżyć moje palce jednym ruchem.

– Natalia. – A potem spytałam naiwnie: – Kruch to zdrobnienie od imienia?

Roześmiał się głośno i chrapliwie. Zakaszłał kilkakrotnie i wydawało mi się, że tylko ze względu na mnie powstrzymał się od splunięcia przez otwarte okno.

– Nie, to skrót od Okruch, taka ksywka spod celi. Naprawdę jestem Marcin.

Przełknęłam nerwowo ślinę. Siedziałam w samochodzie z kryminalistą, który, jeśli wziąć pod uwagę jego parametry, zapewne zawodowo dusił ludzi.

– Się pani nie boi – uspokoił mnie „dusiciel”. – Kiblowałem za włamy. No i recydywę. W życiu nikogo nie zabiłem, włamy robiłem do tych bogatszych, za bardzo nie ucierpieli. A kobiety za chuja Pana bym nie skrzywdził. Znaczą się, sorki, nigdy bym nie skrzywdził.

„Dobre i to” – pomyślałam, wybacząc natychmiast „chuja Pana”.

– No. A zawodowo mechanik jestem, w więźniu mnie wyuczyli. Się trochę znam na autkach, to popatrzę, co tam będą chcieli wam wcisnąć.

Kruch okazał się gadułą. Przez dwadzieścia minut jazdy dowiedziałam się, że pierwszą wpadkę z prawem zaliczył jako nastolatek i od tamtej pory żył przeważnie w więzieniu, wychodząc na wolność tylko po to, by włamać się kolejny raz. Teraz jednak poznał dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić. A jak wiadomo, siedząc w kiciu, ciężko być dobrym mężem. Znow się roześmiał. Spoważniał na chwilę i wyznał:

– Tylko z pracą nieciekawie, kurrrryyywa jego mać. Nikt nie chce zatrudnić dziarganego. No, a jak zajrzą w papiery, to już wcale nie chcą gadać. Myślałem sobie, że ciężko zaczynać od nowa, jak się ma trzydzieści lat, ale potem powiedziałem do siebie: „Nie pierdol stary, tylko bierz się i szukaj, bo cię Madzieńka zostawi i tyle będziesz miał”. A moja Madzieńka to ostra sztuka. Od razu mówi: „Będiesz pił, będziesz się obijał, to spadam i już”. Nawet kląć pozwala tylko trochę. Delikatna taka. Ale mówię sobie: „Trzymaj się jej, bo skarb ci się trafił”. Nie kto inny, tylko Madzieńka mnie uchowa przed kolejnym wyrokiem. I kształcona jest, no. Maturę ma, nawet o studiach zagaduje.

– Z tego, co pan mówi, panie... Kruchu...

– E tam, „panie”. Kruch i tyle. Nie trzeba od razu „panować”.

– Z tego, co mówisz, Kruch, to twoja Madzieńka jest bardzo fajną dziewczyną.

– Super jest. Mądra taka, że nie wiem. I dobra. Czasem się trochę rozjazgocze, jak wkurzona, ale kto tam jest idealny, co? Ja sam nie jestem, to od dziewczyny będę wymagał? No, przyjechaliśmy. Jaki pani chce samochodzik?

– Mieliśmy sobie nie „panować”. – Roześmiałam się, wysiadając z auta. – Jestem Natalia.

– Ha, dzięki, Natalia. – Sprawiał wrażenie szczerze ucieszonego. – To jaki samochódzik?

– Sama nie wiem...

Kruch wybuchnął śmiechem. Trącił Adama w ramię.

– Jak każda baba, co? Dobra, rozejrzymy się.

Poszedł przodem z Adamem, ja zostałam nieco z tyłu.

„Właśnie poznałam kryminalistę” – pomyślałam. Ciekawe, co powiedziałyby na to Joachim?

– Czy nie uważasz, Tusi, że to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie?

– No, cóż, Joachimie, gdy się nad tym dobrze zastanowić, to możesz mieć rację.

Jednakże mój nowy kolega-przestępca był naprawdę sympatyczny pomimo upodobania do przekleństw. Wolałam się nie zastanawiać, jak mówił, zanim poznał Madzięnkę.

Powiedziałam Adamowi, że na nowe auto mogę przeznaczyć nie więcej niż szesnaście, góra osiemnaście tysięcy. Nigdy nie wiadomo, kiedy będę potrzebowała reszty oszczędności, więc nie chciałam wydawać zbyt dużo. Nagle przystanąłam. Jest. Jest mój samochód. Czerwony, jak Adama. Zaśmiałam się w duchu z samej siebie. Jak każda baba zwróciłam uwagę na ładny kolor i kształt, nie mając pojęcia o marce, stanie wozu i cenie. Ale już wiedziałam: chcę ten.

– Kruch! Adam! – zawołałam. – Chodźcie!

Pokazałam im czerwone чудо.

– No, „yarisek”. – Kruch kiwnął głową z uznaniem. – Dobre autko dla kobiety. Nieduże, zwrotne, zgrabniutkie. Obadamy bliżej. Ile pan chcesz za tego szmelca? – zapytał, podchodząc do mężczyzny stojącego obok toyoty yaris.

– Jakiego szmelca? Doskonały stan. Bezwypadkowa, z dwa tysiące szóstego roku, normalnie nówka. – Oburzony właściciel opluł sobie wargi, zachwalając samochód. Otarł je ręką, rękę oczyścił o spodnie.

– Doskonały, mówisz pan?

Kruch spojrzał na sprzedającego, który nie zaznał mojego treningu manier i cofnął się odruchowo. Widząc jego reakcję, nawrócony włamywacz podszedł bliżej, a mężczyzna jakby się trochę skurczył.

– Daj pan szmatę. – Kruch rozłożył na ziemi duży ręcznik i wciągnął się pod samochód. Mamrotał coś do siebie, stukał w podwozie, wreszcie wychynął spod karoserii. – Rdzy nie ma.

– Mówiłem, doskonały stan. – Sprzedawca odzyskał rezon.

– Spoko wodza, obadamy resztę. – Kruch wyjął z torby jakieś niewielkie urządzenie i zaczął przykładać końcówkę do karoserii. Skrupulatnie sprawdzał wyniki na wyświetlaczu. – Ile pan chcesz?

– Osiemnaście pięćset – odparł sprzedawca, nie wiedząc czemu kurcząc się ponownie.

– Osiemnaście pięćset – powtórzył Kruch – za bezwypadkowego „yariska”, ha? To jak, zuczku, wyjaśnisz mi to?

Stanął tuż nad właścicielem toyoty i wyprężył bary. Byłam pewna, że za moment jego T-shirt trzaśnie. Podstawił mu pod nos miernik. Cokolwiek Kruch sprawdzał, wynik nie był dobry i sprzedawca o tym wiedział.

– No, misiu-pysiu, co powiesz? Jeszcze raz? Proszę uprzejmie. Tu patrz. – Przygiął jego głowę do drzwi. – Dziewięćdziesiąt masz?

Tamten przytaknął niepewnie.

– Sto dziewięćdziesiąt masz?

Znów kiwnięcie głową.

– Sto dziewięćdziesiąt masz. A tu masz ile? Czytaj, dupku.

– Pięćset dziewięćdziesiąt – przeczytał tamten.

– Po kiego chuja było szpachlować, skoro bezwypadkowy?

– No, może była mała stłuczka... – zaczął sprzedawca – ale...

– Żadne „ale”, kurrriyyywa, żadne „ale”. Kit nam chciałeś wcisnąć, ot co! Mała stłuczka, ha? Za chuja pana nie szpachlujesz tak po małej stłuczce. Licznik przekręcałeś?

– Nie. Przysięgam, że nie. – Właściciel wyglądał na przerażonego.

– Sprawdź.

– Sprawdzaj pan, nie przekręcałem.

Kruch zajrzał do środka, obejrzał wszystko dokładnie. Przez moment gotowa byłam zrezygnować, bałam się auta po wypadku. Potem podjęłam decyzję. Skoro poprosiłam o pomoc fachowca, posłucham jego opinii. Jeżeli uzna, że „yarisek” jest niewart zachodu, poszukamy czegoś innego, a jeśli stwierdzi, że można nim jeździć, zaufam mu.

Kruch wysunął się z toyoty.

– Nie przekręcałeś i twoje ku... – powstrzymał się, zapewne przypominając sobie nauki Madzieńki – i twoje szczęście. Zobacz, Natalia. – Pokazał mi urządzenie wielkości dłoni. – To jest miernik grubości lakieru. Jak samochód jest bezwypadkowy, nie trzeba nic poprawiać. Tu na wyświetlaczu ma być dziewięćdziesiąt. U niego było sto dziewięćdziesiąt, o tutaj – pokazał miejsce na karoserii – a pięćset dziewięćdziesiąt tutaj. Znaczą się, coś w niego nieźle pierdy... stukło i było łatanie. Rozumiesz?

Nie rozumiałam wszystkiego, ale chyba wystarczająco dużo. Kruch spojrział niechętnie na właściciela „yariska”.

– Dobra. Dawaj kluczyki. Przejadę się i zdecydujemy. Wsiadasz?

Sprzedawca pokręcił głową. Chyba wolał ryzykować utratę auta niż jazdę z bandytą.

– Zna się ten państwa przyjaciel na rzeczy – stwierdził, gdy samochód odjechał.

– Zna się – potwierdziłam. – I okropnie się denerwuje, gdy ktoś próbuje go oszukać – dodałam, jakbym znała Krucha od lat.

Adam kiwnął tylko głową. Po kilkunastu minutach, w ciągu których sprzedawca pocił się i rozglądał nerwowo, Kruch wrócił.

– No, idealny to on nie jest. Klocki hamulcowe do wymiany, sprzęgło ma za duży luz. Nie jest dobrze, koleś, nie jest dobrze. – Mrugnął do mnie, dając do zrozumienia, że przesadza, żeby obniżyć cenę. Sprzedawca, gotów zaprotestować, otworzył usta, ale po chwili zamknął je, bo Kruch znów podszedł za blisko. – Jeszcze raz się spytam. Ile pan za niego chcesz?

– Osiemnaście.

– Nie dosłyszałem. Ile?

– Siedemnaście pięćset.

– Noż ty kurrrryyywa, ja chyba dzisiaj głuchy jestem. Ile?

– Siedemnaście i nie zejść niżej.

– Natalia, siedemnaście może być?

– Może być.

Adam wyjął gotówkę, którą dałam mu na przechowanie, nie chcąc chodzić po giełdzie z takimi pieniędzmi w torebce.

– Bardzo dziękuję za pomoc, Kruch. Ile ci jestem winna?

– No dajżeż spokój, Natalia. Adam to kumpel kumpla. Trzeba sobie pomagać, nie?

- Ale...
- Spoko. Jesteśmy na czysto. Fajna z ciebie laseczka.
- Ty też jesteś fajny. – Naprawdę polubiłam faceta. – Szkoda, że nie można zarabiać, pomagając w kupowaniu samochodów. Jesteś w tym dobry.
- Właściwie, to chyba można – wtrącił się Adam. – Słyszałem, że są ludzie, którzy to robią. Żyją z prowizji. Jeżdżą z klientami, pomagają ocenić stan techniczny i takie tam.
- Myślisz, że bym się nadał? – Kruch zareagował na słowa Adama, ale patrzył na mnie, jakby moje zdanie liczyło się dla niego bardziej.
- Spieprzyłem sobie młodość. Myślisz, że można zacząć na nowo po trzydziestce? Po tylu latach pierdła?
- „Oj, Kruch – pomyślałam. – Można, oczywiście, że można. Po trzydziestce, po trzydziestce piątce. Jesteś pięć lat przede mną. Ja też wyszłam z więzienia i uczyłam się normalności. I tobie się uda”.
- Myślę, że można, Marcin – powiedziałam, celowo używając jego prawdziwego imienia. Co z tego pojmie, jego sprawa, ale niech zobaczy, że nie musi do końca życia być Kruchem-włamywaczem. – Wiem na pewno, że można – dodałam i popatrzyłam na Adama. On rozumiał, o czym mówię.
- Kurrriyywa, Natalia, jesteś tak samo mądra jak moja Madzieńka. Jakby co, masz mój telefon. – Naskrobał na kartce numer i wręczył mi. – Cokolwiek się dzieje z „yariskiem”, dzwonisz do mnie, oki?
- Oki – odparłam i uśmiechnęłam się ciepło. – Powodzenia, Marcin. Pozdrów ode mnie Madzieńkę.
- Pozdrowię, żebyś wiedziała, że pozdrowię. Będzie zadowolona, że się do czegoś przydałem.

Na zakupy z Pati poszłam dopiero po tygodniu. Ona jedna poza Adamem wiedziała o moim nowym nabytku i obiecała na razie nikomu nie mówić. Była sobota, wszystkie sklepy otwarte, tłumy przechodniów, których można obserwować i podsłuchiwać. Umówiliśmy się w centrum handlowym. Do dwunastej zostało mi dziesięć minut, więc czekanie na Pati umilałam sobie, chodząc po szerokich korytarzach i zerkając na pozostałych klientów. Zawsze lubiłam patrzeć na ludzi.



Minęłam parę z dwójką dzieci i dotarły do mnie strzępy rozmowy:

– Obiecałaś, że pójdziemy na lody.

– I pójdziemy. Ale najpierw zrobimy zakupy – odparła kobieta, patrząc na kilkuletnią dziewczynkę z blond loczkami.

– Ale obiecałaś.

– Tak, kochanie. Wybierzesz sobie dwie kulki.

– Ja też? – zapytał nieco starszy chłopiec.

– I ty, i tata, i ja. – Matka się uśmiechnęła.

Ja także się uśmiechnęłam i starałam się nie myśleć, że jako dziecko w podobnej sytuacji zostałambym skarcona przez ojca. Nie mówiąc o tym, że nie dostałabym lodów w waflu. To bardzo nieestetyczne, tak lizać przy ludziach. Lody trzeba jeść łyżeczką z pucharka i nie zważając na to, że się topią, należy konsumować powoli, z dystynkcją, nabierając mikroskopijne porcyjki.

Zatrzymałam się na chwilę, patrząc na skromnie ubraną staruszkę, która przebierała w kolorowych szalach rozwieszonych na jednym ze stoisk. Miała na sobie burą, znoszoną sukienkę i pewnie chciała ją ożywić. W jednej dłoni trzymała jaskrawoczerwoną chustę, w drugiej – turkusową. Zerknęłam na cenę: zaledwie piętnaście złotych za sztukę, a kobieta i tak musiała wybierać, zamiast kupić obie. Ucieszyłam się, gdy kupiła czerwoną. Taki radosny kolor. Zanim poznałam Adama, zanim dokonałam zmian w życiu, nie odważyłabym się na tak ostre barwy. Dobrze, że tamta kobieta nie miała podobnych ograniczeń i mimo niewątpliwie skromnego budżetu mogła kupić to, co jej się podobało. A może w domu czeka na nią mąż, który powie, że pięknie jej w tej czerwieni?

Do tej pory zazdrościłam podglądanym osobom normalnego życia i codziennych problemów. Oczywiście, moje wyobrażenia mogły być dalekie od rzeczywistości. Skąd pewność, że kobieta, która mówi mężowi, jaki krawat powinien dobrać, jest przez niego traktowana po partnersku? I skąd mogłam wiedzieć, czy ów mąż, dziękując jej pocałunkiem za podpowiedź, nie robi tego na pokaz? Lubiłam jednak myśleć, że wokół mnie toczy się zwyczajne życie ludzi, którzy potrafią ze sobą rozmawiać. Teraz już nie zazdrościłam, ale dalej czerpałam przyjemność z podglądania.

Pati, odrobinę spóźniona, złapała mnie pod rękę i od razu pociągnęła w kierunku supermarketu stanowiącego część całego centrum handlowego.

– Kupowałeś w sklepach firmowych i butikach, ale nie zbadałeś jeszcze półek w „gigantach sprzedaży” – zaśmiała się. – A warto, bo za bezcen możesz tam znaleźć zupełnie przyzwoite ciuchy. Idziemy.

Miała rację. Za to, co wydawałam w butiku, tu mogłam kupić znacznie więcej. Nagle wszystko zaczęło mi się podobać.

– Popatrz, Pati, a to? – Pokazałam jej różową dzianinową bluzkę.

– Włóż, zobacz, jak się w tym czujesz, i zdecyduj.

– No, ale powiedz, czy będzie dobrze.

– I mam zepsuć to, nad czym tak pracowałeś?

– Nie rozumiem.

– Kochana. – Pati objęła mnie ramieniem i cmoknęła w policzek. – Spójrz, do czego doszłaś w tak krótkim czasie: usamodzielniałaś się, chociażby tylko emocjonalnie, masz faceta, który świata poza tobą nie widzi, w dupie masz uwagi, które słyszysz od męża i ojca. A mimo to mam ci dyktować, co masz kupić? Sama zdecyduj. Podoba ci się, bierz, nawet gdybym miała uznać, że to tragedia. Nie podoba ci się, zostaw, choćbym cię na kolanach błagała.

– Czekał, nie nadażam... W jakie miejsce odkładam uwagi Joachima?

– W dupę – odpowiedziała Pati, starannie akcentując „ę”. Spojrzała wyzywająco na mężczyznę, który ją w tym momencie usłyszał.

Wybuchnęłam śmiechem i weszłam do przymierzalni.

– Nie kupuję – powiedziałam, wychodząc. Róż zdecydowanie nie był moim kolorem. – Nie wybierzesz czegoś dla siebie? – zapytałam Pati. – O, to by ci pasowało. Akurat do twoich włosów.

Zdjęłam z wieszaka tunikę z nadrukowanymi pomarańczowo-szarymi zawijaszami. Pati dyskretnie zerknęła na cenę. Finansowo prawie wyszła na prostą, ale wciąż bardzo oszczędzała.

– Nie, nie do końca mi się podoba – odparła dzielnie, choć oczy jej rozbliły.

– Przymierz – zażądałam.

– Nati...

– Przymierz. Chcę ci zrobić prezent i muszę wiedzieć, co kupuję.

– Nati!

– Chyba nie chcesz zepsuć tego, nad czym tak pracowałam? – Spojrzałam na nią z uśmiechem. – Każesz mi samej decydować, proszę bardzo. Właśnie zdecydowałam, że chcę zrobić prezent ukochanej przyjaciółce. Nie możesz mi zabronić.

– Też cię kocham, ty wariatko – powiedziała i zniknęła w przymierzalni.

Po chwili tunika dołączyła do reszty zakupów w naszym koszyku. Przechadzałyśmy się między półkami, gdy usłyszałam rozmowę. Zatrzymałam Patrycję: matka z córeczką wybierały koszulki.

– Ta jest śliczna – powiedziała mama, pokazując dziecku T-shirt w kolorowe paski.

– Nie, nie lubię pasków.

– Będą bardzo ładnie na tobie wyglądać.

– Ale to paski, wolę kwiatuszki.

– Dobrze, poszukamy kwiatuszków – ustąpiła matka.

– Oj, ja pani współczuję – wtrąciła się pracownica marketu, która rozkładała towar na półce obok. – Ile ona ma?

– Sześć lat.

– Moja też. Ale jest bardzo grzeczna. Wkłada bez gadania to, co każe. Nie pozwoliłabym na takie przebieranie, dyskusowanie i wybrzydzenie. Nie jesteś grzeczną dziewczynką, prawda? – Uśmiechnęła się krzywo do małej.

Matka milczała, a ja nagle poczułam się okropnie. Też byłam dzieckiem, które bez dyskusji wkładało to, co kazał ojciec. I co ze mnie wyrosło? Kobieta walcząca o swoje prawa jak lwica, ale dopiero teraz. Trzydzieści pięć lat zajęło mi dojście do tego momentu, a wciąż jeszcze było mnóstwo do zrobienia. Ścisnęłam rękę Pati dla dodania sobie odwagi, potem puściłam ją i podeszłam do dziewczynki.

– Kiedy byłam w twoim wieku... – zaczęłam, przykucając przed małą. Matka spięła się, zapewne oczekując jakiejś umoralniającej gadki o posłusznych córeczkach. – Kiedy byłam w twoim wieku, też wolałam kwiatuszki od pasków. A ty jesteś bardzo grzeczna, bo nie krzyczysz, tylko spokojnie mówisz, co byś chciała. Jak masz na imię?

– Natałka. – Dziewczynka obdarzyła mnie szczerbatym uśmiechem.

– No proszę, ja też. Wiesz co, Natałko? Poszukaj sobie najładniejszych kwiatuszków, jakie tylko tu mają. I dalej bądź taką miłą dziewczynką jak teraz. Twoja mamusia jest mądra – spojrzałam na kobietę, która uważnie słuchała mojej rozmowy z dzieckiem – bo rozumie, że ty wiesz najlepiej, co ci się podoba.

Sprzedawczyni fuknęła w moją stronę, ale już się nie odzywała.

– Zawsze zwracam uwagę, czy to, co wybiera córka, jest odpowiednie – wyjaśniła matka. – Bawełna na lato, ciepłe na zimę. Ale wzory to sprawa Nateczki. W końcu to ona będzie nosić tę koszulkę, nie ja.

– Uważam, że robi pani bardzo słusznie – powiedziałam, wstając.

– Niech od dziecka trenuje podejmowanie decyzji, bo inaczej... inaczej to...

Poczułam na ramieniu dłoń Patrycji.

– Chodź – szepnęła.

– Do widzenia. Nateczko, pożegnaj się z paniami.

– Cholera, Pati – wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło, gdy odeszłyśmy w miejsce bez ludzi. – Natałka. Taka mała Natałka. Ja też byłam małą Natałką. Tusią. A gdyby ojciec pozwolił mi wtedy kupić bluzkę w kwiatuszki? Nie potrzebowałabym aż tylu lat, żeby stać się dorosłą Natalią.

Zorientowałam się, że płaczę, gdy Pati podała mi chusteczkę. Po chwili wyjęła ją z mojej ręki i wytarła rozmazany pod okiem tusz.

– Nie myśl o tym, Nati. To już za tobą.

Dobrze mi poradziła, ale ja już wróciłam myślami do przeszłości. Do małej Tusi, która robiła wszystko, by zasłużyć na miłość ojca.

## Ojciec

W naszym domu było wiele tematów tabu. Nie mówiono o chorobach. Gdy ciotka Aniela, kuzynka ojca, zachorowała na stwardnienie rozsiane, mówiło się, że jest niedysponowana i dlatego nie wolno jej odwiedzać ani tym bardziej zapraszać do nas. Jako ośmiolatka nie mogłam zrozumieć, dlaczego jakaś niedyspozycja całkowicie wyklucza człowieka z życia rodzinnego. Tęskniłam za Anielą. Była wesoła, zabawna, częstowała mnie krówkami i powtarzała ojcu, żeby nie był dla mnie zbyt surowy. Nie powiedziano mi, że umarła. Dowiedziałam się, że wyjechała bardzo daleko i nie można do niej dzwonić. A przecież byłam już na tyle duża, żeby rozumieć, co to znaczy śmierć. Przez długi czas bałam się, gdy wyjeżdżał ojciec. Pytałam mamę, czy jedzie do Anieli i czy już nigdy nie będzie można do niego zatelefonować.

Nikt nie pomógł mi przejść przez okres dojrzewania. Na szczęście podstawowych wiadomości uczono nas na biologii, reszty dowiedziałam się od koleżanek i z czasopism. Podkładałam matce podpaski, a ona udawała, że tego nie widzi. Zapytałam kiedyś, co to jest takie dziwne uczucie, gdy patrzę na chłopaka, który mi się podoba. Kazała mi natychmiast zamilknąć i broń Boże nie iść z tym do ojca.

– Jesteś za młoda, Natusiu, żeby myśleć o tych rzeczach – powiedziała mi wtedy. – Zajmij się nauką.

Miałam piętnaście lat i sądziłam, że dziewictwo traci się wskutek urodzenia dziecka. Na szczęście wkrótce zaczęłam lekcje biologii z mądrą nauczycielką. Podzieliła klasę na chłopców i dziewczęta, i wyjaśniła nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

W domu nie rozmawialiśmy o uczuciach, nie okazywaliśmy złości ani większego smutku. Nawet ciesząc się, pozwalaliśmy sobie na uśmiech, kilka słów w stylu: „Dobrze poszło”, „Udało się”, ale nie było wybuchów spontanicznej radości, okrzyków i podskoków. Nie pamiętam żadnej awantury, żadnej porządnej kłótni. Matka i ja we

wszystkim ustępowałyśmy ojcu, a: „Tak, Tomaszu” lub: „Tak, tato” weszły do naszego słownika na stałe.

– Nie sprzeciwiaj się, Natusiu – mówiła matka. – Bez taty nie dałybyśmy sobie rady.

Nie sprzeciwiałam się i na dziecięcych ramionkach dźwigałam odpowiedzialność za małżeństwo rodziców, za moje i matki być albo nie być. Posłuszeństwem wobec ojca kołam lęk matki przed porzuceniem.

Matka. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że w tej retrospekcji nie poświęciłam jej osobnego rozdziału. W moim życiu było jej za mało, jakby zmarła przy porodzie i zostawiła mnie z ojcem. Moja mama żyje, choć od niedawna zastanawiam się, czy taką wyciszoną do maksimum egzystencję można nazwać życiem. Teraz już rozumiem, że ona cały czas się boi. Sądziłam, że jej bóle kręgosłupa wynikają z dyskopatii, ucisk w piersiach oznacza słabe serce, a migreny spowodowane są wrodzoną wrażliwością na zmiany pogody. Teraz już wiem, że to ciało mamy walczy z klatką, do której zostało wciśnięte. Ciało, bo psychika poddała się już dawno.

Jabunia opowiadała mi kiedyś o jej młodości. Matka była śliczna, pełna energii i miłości do każdego żywego stworzenia. Przyprawiała do domu zagubione psy, dokarmiała błakające się koty, budowała karmniki dla sikorek i wróbli. Widziałam jej zdjęcia z dzieciństwa: ciemne włosy zawiązane w kucyki, białe kokardy, ogromne, roześmiane oczy. Nawet na starych, pozowanych, czarno-białych fotografiach widać było emanującą od mamy siłę życia. Jako osiemnastolatka była piękna. Często zaplatała warkocz, który przerzucała przez ramię. Ze zdjęć spoglądała oczami, w których widać było radość, mądrość i wiarę, że wszystko dobrze się ułoży. Zawsze chciała od świata więcej, niż mogła dostać w Konopnicy. Marzyły jej się studia w Warszawie, oczywiście weterynaria, marzył jej się kochający mąż, z którym prowadziłyby gabinet. W ich domu miały być dwa psy, dwa koty i co najmniej czwórka dzieci, żeby żadne nie czuło się samotne. Jabunia opowiadała mi o tym, a ja nie rozumiałam, dlaczego robiła się wtedy smutna. Przecież to były piękne marzenia.

I wtedy mama poznała ojca. Olśniła go jej uroda, skusiła świadomość, że zagubiona w stolicy, będzie mu całkowicie

posłuszna. Obiecał jej wszystko, czego tylko zapragnie. Starszy od niej o szesnaście lat, zaimponował dziewczynie ze wsi samochodem, manierami i, co tu ukrywać, pieniędzmi. Już wtedy ojciec wypracował sobie status znakomitego prawnika i wykorzystywał każdą sytuację, by to zaznaczyć.

Matka wyszła za mąż tuż po maturze. Zamieszkali na Żoliborzu, ale w pięciopokojowej willi na Płatniczej nie było miejsca dla psów i kotów.

– Na dzieci mamy czas – powtarzał ojciec. – Na razie cieszymy się sobą.

Matka musiała zapomnieć o studiach. Ojciec chciał mieć żonę, która będzie na niego czekać z obiadem, która w czasie jego nieobecności posprząta i zadba, żeby było mu przyjemnie wracać do domu. Podobno zaszła w ciążę przypadkiem, a potem przekonała ojca, że powinna urodzić, bo ludzie wezmą ich na języki, gdy dokona aborcji. Wolę myśleć, że matka specjalnie się nie zabezpieczyła, że w wieku dwudziestu czterech lat zapragnęła dziecka i oszukała ojca. To by znaczyło, że był taki czas, kiedy przynajmniej jedno z nich mnie chciało.

Razem z moim urodzeniem w domu pojawiła się pani Hanna. Ojciec uznał, że pomoc w domowych obowiązkach i w opiece nad dzieckiem jest mamie niezbędna. Wtedy mało kto rozumiał zjawisko depresji poporodowej, a ojciec szybko znalazł rozwiązanie problemów matki, jak zwykle koncentrując się na objawach i całkowicie pomijając przyczyny. Pani Hanna przychodziła codziennie rano i zostawała do wieczora. Odtąd jedynym zadaniem mamy było dobrze wyglądać, ubierać się stosownie do okazji i uśmiechać przy gościach. Pamiętam te uśmiechy. Zamknięte, ładnie wygięte usta, dłonie złożone na kolanach, poważne oczy. Teraz, jako sześćdziesięciolatka, przytyła trochę, ale wciąż można ją uznać za zgrabną. Niewysoka, o sympatycznej, choć dość nijakiej, uprzejmie uśmiechniętej twarzy i zgaszonym spojrzeniu. Zupełnie zatraciła naturalną mimikę. Marmur w jej psychice sięga o wiele głębiej, niż kiedykolwiek sięgał mój. Ja potrafiłam się wyzwolić, ona nie. Czy jest mi jej szkoda? Trochę. Pewnie współczułabym jej bardziej, gdyby dała mi coś od siebie, gdyby była mamą, a nie jedynie osobą, która mnie urodziła i zupełnie samą i bezbronną

oddała na pastwę ojca. Przecież na pewno rozumiała, że została skrzywdzona. Dlaczego pozwoliła, by to samo przydarzyło się mnie? Ponieważ się bała. Cały czas się bała i nadal się boi. Tak bardzo drżała o siebie, że nie wystarczyło jej sił, aby walczyć o mnie.

Dlatego sama nie chciałam mieć dzieci. Udając, że zgadzam się z Joachimem, powtarzałam jego słowa: „Odpowiedzialność”, „Za dużo obowiązków”, „Obciążenie”, „Nie dam sobie rady”, „Jesteśmy szczęśliwi tylko we dwoje”. Dopiero teraz, przy Adamie, zaczęłam oddychać swobodnie, zaczęłam czuć i przeżywać. I zaczęłam wierzyć, że byłabym dobrą matką. Wystarczyłoby postępować odwrotnie niż moi rodzice. Chciałam być z Adamem, traktowałam ten związek bardzo poważnie i pragnęłam go ujawnić. Ciągłe ukrywanie się, oszukiwanie Joachima zmęczyło mnie do tego stopnia, że nie zastanawiając się wiele, zrobiłam jedną z większych głupot, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się popełnić.

Pojechałam do rodziców. Nie wiem, po jaką cholere. Chyba nie byłam jeszcze tak wyzwolona, jak sobie wyobrażałam, bo gdzieś głęboko w podświadomości liczyłam na akceptację ojca. Jakąś część siebie wierzyłam, że jeżeli da mi błogosławieństwo, wszystko potoczy się wspaniale. Rozwiode się z Joachimem, wyjde za Adama i urodzę mu cudowne, mądre dziecko, które wychowamy na szczęśliwego człowieka. Przyjechałam bez makijażu, bez kolczyków, w grzecznym ubranku grzecznej Tusi z nadzieją, że ojciec potraktuje mnie jak córkę, którą kocha, a nie jak osobę, którą spłodził, by spełniała jego wymagania.

– Czy pomyślałaś, Tusi, ile osób w ten sposób skrzywdzisz? – wysyczał ojciec, gdy siedząc z rodzicami przy stole w salonie, opowiedziałam wszystko, dla siebie zachowując jedynie informacje o świeżutkim prawie jazdy i nowym samochodzie. – Nie, w ogóle nie pomyślałaś. Zachowałaś się w sposób typowy dla siebie: nieodpowiedzialnie, egoistycznie, bezmyślnie.

Wstał od stołu i patrzył na mnie z wysokości swoich stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów. Mimo wieku zachował szczupłą sylwetkę. Zmarszczki na twarzy i siwe włosy sprawiały, że ojciec wyglądał jak dystyngowany dżentelmen. Całą postacią budził respekt. Próbowałam przypomnieć sobie sytuacje, w których byłam



egoistką. Czy to było wtedy, gdy chciałam obciąć włosy? Ojciec mi na to nie pozwolił, więc przez całe lata nosiłam i wciąż noszę tę samą fryzurę: kok i równa grzywka na czole, jak u trzecioklasistki. A może chodzi mu o kolczyki? Faktycznie, czysty egoizm. Przekłułam uszy, nie pytając tatusia o zgodę.

– Czy ty sobie wyobrażasz, ile szkód może przynieść twoje zachowanie? – mówił dalej. – Zrujnujesz moją karierę, zrujnujesz karierę Joachima, zrujnujesz życie sobie i temu twojemu Andrzejowi.

– Adamowi.

– Nie przerywaj, gdy do ciebie mówię. – Wciąż opanowany, kontrolujący buzującą w nim złość, nie podnosił głosu. Zamilkł na chwilę, a potem kontynuował łagodniejszym tonem: – Tusi, czy ty pomyślałaś, jak sobie dasz radę? No, wyobraź sobie: rozwodzisz się z Joachimem i co dalej? A jeżeli twój nowy partner nie zechce się z tobą ożenić? Kto się tobą zajmie? Sądzisz, że samotnej kobiecie w dzisiejszych czasach jest łatwo? Zrozum, dziecko, to wszystko nie jest takie proste. Ja wiem, wydaje ci się, że jesteś zakochana. A jeżeli to tylko zauroczenie? Posmakowałaś innego stylu życia niż małżeństwo, ale nie wiesz, czy za jakiś czas nie zmienisz zdania. – W trakcie tej przemowy chyba kolejny raz dotarła do ojca niebywała zuchwałość mojego czynu, bo zdenerwował się na nowo. – Jak mogłaś być tak niemądra?! Spodziewałem się, że czegoś cię nauczył, że wpołem ci jakieś zasady. A ty co?! – Usiadł tuż przy mnie i zajrzał mi w oczy jak oskarżyciel wymuszający przyznanie się do winy. – A ty co? – powtórzył.

„A ja cię rozczarowałam – pomyślałam gorzko. – Kolejny raz zawiodłam pokładane we mnie nadzieje, prawda, tato? – Przełknęłam gorzką kulę. Nie mogłam się rozplakać, bo zostałabym uznana za histeryczkę, co w oczach ojca byłoby jeszcze gorsze niż przyznanie się do zdrady. – Tato, zrozum – prosiłam w myślach. – Źle się czuję w małżeństwie z Joachimem, postaraj się mi wybaczyć i pozwól mi żyć tak, jak chcę. Oddałam ci tyle lat, tyle czasu byłam posłuszną córką, postępującą zawsze według twojej woli. Pozwól mi teraz...” – Zamrugałam nerwowo, powstrzymując łzy.

Ojciec spojrział na mnie z czymś w rodzaju zadowolenia. Dobrze, że oskarżona poczuwa się do winy.

– Nie tak cię wychowałem, Tusi. Nie jestem zadowolony z twojego postępowania.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Starannie odmierzał kroki i pozy. Krok, krok, ręka, przystanąć, spojrzeć. Krok, krok, ręka, przystanąć, spojrzeć. Nie byłem w stanie spojrzeć mu w oczy. Czułam się strasznie. Strasznie i dziwnie zarazem. Jakby runęło ostatnie moje złudzenie. Ostatnia zaporą odgradzająca mnie od prawdy. Ojciec mnie nie kochał. Nigdy. Od samego początku mnie nie chciał, a teraz jego obawy tylko się potwierdzały. Byłam nieudana, wszystko robiłam źle, nie zasługiwałam na miłość.

„Dobrze, tato, to już wiemy, nie kochasz mnie. Chyba po prostu nie umiesz. To nie moja wina. To. Nie. Moja. Wina”.

Odetchnęłam głęboko i poczułam, jak miejsce żalu zajmuje wściekłość. Zmarnowałam pół życia, pragnąc zadowolić człowieka, który niczego nie potrafi docenić. Człowieka, który tylko wymagał, oczekiwał, ganił, ale nic od siebie nie dawał. Nagradzał przez powstrzymanie się od krytyki.

„Nie wiem, czy w ogóle cię to interesuje, tatusiu, ale właśnie zająłeś drugie miejsce na mojej liście osób znienawidzonych. Zaraz po Joachimie. Cieszysz się czy twoja ambicja domaga się pierwszej lokaty? Powiedz jeszcze coś, a kto wie, może awansujesz”.

Matka milczała. Przyglądała mi się, jakby nie dowierzając, że ma taką córkę, ale zdawało mi się, że przez strach w jej oczach prześwitują iskierki nieśmiałego uznania. Ojciec wreszcie miał dosyć. Odesłał mnie do mojego dawnego pokoju, jak zwykł to robić, gdy byłam dzieckiem.

– Proszę iść do siebie i przemyśleć swoje zachowanie – syknął. – Będę tu czekał, aż zmądrzejesz i przeprosisz. Teraz nie życzę sobie z tobą rozmawiać. Nie chcę powiedzieć czegoś, czego potem będę żałował.

„No, to trochę za późno, tato”.

Po chwili zamknęłam drzwi do „mojego” pokoju, który w istocie nigdy nie był naprawdę mój. Nie wolno mi było urządzić go po swojemu, nie wolno mi było zapraszać nieaprobowanych przez ojca gości, nie mogłam słuchać w nim ulubionej muzyki. Dzisiaj pokój wyglądał niemal tak samo jak wtedy, gdy mieszkałam z rodzicami. Na łóżku wciąż leżała ta sama narzuta zszyta z kawałków skóry,

w oknach wisiały te same ciężkie, welurowe zasłony. Tylko moje podręczniki zamieniono na książki prawnicze i historyczne, a miejsce po zeszytach wypełniły albumy z fotografiami rodzinnymi. Przysunęłam sobie krzesło do okna i obojętnie patrzyłam na dziwnie poszarzały ogród. Nie chciałam myśleć, nie chciałam dochodzić do wniosku, że źle zrobiłam, nie chciałam układać w głowie odpowiednio służalczych przeprosin. Chciałam posiedzieć tu, aż się uspokoję, a potem pojechać do Adama.

Przesiadłam się na łóżko, sięgnęłam na półkę i wyjęłam stary album. Nigdy nie widziałam tych zdjęć. Ojciec na tle klombu kwiatów, chyba w Łazienkach. Młody, jakieś dwadzieścia lat, nie więcej. Był rzeczywiście przystojny: zgrabny, gęste włosy, miły uśmiech. I oczy, zupełnie inne niż teraz, żywe, radosne. Przewróciłam stronę. Kolejne zdjęcie z tego samego dnia. Teraz wiedziałam na pewno, że to Łazienki, bo w oddali widać było Pałac na Wodzie. Na pierwszym planie ojciec opierał się o pień drzewa. Jego ramiona obejmowała czyjaś ręka. Męska. Jednak reszta postaci została odcięta i tylko połowę fotografii umieszczono w albumie. Dlaczego? Przerzucałam stronicę w nadziei, że znajdę tajemniczego mężczyznę, który zniknął z pierwszego ujęcia. Natknęłam się na fotografię ślubną rodziców. Ojciec stał poważny, wyprostowany, matka trzymała go pod rękę i wyglądała, jakby właśnie dowiedziała się o tragicznej śmierci wszystkich swoich bliskich. Poczułam fizyczny niemal ból. Moje zdjęcie ślubne różniło się od czarno-białej fotografii rodziców tylko kolorami. Staliśmy z Joachimem w identycznej pozie, a ja patrzyłam przed siebie, żałując, że nie mam lunety. Bo może to szczęście, które na mnie czekało, było tak daleko, że udałoby mi się je dostrzec dopiero przy dużym powiększeniu...

Szybko przewróciłam kartonową stronę albumu i niespodziewanie się roześmiałam.

Stali całą grupą przed pałacem w Wilanowie. Znacznie młodszy mecenas Drawski trzymał żonę na rękach, ojciec ponury, z lekko wykrzywionymi ustami, wyglądał zza pani Heleny, która musiała głośno się śmiać, gdy fotograf zwolnił migawkę. Drawski pochylał się nad włosami żony, jakby właśnie przed chwilą pocałował ją

w czubek głowy, w jego oczach błyszczało uwielbienie. W oczach ojca natomiast widać było skrepowanie i ledwie skrywaną niechęć.

Drzwi do pokoju otworzyły się, weszła matka. Usiadła obok, nieśmiało pogładziła mnie po dłoni, którą opierałam o łóżko.

– Och, Natusiu, Natusiu, bardzo zdenerwowałaś ojca – westchnęła. – Co też ci przyszło do głowy z tym romanssem? Tak ci źle z Joachimem?

Nie odpowiedziałam. Powinna sama wiedzieć. Zamiast tego wróciłam do przeciętego zdjęcia.

– Kto tu był?

Zaśmiała się gorzko, rozpaczliwie.

– Ty naprawdę masz talent do pakowania się w kłopoty, Natusiu – rzuciła.

– Kto tu był? – powtórzyłam. Nagle za wszelką cenę zapragnęłam się tego dowiedzieć i gotowa byłam posunąć się do paskudnych metod, żeby osiągnąć cel. – Może zapytam ojca...

– Ani się waż, dziecko, napytasz sobie biedy, poruszając ten temat... – Matka cofnęła się, jakby talent do pakowania się w kłopoty był zaraźliwy. – Brat ojca, Janusz – odpowiedziała w końcu niechętnie.

– Ojciec miał brata?

To był szok. Miałam (a może mam) wujka, o którym nic nie wiedziałam. Co takiego zrobił, że został skreślony przez rodzinę? Ożenił się wbrew woli rodziców, ośmielił się żyć według własnych zasad i pragnień? Był szczęśliwy i tym samym, według kryteriów taty, popełnił czyn zakazany?

– Ciszej, Natusiu, ciszej. Na Boga, nie krzycz tak.

– Opowiedz mi o nim – poprosiłam szeptem.

Matka rozejrzała się po pokoju jak konspirator obawiający się podsłuchu. Przez moment chciałam zasugerować rozkręcenie telefonu i lampy, żeby udowodnić, że nie ma tam żadnych pluskiew. Zrezygnowałam, gdy zaczęła mówić. Cicho, niepewnie, jakby zdradzała mi tajemnicę, która nigdy nie powinna wyjść na jaw.

– Janusz... on nie był całkiem zdrowy, wiesz. To znaczy, nigdy nie stwierdzono, że był chory na umyśle, nie, nic z tych rzeczy. Ale był... jak by to ująć... nieprzystosowany. Bardzo wrażliwy, poeta. Kiedyś nawet „Życie Literackie” opublikowało jeden z jego wierszy.

– Ale dlaczego... – zaczęłam, ale pogrążona we wspomnieniach matka nawet na mnie nie spojrzała.

– Twój dziadek ze strony ojca był surowym człowiekiem. Adwokat z dziada pradziada. Babka była w domu, przy mężu, ale szlachcianka z urodzenia, choć w tamtych czasach o tym się nie wspominało. Obydwu synów posłali na prawo. Ojciec, jak wiesz, był ich dumą. Pierwszy radca od pokoleń. Janusz się nie nadawał. Marzył o polonistyce, dusił się, próbując zrozumieć prawo rzymskie. Nie poradził sobie ze świadomością, że wszystkich zawiódł.

– Co zrobił? – zapytałam, ale już domyślałam się odpowiedzi.

– Powiesił się w swoim pokoju po kolejnym oblanym egzaminie. Na podłodze rozłożył indeks, do kominka wrzucił zeszyt ze swoimi wierszami. Taki melodramat urządził. Twój ojciec znalazł go, gdy Janusz nie żył już od kilku godzin. Podobno to był okropny widok. Najgorsze, że wszyscy wtedy byli w domu, wiesz. Cały dzień, bo to niedziela. Wrócili z kościoła, gosposia robiła obiad, dziadek coś czytał, babka krzątała się po parterze, ojciec uczył się do kolokwium, a Janusz poszedł do siebie i tak po prostu po cichu się zabił. Twój dziadek był wściekły, nie pozwolił go opłakiwać. Nie zgodził się nawet na pochówek w Warszawie, nie mówiąc o rodzinnej kwaterze. Wywieźli go za miasto i pogrzebali na małym cmentarzyku w Głoskowie, Gołkowie, nie pamiętam dokładnie. Ludziom mówili, że wyjechał studiować za granicą. Potem przeprowadzili się tutaj, żeby ukrócić plotki.

„Biedny wujek Janusz” – pomyślałam. Nagle zachciało mi się płakać. Poczułam taką stratę, jakbym go znała i kochała, jakby był jedną z nielicznych bliskich mi osób. „Melodramat urządził”. Co za obraźliwe określenie czyjegoś zmarnowanego życia. Zamordowano jego marzenia i nazwano to melodramatem. Chciałam krzyknąć: „To nie było samobójstwo, to było morderstwo dokonane z zimną krwią przez wielu sprawców! Zobacz to wreszcie, mamó, i ratuj się, zanim będzie za późno!”. Milczałam jednak. Zaczęłam lepiej rozumieć ojca. Jako dwudziestolatek musiał żałować śmierci brata, a nie wolno mu było nawet tego okazać. Może kiedyś był tak samo wrażliwy jak Janusz? Może musiał zdusić uczucia, żeby zwyczajnie przetrwać? Na dwóch zdjęciach sprzed śmierci wujka ojciec wyglądał na szczęśliwego, potem jego spojrzenie stwardniało. Włożył dużo pracy

w stłumienie emocji i w sumie nic dziwnego, że teraz nie chciał marnotrawić tych wysiłków. Upychanie uczuć w trzewiach i chłodny perfekcjonizm stały się jedyną strategią na przeżycie, jaką ojciec znał. Zrozumiałe, że próbował mnie tego nauczyć. Każdy ojciec chce, żeby jego dziecko przeżyło.

Spojrzałam na matkę. Potrząsała głową, odganiając własne, niebezpieczne wspomnienia.

– Nie wolno ci, córciu, wspominać o Januszu przy ojcu – powiedziała. – Najlepiej w ogóle o nim nie mów. Swoim czynem splamił dobre imię Rawiczów. Ojciec nie życzy sobie o nim pamiętać, a tobie nie wolno się przyznać, że w ogóle coś o nim wiesz. Nie powinnam ci o nim opowiadać, nie wiem, co mnie podkusiło.

– A skąd ty o nim wiesz?

Matka wyglądała na skrepowaną.

– No, powiedz, już i tak tyle sekretów zdradziłaś. Nie wydam cię przed ojcem – poprosiłam, a w myślach dodałam: „Bądź raz po mojej stronie, bądź moją przyjaciółką, z którą mam tajemnice przed innymi, proszę”.

– To było zaraz po naszym weselu – przełamała się matka. – Poprawiny, znasz taki zwyczaj?

Kiwnęłam głową.

– Trzeba dojeść resztki z przyjęcia, bo szkoda wyrzucić – mruknęłam.

– No właśnie. Zostało sporo wódki i ojciec wypił odrobinę za dużo. Wtedy mi opowiedział. Potem chodził zły przez tydzień i obiecał, że nie tknie więcej alkoholu. Nawet dzisiaj pozwala sobie na jeden kieliszek wina i to wszystko, przez całe przyjęcie.

„Pełna kontrola – pomyślałam. – Po wpadce, w której okazał się człowiekiem”.

Matka zmieniła ton. Wzięła mnie za rękę i patrzyła w oczy. Teraz mówiła błagalnie, jakby od mojej zgody zależało jej życie:

– Proszę cię, Natusiu, idź do ojca, przeproś. Przyznaj, że źle zrobiłaś, zerwij z tym Adamem, bo i tak nic dobrego z tego nie będzie. Joachim nie wie? Dobrze. Nie może się dowiedzieć. Niech wszystko zostanie po staremu, zanim doprowadzisz do katastrofy.

Proszę cię. Zdradziłam ci rodzinną tajemnicę, chyba możesz się odwdzięczyć?

Ach, więc stąd to zaufanie. Żeby mnie przekupić. Opowiem ci ciekawą historię, a ty w zamian pokierujesz swoim życiem tak, żebym ja czuła się bezpiecznie. „Przepraszam, mamó, ale nie umawialiśmy się na taką wymianę. Nie uprzedziłaś mnie na początku, ile zapłacę za zaspokojenie ciekawości. A twoja cena jest dla mnie za wysoka”. Zastanowiłam się przez moment, kiwnęłam głową. Przepraszę ojca, ale żyć będę po swojemu. Po prostu drugi raz nie popełnię błędu i nie przyjdę prosić o zrozumienie.

– Przepraszam, tato – powiedziałam, wchodząc do salonu. – Zrozumiałam, dlaczego źle zrobiłam.

„Nie należało tu przyjeżdżać” – dodałam w myślach.

– Dobrze, cieszę się, że zostało ci choć tyle rozsądku.

Ojciec odetchnął z wyraźną ulgą, a do mnie dotarło kolejne objawienie. On naprawdę się o mnie martwił. W jakiś przedziwny, pokręcony sposób mu na mnie zależało, choć tylko skończony naiwniak nazwałby to miłością.

– Twój mąż wie, że tutaj jesteś? – zapytał.

– Nie.

– Co mu powiedziałaś?

– Że jadę na basen.

– Absurd – prychnął ojciec pod nosem. – No dobrze, teraz już tego nie zmieniaj. Ale o całej tej nedorzecznej rozmowie ani słowa.

Kiwnęłam głową. „Oczywiście, tato, tu akurat w pełni się z tobą zgadzam”.

Zadowolony, zmienił temat. Zakończył postępowanie sądowe, można było zająć się następną sprawą.

– Dwudziestego września będzie wesele Moniki – poinformował mnie. – Proszę przygotować odpowiedni prezent i zawczasu przemyśleć strój.

Ucieszyłam się. Lubiłam Monikę, choć widywałyśmy się rzadko. Była wnuczką dalekiego kuzyna ojca. Ilekroć próbowałam ogarnąć koligacje rodzinne i zrozumieć, kim dokładnie jest dla mnie ta dziewczyna, tylekroć zaczynała boleć mnie głowa. Zaraz, zaraz... Dziadek miał brata, brat się ożenił, żona brata miała siostrę. Ta

siostra wyszła za mąż i ten mąż miał brata. Brat męża siostry męża brata mojego dziadka się ożenił... Gdzie jest etopiryna?

Monika była sympatyczną dwudziestopięciolatką, skończyła italianistykę i wychodziła za mąż za Włocha. Dlaczego mój ojciec utrzymywał kontakty z jej rodziną, tego nie wiedziałam, ale zdaje się, że ktoś tam był całkiem nieźle ustawionym dyrektorem lub jego zastępcą w jednym z warszawskich szpitali.

– Spodziewaj się telefonu od niej. Powinna odezwać się na dniach i zaprosić ciebie i Joachima.

– Tak, tato – odpowiedziałam jak zwykle.

– Dobrze. Teraz proszę wracać do domu, do męża, i wybić sobie z głowy głupstwa.

– Tak, tato.

Spojrzał na mnie prawie przyjaźnie.

– Zobaczysz, Tusi, wszystko się ułoży. Przecież ja chcę twojego dobra, rozumiesz? Dlatego czasem trochę się denerwuję, gdy postępujesz niemądrze.

– Tak, tato.

Uśmiechnął się.

– Do widzenia, Tusi. Proszę pożegnać się z matką.

– Tak, tato. Do widzenia. Do widzenia, mamó.

Wysłałam, zanim wpadłam na pomysł zapytania go o najłagodniejszy wyrok za wydrapanie komuś oczu. Okoliczności przemawiałyby na moją korzyść, co niewątpliwie wpłynęłoby na złagodzenie kary.

– Wysoki Sądzie, faktem jest, że wydrapałam ojcu oczy, pomagając sobie widelcem. Faktem jest także, iż tym samym widelcem rozorałam mu pół twarzy. Zgadza się, że może świadczyć to o mojej agresji, szczególnie że widelec był dość tępy, a rany głębokie. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że ojciec zmarnował mi całą młodość i nie pozwolił obciąć włosów.

– To w pełni tłumaczy oskarżoną, aczkolwiek nie usprawiedliwia brutalności czynu. Oskarżona otrzymuje wyrok roku ograniczenia wolności w zawieszeniu na dwa lata i karę grzywny na dowolnie wybraną organizację charytatywną.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Postanowienie przyjmuję z pokorą. Grzywnę wpłacę na schronisko dla dręczonych żon i córek



wyrzuconych z domu za nieposłuszeństwo.

Nie miałam zamiaru wracać do domu. Joachima uprzedziłam, że nie będzie mnie cały dzień. Basen, sauna, masaż i aerobik miały zająć mi czas do wieczora. Przełknął gładko kolejne kłamstwo. Zastanawiałam się, czy gdybym powiedziała, że jadę do Afryki tresować słonie, też by uwierzył i pozwolił mi na wyprawę, upewniwszy się tylko, że wrócę na noc. Przez moment czułam się nawet dotknięta jego brakiem zainteresowania. Jakbym nagle zapragnęła jego zazdrości. Bo zazdrość oznaczałaby, że mojemu mężowi zależy na czymś więcej niż tylko na zachowaniu pozorów. Szybko mi przeszło, gdy uświadomiłam sobie, że zazdrosny Joachim przeglądałby moją komórkę i kazał spowiadać się z każdej minuty spędzonej poza domem. Poza tym przecież miałam Adama. Nie potrzebowałam do szczęścia niczego więcej.

Zmierzchało, kiedy nacisnęłam dzwonek do drzwi w kamienicy na Krzywym Kole. Adam uwielbiał takie niespodzianki. W soboty zwykle był w domu, obrabiał zdjęcia na komputerze. Kiedy planował jakieś wyjście, uprzedzał mnie, żebym nie jechała na próżno. Chciałam opowiedzieć mu o spotkaniu z rodzicami, o reakcji ojca, o wujku Januszu. Chciałam, żeby mnie przytulił, pocieszył i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Wierzyłam w takie zapewnienia. Wierzyłam w Adama.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się, gdy mi otworzył.

Od razu weszłam do mieszkania i jeszcze zanim usiadłam, zaczęłam mówić. Wyrzuciłam z siebie całą złość, cały żal, wyśmiałam złowrogie wróżby ojca. Miałoby mi się nie udać z Adamem? Nonsens. Miałabym zrujnować swoje i jego życie? Jeszcze większy nonsens.

– Niepotrzebnie do nich jechałam. Zdenerwowałam się tylko, a nic dobrego z tego nie wynikło – powiedziałam, przytulając się do mojego kochanka.

Podniosłam wzrok zdziwiona, gdy poczułam, jak kiwa głową.

– Tak, Nat, chyba faktycznie nie należało mówić o nas ojcu.

– Dlaczego? – zapytałam wciąż jeszcze spokojna, choć na plecach zaczął się gotowy do ataku strach. Dlaczego Adam nie chciał, by moi rodzice dowiedzieli się o romansie?

– Sam nie wiem. – Adam przeczesał włosy, jak zawsze, kiedy był podenerwowany. – A jeżeli to dojdzie do Joachima?

Strach zaatakował. Do tej pory Adam powtarzał, że nie lubi, gdy wracam do domu. A to przecież znaczyło, że wolałby, abym zostawała z nim.

– A co by się stało, gdyby to doszło do Joachima? – Cholera, głos mi zadrżał.

– Nat, kochanie moje, nie denerwuj się. Ojciec na pewno nic mu nie powie. Zobaczysz, będzie dobrze.

Nie takiego pocieszenia oczekiwałam, nie takiego. Dlaczego nie powiedział: „Najwyższy czas, żebyś rozstała się z mężem i związała ze mną”?

– Nie płacz, Nat. Proszę, skarbie.

Przytulił mnie mocno, ale ja nie potrafiłam się opanować. Ta rozmowa stała się koszmarem, potwierdzeniem lęków, które upychałam w sobie tak głęboko, że prawie ich nie czułam. Adam nie był tak pewien naszej przyszłości jak ja. Udało mi się powstrzymać łzy. Dopiero teraz zauważyłam, że miał na nogach buty i włożył bluzę, którą brał na wypadek chłodnego wieczoru.

– Wychodzisz?

– Tak.

– Dokąd idziesz? – Nienawidziłam tego swojego wścibstwa. Skoro sam nie mówił, nie powinnam dociekać.

– Popstrykam trochę na zewnątrz.

– W tym świetle?

Zawahał się. Na ułamek sekundy, ale zauważyłam.

– Mam nowy obiekt, chcę wypróbować.

– Mogę...

Poczułam, jak tężeje. Nie chciał, żebym z nim szła. Strach, który rzucił się na mnie z całą siłą, zmusił mnie do ucieczki. Zdobyłam się na zdawkowe pożegnanie:

– Muszę lecieć, cześć.

– Nat, zaczekaj...

– Muszę.

– Zadzwoń.

Wybiegłam z kawalerki, pokonałam schody, dopadłam mojego czerwonego „yariska”. Kolor wydał mi się nagle niepotrzebnie

krzykliwy i drażniący. Uruchomiłam silnik, przejechałam kawałek i zatrzymałam samochód. Nie nadawałam się do jazdy. Ulice pustoszały, ludzie wracali do domów, a ja przypomniałam sobie, jak bardzo boli samotność. Ogarnęło mnie idiotyczne uczucie, że tylko ja jedna na świecie jestem nieszczęśliwa, że ja jedna się boję. Że ja jedna najprawdopodobniej stracę człowieka, który stał mi się tak bliski jak nikt inny. Nie miałam do kogo się zwrócić. Przecież nie pojedę zwierzać się Joachimowi. Pati też była nieosiągalna – umówiła się z Markiem do kina i nie chciałam zawracać jej głowy, choć pewnie odwołałaby randkę.

– Spokojnie, Nati – powiedziałam do siebie tak, jakbym słyszała głos przyjaciółki. – Najpierw zbierzmy fakty, potem panikujmy. Adam cię okłamał. Na pewno nie wychodził, żeby robić zdjęcia. Nie chciał, żebyś mu towarzyszyła, więc pewnie chciał się spotkać z kimś, kogo nie powinnaś poznać.

Nie szło mi najlepiej. Próbowałam dalej. Może z nikim się nie spotykał, tylko potrzebował odrobiny samotności? Albo – doznałam olśnienia – nie miał na myśli plenerów, tylko atelier. A tam czekała na niego ładna, naga modelka. Może chciał spróbować swoich sił w aktach i czułby się zwyczajnie skrupowany, robiąc w mojej obecności erotyczne zdjęcia jakiejś dziewczynie. Może chciał odtworzyć pozy, w których ustawiał mnie, i wstydził się z tym zdradzić. Moich zdjęć nie mógł pokazać, ale jakąś anonimową kobietę mógł zaprezentować na wystawie. Bał się mojej reakcji i dlatego nie przyznał się od razu...

Umysł zakochanej kobiety jest zdolny do najbardziej skomplikowanej ekwilibrystyki. Wymyśli zawile tłumaczenia, stworzy nieprawdopodobne wizje, żeby tylko usprawiedliwić kochanka i nie przyjąć do wiadomości najprostszycy wyjaśnień. Zawsze uważałam się za osobę twardo stąpającą po ziemi. Wielokrotnie powtarzałam: „Kiedy słyszysz tętent, najpierw pomyśl o koniach, dopiero potem o zebkach”. Teraz gotowa byłam myśleć nawet o oszalałych żyrafach, byle tylko nie dopuścić do siebie prawdy.

Na jakiś czas podziałało. Uspokoiliłam się, otrząsnęłam, zakazałam sobie rozpaczki, dopóki nie upewnię się, że jest ku niej powód. Bezpiecznie dojechałam do domu i zaparkowałam parę bloków

dalej. Szłam wolno, żeby nie chować się przed Joachimem w łazience, gdyby za chwilę zadzwonił Adam. Tego wieczoru się nie odezwał. Nie miałam pojęcia, że już niedługo rzeczywistość wedrze się do mojej iluzji z siłą młota pneumatycznego.

Niedzielę przetrwałam na autopilocie. Adam nie zadzwonił. Na szczęście nie było zaplanowanego spotkania z Drawskimi ani obiadu u rodziców. Snułam się po domu jak zombi i pewnie tak wyglądałam, bo nawet Joachim się zainteresował moim stanem.

– Czy nie sądzisz, Tusi, że powinnaś się położyć? Nie wyglądasz najlepiej.

– To chyba jakiś wirus – mruknęłam i zrejterowałam do swojego pokoju.

Próbowałam czytać. *Talizman z Nefrytu* przypomni mi rozmowy z Adamem. Odłożyłam. *Cesarzowa* przypomniła naszą pierwszą dyskusję, w której odważyłam się mieć własne zdanie i zostałam za to nagrodzona. Odłożyłam. Wzięłam do ręki jakąś biografię. Gdy się zorientowałam, że po raz czwarty zerkam na tytuł, żeby przypomnieć sobie, o której ze znanych postaci pisze autor, odłożyłam i to. Leżałam, patrząc przed siebie, i nawet roziskrzona zielenią wiosna na obrazie przestała mi się podobać. Zamknęłam oczy. Jakoś doczekałam do wieczora, wzięłam prysznic i poszłam spać. Może jutro coś się wyjaśni.

Wyjaśniło się. Wolałabym umrzeć, zamiast posiadać taką wiedzę. Za naukę trzeba płacić, prawda? Ja za moją zapłaciłam wszystkim, co miałam.

Przyjechałam do Double Book dużo przed czasem. Ostatnio często mi się to zdarzało. Wychodziłam z domu jak zwykle, żeby nie budzić podejrzeń Joachima, ale jazda samochodem na Tarchomin zajmowała mi połowę tego, co traciłam na podróż autobusem. Miałam klucze do biura, więc weszłam bez problemu. Usiadłam przed komputerem i bezmyślnie otwierałam zakładki: pogoda, wiadomości, plotki. Co mnie obchodzi trzecia ciąża jakiejś gwiazdeczki? Poderwałam się, zrzucając kubek z herbatą, gdy zadzwoniła moja komórka. Melodyjka Adama. Niechący

nacisnęłam czerwoną słuchawkę, przerywając rozmowę. Natychmiast wybrałam jego numer i... szybko pożałowałam, że to zrobiłam. Mogłabym ludzić się jeszcze przez parę minut.

– Nat, musimy porozmawiać.

Zrobiło mi się zimno. Ten poważny ton, te słowa, których nikt nie chce słyszeć. „Musimy porozmawiać”. To nigdy nie wróży niczego dobrego.

– W porządku, porozmawiajmy – rzuciłam.

– Nie przez telefon. Słuchaj, mogłabyś się zerwać dzisiaj z pracy?

– To aż takie pilne? – Nie chciałam usłyszeć odpowiedzi.

– Tak. Nie. Sam nie wiem. Myślę, że dosyć pilne.

– Adam, co się dzieje, powiedz mi.

Zdenerwowanie w moim głosie było aż nadto wyraźne. Jak zwykle czytał w moich myślach. Roześmiał się trochę na siłę, ale i tak dodał mi nieco otuchy.

– Nat, nie, to nie tak. Kocham cię, słyszysz? Kocham cię. Po prostu coś się wydarzyło, coś ważnego, i muszę to z tobą omówić.

Cholera jasna, zejdę na zawał przez tego człowieka. Kocha mnie. Można oddychać. Kocha mnie. Wydarzyło się coś ważnego. Kocha mnie. Musi to ze mną omówić. Kocha mnie.

– Będę za godzinę, tylko odmelduję się Gaździe.

Szef przychodził punktualnie – w ten sposób kontrolował rzetelność zawodową pracowników. Rozkaszlałam się i z chusteczką przy twarzy poszłam do jego gabinetu.

– Rafał – wydusiłam z siebie, a potem wydmuchałam głośno nos.

– Coś mnie dorwało. – Zakaszlałam. – Fatalnie się czuję. – Znów wytarcie nosa. – Pozarażam tu wszystkich. – Nos, kaszel, nos.

– Jazda mi stąd! – polecił, odsuwając się ode mnie. – Wróć, gdy będziesz zdrowa.

– Dzięki. – Zakaszlałam teatralnie.

– Już cię tu nie ma.

Zdażyłam jeszcze szepnąć Pati, że później jej wszystko wyjaśnię, i zbiegłam na dół. Po raz pierwszy złamałam przepisy i przekroczyłam prędkość. „Adam mnie kocha – powtarzałam sobie.

– Porozmawiamy, dojdziemy do wspólnych wniosków i będzie dobrze. Kocha mnie”.

Wpadłam do jego kawalerki.

Dziesiąty września... Druga data, którą powinnam zaznaczyć w kalendarzu.

Dwudziesty drugi lutego – dzień, w którym zaczął się przełom.

Dziesiąty września – dzień, w którym wszystko się skończyło.

– Siadaj, napijesz się czegoś? – Adam starał się stworzyć pozory normalności.

– Nie, dzięki. O cholera, rozlałam w biurze herbatę i tak zostawiłam. Spieszyłam się do ciebie i wyleciało mi z głowy, żeby zetrzeć.

Machnął ręką. To nie był problem, któremu należało teraz poświęcać uwagę. Miał rację. Były sprawy znacznie ważniejsze.

– Nat... – Ukląkł przede mną, wziął mnie za ręce i popatrzył mi w oczy. – Wiesz, jak wiele dla mnie znaczysz, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Te miesiące, które razem spędziliśmy... one... to było jak... jakby cały świat był dla mnie, jakby wszystkie dobre siły pracowały na moją korzyść.

Dziwne. Usłyszałam piękne wyznanie, ale nie podobał mi się ten wstęp.

– Jesteś niesamowita, cudowna, piękna...

Dlaczego strach znów dawał o sobie znać?

– Nat... nie wiem... nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Masz kogoś? – wystrzełam z pytaniem, zanim zastanowiłam się, czy mam odwagę usłyszeć odpowiedź.

– Co? Nie! Nat, nie! Po co? Ty jesteś jedyna. Chodzi o sprawy zawodowe. Dostałem propozycję. Co najmniej dwuletnie zlecenie, może dłużej. Nat, to dla mnie ogromna szansa...

Żadnej ulgi. Przez skórę czułam, że moje życie tańczy na linie. Adam mówił dalej. Przez szum w głowie docierały do mnie urywki zdań: zawody, życie sportowców, towarzyszenie im w treningach, fotografowanie ich wysiłku, bólu, zwycięstw i przegranych. Potem album, może cała seria. Umowa z wydawcą, pokrycie wszystkich kosztów plus pensja. Najnowocześniejszy sprzęt, kontakty.

– To spotkanie, na które szedłem w sobotę...

Kiwnęłam głową na znak, że pamiętam.

– Facet przyjechał specjalnie po to, żeby się ze mną zobaczyć. Wiesz, wybierali spośród laureatów konkursów, ja byłem drugi. Ten

wcześniej wytypowany odmówił i zwrócili się do mnie. Nat, będę mógł naprawdę się wybić, będę coś znaczył wśród prawdziwych asów światowej fotografii, rozumiesz?

Rozumiałam. Nieostrożne życie wykonało błędny krok i teraz leciało z liny na bruk Starówki. Czułam się jak za grubą szybą. Widzę wszystko, dostrzegam każdy detal: ciemnozielone oczy Adama, jasne refleksy na jego złocistobrazowych włosach, splot tkaniny na koszuli, pieprzyk w miejscu, w którym szczeka łączy się z szyją, a mimo to już nie uczestniczę w rozgrywanej przede mną scenie. Jakaś kobieta siedzi, jakiś mężczyzna klęczy. Ona patrzy prosto, ponad nim, on próbuje wyczytać coś z jej twarzy. Ja stoję obok z kamerą i kręcę film. Mężczyzna gładzi dłoń kobiety, ona się odsuwa, a po chwili zaplata obie ręce na piersiach w obronnym geście. Mężczyzna cofa się odrobinę, ale nie wstaje, kobieta nadal na niego nie patrzy. Mężczyzna chce dotknąć jej twarzy, kobieta przekreśla głowę i spogląda na fotografie na ścianie. Nie widzi, co jest na zdjęciach, nie interesują jej. Po prostu nie wie, gdzie indziej mogłaby skierować wzrok. Usta kobiety poruszają się, coś mówi. Podchodzę z kamerą bliżej i włączam dźwięk.

– Gdzie miałbyś pracować? – pyta kobieta.

– W Nowym Jorku – odpowiada mężczyzna.

– Kiedy wyjeżdżasz? – pyta kobieta.

– Trzeciego października – odpowiada mężczyzna.

– To już za trzy tygodnie – mówi kobieta.

– Tak – potwierdza mężczyzna.

– Cóż – mówi kobieta. – Teraz muszę już iść.

Podnosi się. Mężczyzna podnosi się razem z nią.

– Nat, zaczekaj – głos mu się łamie. – To nie tak miało być.

Chwyta kobietę za ręce, próbuje ją zatrzymać. Kobieta stara się wyrwać, ale nie ma siły. Nie dlatego, że mężczyzna trzyma ją tak mocno. Kobieta nie ma siły, bo nagle dochodzi do wniosku, że nie potrafi dalej żyć. Kolana się pod nią uginają, opada na krzesło. Mężczyzna znowu klęka obok niej. Włączam przycisk „backward” na obudowie kamery. Przewijam scenę do początku i puszczam od nowa. Jakaś kobieta siedzi, jakiś mężczyzna klęczy. Ona przymyka oczy, stara się uspokoić i udaje jej się to nadspodziewanie szybko.

– Jak zatem miało być? – pyta.

– Będziesz mogła do mnie przyjechać – mówi mężczyzna. – Gdy już okrzepnę, zbuduję pozycję, przyjedziesz do mnie. Będziemy razem.

Mężczyzna mówi dużo, nieco chaotycznie. Tłumaczy, dlaczego początkowo nie chciał, żeby mąż kobiety dowiedział się o romansie. Bał się, że zostanie sama – bez męża i bez kochanka. Zapewnia o swojej miłości. Opowiada, jak będą żyli, gdzie będą mieszkali. Kobieta nie słucha, więc wyłączam dźwięk. Słowa nie są potrzebne. Rejestruję na taśmie każde ujęcie pantomimy. Kobieta kręci przecząco głową, zrywa się z miejsca, odtrąca mężczyznę, biegnie do drzwi. Mężczyzna dogania ją i chce obrócić twarzą do siebie.

– Puść mnie, Adam, puść mnie! – krzyczę. – Muszę się stąd wydostać!

Próbuję oderwać jego zaplecione na moim brzuchu ręce. Muszę uciec, bo się uduszę, bo zginę tu, w tym mieszkaniu na Starówce. Czuję, że za mną wszystko płonie, a ja mam ostatnią szansę na uratowanie życia.

– Puść mnie, kurwa mać, Adam, do jasnej cholery, kurwa, kurwa, puść mnie!!!

Drapię go po rękach, zostawiam czerwone rysy na skórze.

– Puść mnie! Potem! Jutro! Później! Porozmawiamy! Teraz mnie wypuść!

Puszczam mnie w końcu, wybiegam na schody, potykam się i prawie lecę w dół. W ostatniej chwili chwytam się poręczy.

– Nat! – krzyczy za mną Adam.

Nie chcę słyszeć jego głosu, nie chcę widzieć jego twarzy, nie chcę jego rąk na moim ciele. Nie chcę tu być. Zatrzymuję się na parterze. Dzwonię do Pati.

– Potrzebuję cię, teraz, musisz mnie stąd zabrać – błagam.

– Gdzie jesteś? – pyta od razu.

Podaję adres.

Stałam na chodniku i rozglądałam się za rudą, wystrzępioną fryzurą Patrycji. Nareszcie wysiadła z taksówki.

– Nati, co się dzieje? Wypadłaś z pracy, jakby cię kto gonił, myślałam, że miałaś wypadek po drodze. Jeju, ale mnie wystraszyłaś. – Przycisnęła dłoń do piersi, próbując się opanować.



– Wolałabym wypadek – powiedziałam i zdziwiłam się, że mój głos brzmi w miarę normalnie. Cóż, stare nawyki są najwyraźniej trudniejsze do wyplenienia, niż mi się wydawało. Całe życie uczona blokowania emocji, teraz robiłam to odruchowo.

– Nati? – Patrycja spojrzała na mnie naprawdę zaniepokojona.

– Nie jestem już z Adamem. – Znów ten nienaturalny spokój. A przecież jeszcze przed chwilą szalałam.

– Słucham? Wygłupiasz się, tak? Odpierdzieliło ci całkiem i pomyślałaś, że zrobisz mi kawał?

– Pati, jak długo się znamy?

– Noo... jakieś dwadzieścia lat już będzie.

– A ile razy wygłupiałam się w ten sposób?

Mówiłam rzeczowo, chłodno, jakbym wyjaśniała tłumaczowi, dlaczego „napęd długopisowy” nie jest dobrym tłumaczeniem dla słowa „pendrive”.

Pati zakryła twarz dłońmi. Spojrzała na mnie przez rozczapierzone palce, do ostatniej chwili spodziewając się, że wybuchnę śmiechem i przyznam, że mi odpierdzieliło.

Milczałam.

– Dobrze – powiedziała. – Możesz prowadzić?

– Mogę.

Spojrzałam na swoje ręce. Trzęsły się jak w zaawansowanym parkinsonie.

– Nie mogę.

– Daj mi kluczyki.

Upuściłam torebkę. Pati podniosła ją i pogmerła chwilę w środku. Chwyciła mnie za ramię, zaprowadziła do „yariska”. Wepchnąwszy mnie na siedzenie pasażera, zapięła pas i ruszyła.

– Dobrze, że zawsze noszę przy sobie prawko – mruknęła. – Teraz wreszcie się przyda.

Zatrzymałyśmy się przed jej blokiem. Otworzyła drzwi, wyciągnęła na zewnątrz moje bezwolne ciało i trzymając za ramię, wprowadziła mnie na schody, a potem do swojej kliteczki. Pchnęła mnie na wersalkę, zniknęła na chwilę w kuchni, a potem wetknęła mi do ręki szklanekę z wodą.

– Wypij.

– Wszystko? – Byłam kompletnie otepiała.

– Tak.

Wypiłam jak lekarstwo, kilkoma potężnymi haustami. Usiadła obok.

– Mów.

– Trzeciego października Adam wyjeżdża do Nowego Jorku. Na dwa lata albo dłużej, ale myślę, że zostanie już na stałe. Tam czeka go kariera, jego nazwisko znajdzie się wśród asów światowej fotografii. Chce, żebym za jakiś czas do niego przyjechała, ale odmówiłam.

Wyrecytowałam na jednym oddechu, tonem kompletnie wyzutym z emocji, jakbym miała przed sobą niezbyt interesujący fragment książki, którą czytałam głośno tyle razy, że kolejny zwyczajnie odbębniam. Moja przyjaciółka nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jak możesz tak spokojnie o tym mówić? Jasny szlag, gdyby ten cały Gryniewicz był tu teraz, wepchnęłabym mu w tyłek wszystkie jego obiektywy. Co on sobie wyobraża? Bawił się tobą czy jak?

– Nie, chyba się nie bawił. Ta oferta pojawiła się nagle, w sobotę.

– Wiesz od trzech dni?!

– W sobotę tylko podejrzewałam, że coś jest nie tak.

Opowiedziałam Patrycji o tamtych wydarzeniach, starając się, by relacja dokładnie oddała wszystkie niuanse mojej rozmowy z Adamem.

– I nie zadzwoniłaś do mnie?

– Byłaś w kinie z Markiem. Nie chciałam zawracać ci głowy.

– Naprawdę cię pogięło. Dlaczego nie dzwoniłaś?

Zastanowiłam się.

„Chyba dlatego, że poradziłam sobie sama, Pati. Chyba dlatego, że jestem już na tyle silna, by nie potrzebować podpory, gdy tylko odrobinę się zachwieję. Właściwie – teraz też sobie poradzę. Wezwałam cię na pomoc raczej z nawyku niż z rzeczywistej potrzeby...”.

– Pojadę już – powiedziałam, wstając. – Dzięki.

Byłam jej wdzięczna za krótką obecność, za to, że nie miała do mnie pretensji o nagły alarm, o wyrwanie z biura i kręcenie przed Gazdą, dlaczego musi wyjść z pracy w środku dnia. A najbardziej za to, że Pati nie wiedziała *lepiej ode mnie*. Nie namawiała mnie, żebym została, nie kazała znowu pić wody, nie tłumaczyła, że w takim

stanie nie powinnam prowadzić. Podeszła tylko ze mną do drzwi i poprosiła:

– Daj znać, że dojechałaś bezpiecznie.

– Kocham cię, Pati, wiesz?

– Wiem. Też cię kocham. Zobaczysz, damy radę wszystkim Adamom świata.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Był tylko jeden Adam – odparłam. – Ale masz rację, damy radę.

Wróciłam do domu, wysłałam wiadomość do Pati i wyłączyłam komórkę. Jeśli ktoś będzie musiał się ze mną skontaktować, zadzwoni na stacjonarny. Telefonów od Adama nie chciałam odbierać. Gdyby próbował mi coś tłumaczyć, przekonywać, świadomość tego, co się stało, dotarłaby do mnie jeszcze mocniej niż do tej pory. A tak silna jeszcze nie byłam. Następnego dnia kupiłam nowy telefon z nowym numerem. Poinformowałam wszystkich, że stary zgubiłam, i udawałam głupią, mówiąc, że nie wiedziałam o możliwości przeniesienia numeru. Gdy będę gotowa na rozmowę z Adamem, „odnajdę” starą komórkę. Na razie schowam się pod kloszem i poczekam.

Zbliżało się wesele Moniki. Oczywiście zaprosiła mnie na wieczór panieński.

– Czy nie uważasz, Tusi, że to nie jest odpowiednia rozrywka? Co ona w ogóle zaplanowała? – zapytał mnie mąż, gdy powiedziałam mu, że chcę pójść.

„Trzech striptizerów i dziką orgię, gdy już się przed nami rozbiorą – pomyślałam. – Kontener wódki i szalone, nagie tańce pod gwiazdami”.

– Najpierw będziemy się bawić w domu Moniki, zjemy coś, pogadamy, a potem pojedziemy do klubu – powiedziałam, rezygnując z roztoczenia przed Joachimem wizji wysmarowanych oliwką umięśnionych ciał.

– Dlaczego właściwie cię zaprosiła? Nie rozumiem.

„No, może dlatego, że mnie lubi i chciała, żebym cieszyła się razem z nią? Przyszło ci do głowy takie wyjaśnienie?”.

Joachim dociekał dalej:

– Kto to finansuje? Całą tę zabawę, jedzenie...?

- Same finansujemy. Składamy się po sto złotych.
- Ach, oczywiście – kolejna szufladka trafiła na swoje miejsce. – Im więcej osób, tym mniejszy koszt na jednostkę.

„Dziękuję ci, drogi mężu, za twoją wiarę we mnie. Pieniądze z pewnością były jedynym powodem, dla którego zostałam zaproszona”.

Poszłam, ale nie bawiłam się najlepiej. Towarzystwo rozwrzeszczanych idiotek męczyło mnie i doszłam do wniosku, że nie ma nic bardziej denerwującego niż pijane baby. Striptizer rzeczywiście się pojawił. Jeden. Rozebrał się do seksownych stringów. Całe ciało miał starannie wydepilowane i wysmarowane kremem dla dzieci. Był zgrabny i dosyć przystojny. Przywodził mi na myśl słodkiego, żelowego misia: taki gładziutki, błyszczący, gumowy i absolutnie niemęski. Nie udało mi się powstrzymać przed porównywaniem go z Adamem. Czułam tępy ból w piersiach. W aptekach są teraz lekarstwa na wszystko: na pryszcze, na kurzajki, na chore stawy, na suchą skórę. Czy nie ma jakiejś maści na posiniaczone uczucia?

W klubie było nieco lepiej. Potańczyłam do jednostajnego łomotu muzyki, który zagłuszył moje myśli i pozwolił oderwać się od rzeczywistości choćby tylko na parę godzin. Unikałam patrzenia na przytulające się pary, śmiałam się z dwóch koleżanek Moniki, które po alkoholu zmieniły orientację seksualną i kleiły się do siebie w zgoła niedwuznaczny sposób. „Nie widziałam cię już od miesiąca. I nic...” – powtórzyłam w myślach za Pawlikowską-Jasnorzewską. Nie minął jeszcze miesiąc, lecz zaledwie tydzień, ale ja i tak miałam poczucie, że romans z Adamem skończyłam wraz z poprzednim życiem.

Od czasu do czasu kusiło mnie, żeby włączyć stary telefon i sprawdzić wiadomości. Potem doszłam do wniosku, że gdyby Adam naprawdę chciał się ze mną skontaktować, zadzwoniłby lub przyszedł do biura. Niczego takiego nie zrobił. Im szybciej pojmę, że to naprawdę koniec, tym szybciej zacznę dochodzić do siebie. Gdzieś czytałam, że pierwszym etapem żałoby jest uświadomienie sobie straty. Uświadomiłam ją sobie, stojąc na środku parkietu wśród walącego z głośników techno. Straciłam Adama.

– Monika – powiedziałam, podchodząc do przyszłej panny młodej.  
– Dzięki, było fantastycznie.

– Już idziesz? Przecież jest dopiero pierwsza.

– Miałam męczący dzień, padam z nóg.

Uspokoiliam się w samochodzie. Nie tknęłam alkoholu, więc mogłam prowadzić. Pozwoliłam sobie na krótki, suchy płacz zaraz po wyjściu z klubu. Teraz łzy nie przesłaniały mi widoku na drogę. Do trzeciej jeździłam po mieście. Nie wiedziałam nawet, gdzie jestem, i dopiero patrol policji wytrącił mnie z odrętwienia, gdy po raz czwarty okrążyłam rondo.

– Proszę prawo jazdy i dokumenty wozu.

Podaliśmy. Policjant spojrzał na moją imprezową sukienkę.

– Spożywała pani alkohol?

– Nie spożywałam.

– Proszę wysiąść.

Wysiadłam.

– Proszę tu dmuchnąć.

Dmuchałam.

– Nie spożywała pani.

Zajrzał do moich dokumentów, zerknął na datę wystawienia prawa jazdy i się uśmiechnął.

– Kierowca od miesiąca, he? Dobrze, proszę ćwiczyć dalej. Byłoby mniej wypadków, gdyby wszyscy mieli takie podejście.

Dla jego przyjemności wykonałam jeszcze dwa okrążenia i wróciłam do domu.

Monika wyraziła się jasno: nie chce prezentów, woli kopertę. Podobało mi się to podejście. Po co kupować komuś piętnaste żelazko? Lepiej dać pieniądze, które państwo młodzi wydadzą, jak będą chcieli. Nie mówiąc o tym, że zupełnie nie miałam głowy do roztrząsania, co kupić. Joachim trochę narzekał na te „nowoczesne wymysły”, ale gdy przypomniałam mu o naszych czterech mikserach, trzech elektrycznych czajnikach i czterech kompletach sztucców, niechętnie przyznał mi rację. Uparł się przy kwiatkach, choć Monika prosiła o wpłacenie pieniędzy na schronisko dla psów. Wobec tego wpłaciłam sama. Poszliśmy.

Podobno zaproszone kobiety nie powinny wyglądać ładniej niż panna młoda. Udało mi się wyśmienicie. Nie umalowałam się, bo na weselu miał być ojciec, nie włożyłam wydekoltowanej sukienki dokładnie z tego samego powodu. Miałam na sobie srebrnopopielatą princeskę z dość dużym wycięciem i jedwabną, białą bluzkę pod spodem. Naturalnie, zapinaną pod samą szyję. Włosy spięłam w kok odrobinę tylko ładniejszy niż ten, który robiłam na co dzień. Jediną moją ozdobą był pierścionek zaręczynowy, który już dawno przestał mi się podobać.

Ojciec starannie obejrzał najpierw mnie, a potem wszystkie kobiety. Pokazał mi kilka z nich.

– Spójrz, Tusi, one potrafiły się ubrać. Czy ty myślisz, że na wesele wypada przyjść ubraną w ten sposób? – Machnął ręką, określając moją sylwetkę.

Zaciekawiło mnie, że zwrócił uwagę na panie, których stroje były co najmniej nieskromne. Długie, obcisłe suknie z rozporkami do pół uda lub przeciwnie: króciutkie, przylegające do ciała minisukienki z głębokimi dekolami.

– Teraz już tego nie zmienisz, dziecko – westchnął.

„W takim razie po co w ogóle mi o tym mówisz?” – pomyślałam.

– Tak, tato – powiedziałam głośno i pod byle pretekstem poszłam do łazienki.

W maleńkiej torebeczce upchnęłam kosmetyki, których miałam zamiar użyć, gdy tylko ojciec pójdzie do domu. Teraz zmieniłam zdanie. Nachylając się do lustra, nałożyłam makijaż. Zdjęłam bluzkę i wcisnęłam ją za pojemnik z papierowymi ręcznikami. Rozpuściłam włosy – opadły prawie do połowy pleców, znakomicie podkreślając srebrzysty odcień sukni. Princeska nagle nabrała zupełnie innego charakteru, stała się wyrafinowanie seksowna. Przestała mnie obchodzić opinia rodziców. I tak będzie źle, cokolwiek bym ze sobą zrobiła. Równie dobrze mogę świadomie zasłużyć na dezaprobatę. Żałowałam, że nie wzięłam kolczyków.

Towarzystwo bawiło się na parkiecie, Joachim gdzieś zniknął, rodzice uciekli po odfajkowaniu grzecznościowej godziny. Udało mi się uniknąć ojca, więc nie usłyszałam żadnej uwagi na temat nieoczekiwanej metamorfozy myszowatej Tusi. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać i nawet perspektywa konwersacji po włosku

mnie nie nęciła. Łudziłam się, że na weselu zapomnę o Adamie, ale patrząc na szczęśliwą Monikę, tym boleśniej odczuwałam własną samotność. Siedziałam przy stoliku i przyglądałam się tańczącym. Zaproszeni Włosi początkowo izolowali się od Polaków, preferując własne grono. Wódka ma jednak niezwykłą moc łączenia ludzi i znoszenia barier językowych. Nagle okazało się, że Polacy nieznający słowa po włosku są w stanie doskonale dogadać się z Włochami niemówiącymi po polsku. Zresztą, czy trzeba wielu słów, żeby zapytać: „Pijesz?” i odpowiedzieć: „Pewnie!”? Do śpiewania sprośnych piosenek znajomość języków także nie jest potrzebna. Polacy śpiewali swoje, Włosi swoje, wyrzaskiwane chórki przeplatały się różnymi melodiami, wszyscy byli zadowoleni.

– Dlaczego pani nie tańczy? – Szpakowaty mężczyzna na leciutkim rauszu przysiadł się do mojego stolika. – Taka piękna kobieta, a siedzi smutna.

– Nie jestem smutna. – To było kłamstwo, ale nie zamierzałam zwierzać się obcemu człowiekowi. – Lubię przyglądać się ludziom.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że zagadał po włosku, a ja, nie zastanawiając się, odpowiedziałam w tym samym języku.

– O, Włoszka – ucieszył się. – Z której części Włoch pani pochodzi? Nie podejdzie pani do rodaków?

Roześmiałam się.

– Jestem Polką, daleką kuzynką panny młodej.

– A, już rozumiem. – Włoch pokiwał głową. – Wróciła pani z placówki. Dawno pani przyjechała? Gdzie pani pracowała? Rzym, Mediolan? Akcent wskazywałby na stolicę. Długo mieszkała pani we Włoszech? Jak się podobało?

Potrząsnęłam głową, próbując nie zgubić wątku w pytaniach, którymi mnie zasypał. Nie pamiętałam już, że Włosi to takie gaduły. Ten dodatkowo był bardzo sympatyczny. Patrzył na mnie z ciepłym uśmiechem, jego prawie czarne oczy iskrzyły zainteresowaniem i życzliwością. Niewysoki, nieco krępy, sprawiał wrażenie naprawdę miłego człowieka.

– Ostatni raz byłam we Włoszech w czasie studiów – powiedziałam.

– O, to zupełnie niedawno.

Ile komplementów w ciągu jednej krótkiej rozmowy!  
Uśmiechnęłam się.

– Ponad dziesięć lat temu.

– Niemożliwe! – wykrzyknął. – Niemożliwe!

– A jednak. Byłam wtedy z ojcem na tygodniowej wycieczce. Piękny kraj! – Ja także chciałam być miła, zresztą Rzym rzeczywiście bardzo mi się podobał. – Chętnie pojechałabym jeszcze raz, ale jakoś nie było okazji.

– To gdzie się pani nauczyła tak mówić?

– Z podręcznika i kaset.

– Niemożliwe! – Włoch wyrzucił ręce do góry i roześmiał się głośno – Niemożliwe! Och, a ja się nawet nie przedstawiłem, taki jestem niewychowany. Mamusia, świętej pamięci (niech jej ziemia lekką będzie, a robaki nie dokuczają), byłaby ze mnie bardzo niezadowolona. Renato Matranga.

– Bardzo mi miło. Natalia Rostowska. – Podałam mu dłoń, którą Włoch ujął w obie ręce i serdecznie ucałował.

– Zatańczymy, Natalio?

Poszłam z nim na parkiet, nie myśląc nawet, czy spodobałoby się to Joachimowi. Zresztą, zostawił mnie samą, bo dorwał jakichś prawników, z którymi koniecznie musiał porozmawiać. Renato tańczył, mając w pogardzie rytm i melodię, jednak z takim wdziękiem, że wreszcie zaczęłam się dobrze bawić na tym weselu. Po kilku kawałkach wróciliśmy do stolika, a pan Matranga mocno się nad czymś zamyślił. Patrzył przed siebie, poruszał ustami, a jego kciuki kręciły młynka.

– Natalio – odezwał się w końcu. – Czy mówi pani także po angielsku? Nie musi być tak dobrze jak po włosku, tylko żeby się dogadać.

– Mówię biegle – odparłam.

Oczy mu rozbłysły.

– *Mamma mia, Mamma mia*, spełnienie marzeń i koniec poszukiwań. *Cara Natalia*, Bóg mi panią zesłał, a los przyprowadził tutaj nas oboje. Co jeszcze pani umie?

Patrzyłam zdumiona. Czyżbym nie potrafiła odróżnić lekkiego rauszu od kompletnego upojenia alkoholowego?

– Haftować – odpowiedziałam bezmyślnie.



– To pięknie, ale ja nie o tym. – Renato Matranga aż podskakiwał na krześle, a ja się zastanawiałam, czy nie palił czegoś podejrzanego. – Tłumaczyła pani kiedyś?

– Pracuję w wydawnictwie, czasem poprawiam tłumaczenia, sprawdzam z angielskim oryginałem, zdarza mi się pisać za autorów całe akapity.

– A na żywo pani tłumaczyła?

– Tylko w liceum. Ale to była delegacja rosyjska i nasz dyrektor chciał się popisać uzdolnioną uczennicą. Uczestniczyłam w oprowadzaniu ich po szkole, poszłam na pokazową lekcję i tłumaczyłam Rosjanom do ucha.

Renato wyglądał tak, jakby miał zamiar się rozplakać. Oczy lśniły mu jak dwa diamenty. Patrzył na mnie, jakbym właśnie udowodniła, że jestem wcieleniem jego własnej matki.

– I jeszcze rosyjski... – wyszeptał z nabożnym wręcz uwielbieniem. – Natalio, kochana moja Natalio. Pani musi, po prostu pani musi. W grę wchodzi życie moich dzieci. – Otworzył portfel i pokazał mi stare zdjęcia uroczo rozczochranych bliźniaków. – Widzi pani, jakie śliczne? Kocham je ponad wszystko, bardziej nawet niż letnie słońce we Włoszech. Ale samą miłością człowiek nie wyżyje, prawda? Małeństwa muszą jeść.

– Ma pan pięcioletnich synów?

– No, niezupełnie. – Pan Matranga nieco się stropił. – Właściwie teraz już studiują, ale to jeszcze gorsze. Czy pani wie, ile kosztują studia w Mediolanie? I kto ma na to wszystko zarobić? Żona? Żona, pani Natalio, jest od tego, żeby była szczęśliwa. Ja jestem od tego, żeby jej to szczęście zapewnić. I to jest zadanie dla pani, piękna Natalio.

– Myśli pan, że będę potrafiła uszczęśliwić pańską żonę?

Roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

– Jest pani urocza. Nie, ja zadbam o żonę, a pani zadba, żeby moja firma dobrze prosperowała.

– Chyba nie nadażam.

– Już mówię. Ech, te niecierpliwie kobiety. Już mówię. Mam firmę. W Gdańsku. Import włoskiego obuwia. Piękne, słowo daję. Modne, wygodne, skóra, tekstylne, od najlepszych producentów. Cuda prawdziwe. Ale kupić to kupić. Każdy potrafi. Sprzedać, pani

Natalio, to jest sztuka. A dogadać się z polskimi odbiorcami, to już są dwie sztuki. A kiedy człowiek chce wejść na rynki i wschodnie, i zachodnie, to już jest prawdziwy dramat, komedia i tragedia. Ja potrzebuję tłumacza! – zawołał, jakby domagał się lekarza, już teraz, w tej sekundzie, bo za chwilę będzie za późno. – Czy pani rozumie, Natalio? Ja potrzebuję tłumacza!!! – Renato Matranga poderwał się z miejsca, stanął tyłem do sali i rozpoczął odgrywanie scenki rodzajowej: – Jadę na to wesele dzisiaj i myślę sobie: „Jak to miło, że cię zaproszono, Renato. Jak to miło, że ktoś pamiętał. Siedzisz sobie samiutki w Gdańsku, rozmawiasz z żoną przez telefon i planujesz, jak ją ściągnąć do Polski, a tu: puk, puk – Renato zastukał zgiętym palcem w powietrze – listonosz”. Otwieram, biorę list, rozrywam kopertę – zademonstrował rozrywanie, posługując się serwetką – i czytam: „Przyjedź, kochany Renato, znajomy bierze ślub, pozwolił mi cię zaprosić, bo wiem, że przykro ci samemu w tym Gdańsku, dla którego porzuciłeś piękną, słoneczną Italię”. Myślę sobie – Renato podparł brodę ręką i zmarszczył czoło, pokazując, jak myślał – myślę sobie: „To wszystko pięknie i cudownie, ale ja potrzebuję tłumacza!”. Tak sobie pomyślałem, pani Natalio, że potrzebuję tłumacza. I mówię do siebie – stanął obok i patrząc na puste miejsce, które zajmował przed chwilą, zaczął: – „Drogi Renato, jedź na to wesele. Słuchaj swoich dobrych przeczuć, gdy szepczą do ciebie cichutko”. – Renato zaczął szeptać, pochylając się do przodu. – „Jedź, Renato, na wesele, a zobaczysz, że coś dobrego z tego będzie”. No i proszę. – Renato stanął przodem do mnie i rozłożył ramiona. – I proszę. Jest z tego pani, Natalio. Spełnienie marzeń, ratunek dla firmy, jedzenie dla biednych dzieci jeszcze biedniejszego Renata Matrangi.

Patrzyłam na niego tak kompletnie skołowana, że zaczęłam się obawiać, czy nie przeceniłam swojej znajomości włoskiego. Nic nie rozumiałam. Renato usiadł z powrotem i wpatrywał się we mnie wzrokiem głodnego spaniela.

– Panie Matranga – zaczęłam, ale zaraz mi przerwał:

– Renato, bardzo proszę.

– Renato... – urwałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Najwyraźniej nie znosił milczenia.

– Natalio, pracuj dla mnie, błagam. Gdańsk to takie piękne miasto, taki zdrowy klimat, i na cerę, i na oddychanie.

– Ale ja przecież mieszkam tutaj.

– A czy to problem? Tu, w Gdańsku, w Krakowie, wszystko jedno.

– No, niezupełnie.

– Wynajmę ci mieszkanie, firma zapłaci, wszystko załatwię, ty tylko przyjeźdź i pracuj. I pracuj. Jakiś uparty kontrahent zobaczy cię, porozmawia, padnie na kolana i od razu kupi ode mnie buty. Ja wiem, że źle zrobiłem. Mamusia powtarzała: „Ucz się, Renato, języków, bo na samym włoskim daleko nie zajedziesz”. Wtedy wolałem piłkę. Mamusia płakała, świece paliła przed obrazem, ale na mój upór ani świece, ani obrazy nie pomagały. Mamusia ręce załamywała, a ja nic. Tatuś czasem w pupę przyłożył, a ja nic. To teraz mam. Tylko po włosku, a Polacy, przemili ludzie, ale po włosku ani słowa. Zatrudniałem od czasu do czasu jakiegoś tłumacza, ale stawki mieli wysokie, umiejętności takie sobie, a o butach nic nie wiedzieli. Ja mówię: „Skóra cielęca, perforacja na brzegach, klej”. A ten tłumaczy jakoś tak, że potencjalny kupiec patrzy na mnie, jakbym chciał mu córkę porwać.

– Ale ja też nic nie wiem o butach – powiedziałam, pomijając na razie fakt, że nie miałam zamiaru się przeprowadzać.

– Nie szkodzi. Nauczysz się. Właśnie po to mi tłumacz na stałe. Niech pozna firmę, niech nauczy się o butach. A i klienci lepiej się czują, gdy przyjeżdża ta sama osoba, a nie za każdym razem ktoś inny.

– Ale...

Nie dał mi dojść do słowa:

– Natalio, bądź litościwa. Ratuj włoskie buty w Polsce, ratuj młodych pracowników, którzy, kto wie, co zrobią, gdy stracą zarobki, bo firma padnie. Natalio! – Chwycił mnie za ręce. – Ratuj włoską medycynę! Ratuj zdrowie niewinnych ludzi! Może nawet dzieci!

Teraz kompletnie się pogubiłam. Co ma do tego zdrowie włoskich dzieci?

– Moi synkowie studiuja medycynę. Nie ma firmy, nie ma pieniędzy. Nie ma pieniędzy, nie ma studiów. Nie ma studiów, nie

ma dwóch wspaniałych lekarzy. Nie ma dwóch wspaniałych lekarzy, ludzie umierają. Bardzo proste.

Faktycznie, gdy tak to przedstawić, to bardzo proste. Powinnam jechać do Gdańska i podjąć pracę dla Renata, żeby ratować zdrowie ludzi w Mediolanie.

Chciałam od razu odmówić. Pomysł był niedorzeczny. Joachim nigdy się nie zgodzi na przeprowadzkę do Gdańska. Byłabym tam zupełnie sama, odcięta od rodziny, bo znając ojca, wyrzekłby się mnie, gdybym porzuciła męża. Nigdy nie pracowałam jako tłumacz symultaniczny, nigdy nie byłam sekretarką, a pewnie i to należałoby do moich obowiązków. Bez sensu. Karkołomne przedsięwzięcie skazane z góry na porażkę. Renato jest przeuroczym, ale też odrobinę szalonym człowiekiem. Kto wie, czy, koniec końców, nie okaże się gorszy niż Gazda, którego już „oswoiłam”. Poza tym jedynym szaleństwem Gazdy była miłość najpierw do palmy, teraz do juki. Włoch sprawiał wrażenie szalonego na każdym polu. Ten jego entuzjazm, ta żywiołowość, tempo, w jakim wyrzucał z siebie słowa, to wszystko zaczynało mnie przytłaczać. Powinnam była od razu powiedzieć, że nie jestem zainteresowana. Dlaczego więc poprosiłam o czas do namysłu? Dlaczego wzięłam od niego numer telefonu i dałam swój? Wtedy tłumaczyłam sobie, że nie chcę mu psuć nastroju na weselu. Ot, taka drobna uprzejmość z mojej strony: nie gasić w zarodku nadziei sympatycznego Włocha, który przyjechał z Gdańska do Warszawy, żeby pobawić się w gronie rodaków.

W polu mojego widzenia pojawił się Joachim. Skinął na mnie ręką. Renato spojrzał w jego stronę.

– Ojciec?

– Mąż.

Zawstydził się odrobinę i kulturalnie zrzucił winę na słabe światło.

– Kim jest z zawodu?

– Radcą prawnym.

– Cudownie! – Włoch znów się podekscytował. – Radca prawny wszędzie znajdzie pracę. Otworzy kancelarię w Gdańsku i będzie oddychał morskim powietrzem.

Kilkakrotnie odetchnął głęboko, wciągając powietrze nosem i wypuszczając ustami. O, tak Joachim będzie oddychał. Bardzo zdrowo.

Ech, żeby to było takie proste... Pożegnałam nakręconego jak pozytywka Włocha i podeszłam do męża. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

– Ojciec cię widział w tym przebraniu?

– Nie.

Odetchnął z ulgą.

– Mam nadzieję, Tusi, że nie nudziłaś się za bardzo. – Podał mi ramię. – Wybacz, proszę. Musiałem z kimś porozmawiać.

Opowiedział pokrótce, dlaczego ta rozmowa była tak ważna, że usprawiedliwiała porzucenie żony na całą noc. W moim odczuciu nie było to nic, czego nie można by załatwić w poniedziałek, ale nie odezwałam się. Cały czas myślałam o rozmowie z Renatem. Ojciec swego czasu zarzucił mi egoizm. Z pewnością poświęcenie się dla ratowania włoskiej medycyny nie było egoistyczne. Zresztą, o czym ja myślę? Matranga był podпиты, może bardziej, niż dało się zauważyć na pierwszy rzut oka. Paplał, żeby paplać, i na pewno nie proponował mi pracy na serio.

W poniedziałek odebrałam telefon.

– Natalia? Dzień dobry, pamiętasz mnie? Renato Matranga.

– Pamiętam, dzień dobry.

Jaki uprzejmy, chce na trzeźwo przeprosić za pijackie wariactwa.

– Posłuchaj, przemyślałem wszystko, naszą rozmowę na weselu...

– teraz mówił zupełnie inaczej niż wtedy. Był spokojny, wyrażał się jasno i dość wolno jak na Włocha. – I doszedłem do wniosku, że mogłaś mnie źle zrozumieć.

– Nie, Renato, dobrze rozumiałam. – Uśmiechnęłam się.

Nie będę odsądzać od czci i wiary sympatycznego człowieka, który po kilku wódkach nieco się zapomniał. Przecież i tak nie traktowałam jego propozycji poważnie.

– Och, to wspaniale. Wiesz, ja nawet po odrobinie alkoholu nie mogę przestać nadawać. – Roześmiał się. – Gadam i gadam, aż mój rozmówca zupełnie traci wątek. Umysł mam absolutnie trzeźwy, tylko język pijany.

– W porządku, Renato. Nie mam ani kawałka pretensji.

Naprawdę nie musiał mi się tłumaczyć. I tak więcej go nie zobaczę.

– Fantastycznie. Wiesz, nie chciałem, żebyś pomyślała, że będziesz pracować dla jakiegoś wariata. Podchodzę do biznesu bardzo poważnie i potrafię się zachować.

– Słucham?

Przecież miał mi powiedzieć, że jego oferta jest z oczywistych względów nieaktualna.

– Coś przerywa, tak? Podchodzę do pracy poważnie i umiem się zachować. Nie będziesz pracowała dla szaleńca. – Renato powtórzył wszystko wolniej i głośniej.

– To ty chcesz mnie zatrudnić?

– Oczywiście, przecież cały czas o tym mówię.

– Myślałam, że przepraszasz mnie za składanie obietnic bez pokrycia.

– No wiesz? Tak to nigdy się nie upiłem. Przez całe życie, nigdy. No dobrze, raz jeden jedyny koleczy przyprawdzili mnie do domu. Młody byłem, a głupi tak, że głowa boli. Mamusia od razu wzięła się do mnie: „Śmierdzisz, Renato – powiedziała – więc będziesz spał na podwórzu”. I spałem. Od tamtego czasu dwie, trzy wódki to mój limit. A z tą pracą mówię jak najbardziej poważnie, Natalia. Przemyśl to, proszę. Ja rozumiem, że to niełatwa decyzja, z mężem musisz uzgodnić. Ale przemyśl moją propozycję.

– Renato, ja...

– Nie, nie, nie. Nie odpowiadaj mi teraz. Przemyśl. I zadzwoń, gdy coś postanowisz.

– Ile mam czasu? – zapytałam, nagle gotowa spełnić jego prośbę i chłodno rozważyć wszystkie za i przeciw. Był tak miły i tak zaraźliwie optymistyczny, że chciałam się odwdzińczyć tym samym. Mogę pomyśleć, cyrografu przecież nie podpisuję.

– Miesiąc, maksymalnie dwa przetrwam z tymczasowymi tłumaczami. Potem będę szukał dalej. Wystarczy ci do namysłu?

– Dobrze. Odezwę się.

Na piątkowy wieczór wprosiłam się do Pati. Musiałam komuś się zwierzyć, wyznać, jak bardzo tęsknię za Adamem. Stara komórka

nadal była wyłączona i bałam się ją uruchomić. Nie chciałam, żeby Adam przekonywał mnie o wyjeździe do Stanów, nie chciałam przekonywać go, żeby został. Do tego nie miałam prawa.

Siedziałyśmy na przykrytej narzutą wersalce. Patrycja piła wino, ja nalałam do kieliszka trochę soku grejpfrutowego. Odkąd jeździłam moim „yariskiem”, nie lubiłam alkoholu.

– A właściwie co masz przeciwko pojechaniu za Adamem do Stanów? – zapytała Pati. – Kochasz go, angielski znasz, dałabyś sobie radę.

– Język znam, ale kraju już nie – odparłam. – Byłabym tam strasznie samotna. Daleko od rodziny, daleko od ciebie, od znajomych. Nie znam obyczajów, mentalności.

– Wymyślasz. Przecież to tacy sami ludzie jak my.

– Zdaje ci się, Pati. Co innego pojechać na wycieczkę, co innego tam żyć. A za nic na świecie nie chcę zamienić jednego Joachima na drugiego.

– Adam nie jest taki.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale byłabym całkowicie od niego zależna. Jego mieszkanie, jego pieniądze, jego praca. A ja co? Siedzę w domu i gotuję obiady? Jak myślisz, długo by to znosił? Ile czasu chciałby mnie utrzymywać? Wypomniałby mi to przy pierwszej kłótni.

– Nie sędzę.

– Pewnie nigdy nie powiedziałyby mi wprost, ale przecież bym wyczuła, że moja obecność mu ciąży. Poza tym nie mam pojęcia, kiedy Adam uzna, iż na tyle osiadł w Ameryce, że już mógłby mnie ściągnąć do siebie. A jeśli, dajmy na to, po pół roku zdecyduje, że w ogóle mnie tam nie chce? A ja w tym czasie przygotuję się do wyjazdu, odejdę z pracy i co? Zostanę na lodzie.

– No to jak? Koniec? Tak po prostu?

Kiwnęłam głową i pozwoliłam spływać łzom. Tak po prostu koniec. Zapewne należało się tego spodziewać. Przypomniałam sobie naszą pierwszą rozmowę o Adamie. Mówiłam, że jest młody, życie i kariera przed nim. Miałam rację. Ja mam swoje obciążenia i to nie Adam będzie je za mnie dźwigał.

Wstałam, podeszłam do okna. Niebo powoli ogarniał wieczór. Taki sam jak wszystkie inne wieczory. Szaroróżowy kolor

opuszczonej kobiety. Patrzyłam na czubki drzew pomazane czerwienią zachodzącego słońca, na zmieniające barwę bloki, na z wolna podchodzącą do mnie ciemność. Tak jak zawsze o tej porze dnia, o tej porze roku. A jednak było w tym coś innego. Te same znajome kształty i kolory, ale wszystko jakby... bardziej. Intensywniej. Odwróciłam się do przyjaciółki.

– Pati, chcę się rozwieść.

Zaskoczyłam samą siebie. Dotychczas nie rozważałam podobnej możliwości, w każdym razie nie aż tak konkretnie. Przymknęłam na moment oczy, żeby w myślach jeszcze raz usłyszeć to, co właśnie powiedziałam. Tak. Brzmi dobrze. Harmonijny akord uczuć i słów. Chcę się rozwieść.

– Z Joachimem? – zapytała.

– Nie mam innego męża.

Głośno przełknęła łyk wina. Patrzyła na mnie, jakby zastanawiała się, czy już ma wzywać pogotowie, czy najpierw powinna mnie spacyfikować.

– Cóż, to chyba trochę głupie, co powiedziałaś.

– Dlaczego głupie? Jestem nieszczęśliwa, chcę to zmienić.

– Jesteś nieszczęśliwa, bo rozstałaś się z Adamem – tłumaczyła mi jak dziecku, które nie potrafi rozeznaczyć się we własnych uczuciach.

Znałam tego rodzaju tłumaczenie: „Mamo, jest mi smutno”. „Nie, Natusiu, jesteś tylko zmęczona. Wyśpisz się i będzie dobrze”. Ogarnęła mnie bezsensowna złość.

– Do jasnej cholery, Pati, jestem nieszczęśliwa w małżeństwie z Joachimem!

Patrycja przysunęła się bliżej, w jej spojrzeniu była troska. Objęła mnie ramieniem, zaprowadziła do wersalki. Usiadłyśmy.

– Zastanów się nad tym, co mówisz – powiedziała tak poważnym tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. – Zostaniesz zupełnie sama. Gdybyś mogła liczyć na ślub z Adamem, to co innego. Ale teraz? Wiesz, jak trudno jest samotnej kobiecie?

– Właśnie o to chodzi. Nie wiem. Nigdy nie byłam sama. Najpierw pilnował mnie ojciec, potem mąż. Tylko mnie w tym nie było.

– Nie wiesz... – Pati popatrzyła na mnie uważnie i jakoś tak nieprzyjemnie. – To ci opowiem. Co miesiąc siadasz z ołówkiem w garści i liczysz: na jedzenie tyle, na opłaty tyle, na kosmetyki, te



najtańsze, zauważ, tyle. Zostaje minimalna nadwyżka. Jeżeli nie zachorujesz i nie wydasz na leki, może będziesz mogła iść do kina, może kupisz sobie coś ekstra. Ale lepiej, żebyś nie szła i nie kupowała, bo kto wie, co będzie w przyszłym miesiącu. Tak żyje samotna kobieta. – Przejechała rękami po włosach. – A wiesz, co robi samotna kobieta, gdy w domu zepsuje się coś, czego nie umie naprawić? Nie wzywa fachowca, bo nie ma na to kasy. Samotna kobieta prosi o pomoc sąsiada, uśmiecha się do niego i znosi jego spojrzenia ślimaczące się po jej tyłku. A wiesz, gdzie samotna kobieta wtedy stoi? Stoi blisko szuflady, w której trzyma tłuczek do mięsa, bo gdyby sąsiad nie poprzestał na spojrzeniach, to trzeba wiedzieć, kiedy mu tym tłuczkiem przypierdolić po łapach.

Pati zaplotła ręce na kolanach. Drżała, choć w pokoju było ciepło. Nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby jej nie urazić. „Dostałam przyzwoitą ofertę pracy od pewnego Włocha, a za mieszkanie zapłaci jego firma”? Nie, w tej chwili nie będę się tym chwalić. Więc może: „Mam kwalifikacje, znam języki, utrzymam się sama”? Też nie, bo to jakbym wytykała jej braki. Jedno wiedziałam na pewno: nie chcę być dłużej żoną Joachima.

– Masz wszystko, Nati. Nawet nie musisz pracować. Nie przeginaj z tą emancypacją, bo ci bokiem wyjdzie.

Matko jedyna, ona mi zazdrości. Teraz ja zaczęłam drzeć. Moja najlepsza przyjaciółka zwyczajnie, obrzydliwie mi zazdrości.

– Nie pakuj się w hardcore, w którym ja utkwiłam. Masz znacznie mniej powodów – powiedziała z mocą.

– Mniej powodów? Joachim ogranicza mnie na każdym kroku, umniejsza każdy mój sukces, wciska mnie w ramy, do których dawno już przestałam pasować, a może nigdy nie pasowałam.

– Och, naprawdę? Podły, podły Joachim. – Ironia w jej słowach zabolą mnie mocniej, niż się spodziewałam. – Powiedz, biedactwo, kiedy cię uderzył? Jak długo potem nosiłaś trzy warstwy podkładu, żeby ukryć siniaki? Ile razy cię zgwałcił?

– O co ci chodzi? Mamy się licytować, który mąż był gorszy? Obaj są źli, każdy na swój sposób.

– Bzdura! – krzyknęła nagle, aż się cofnęłam. – Masz wygodne życie! Własne mieszkanie! Nie musisz się zastanawiać, czy wystarczy ci do pierwszego! Czy durny właściciel nie podwyższy ci

nagle kosztów wynajmu! Joachim jest trochę oschły? Jeju drogi, ale przestępstwo. Opuścił ci, możesz wyglądać, jak chcesz, chodzić, gdzie chcesz, z kim chcesz. Żyj obok niego, ale nie rezygnuj z bezpieczeństwa!

– To nie jest bezpieczeństwo, to jest niewola! A swoboda nie polega wyłącznie na makijażu i ubraniach z butików! – Także krzyczałam. Dlaczego Pati przestała mnie rozumieć? – Twój były cię zgwałcił. Raz. Mój gwałci mnie codziennie, tylko śladów nie widać. Gwałci moją duszę, moje ego!

– Natalia! Przestań mi tu odgrywać uciśnioną sierotkę! Masz męża, rodziców, którzy staną po twojej stronie! Nie zachowuj się jak rozpieszczona gówniara, która nie dostała tysiąc piętnastej zabawki! I nie próbuj – Pati wysyczała przez zaciśnięte zęby – bagatelizować tego, co przeżyłam. Mój były mąż mnie zgwałcił, rozumiesz, co to znaczy? Rzucił mnie na łóżko, przytrzymał i siłą wpakował we mnie swojego brudnego chuja, rozumiesz? Rozumiesz, kurwa? Rozumiesz, że teraz boję się pozwolić Markowi na cokolwiek więcej niż pocałunek? Rozumiesz, że kiedy próbuje mnie dotknąć, czule i delikatnie, cała się spinam i czekam na ból?

– Idź na terapię – poradziłam. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak szorstko.

– Pierdol się. – Usłyszałam w odpowiedzi.

Rzuciłam głową, jakby smagnęła mnie przez policzek. Początkiem żałoby jest uświadomienie sobie straty. Właśnie straciłam przyjaciółkę. Straciłam Pati. Straciłam Adama. Następny w kolejce jest mąż. Potem rodzice. Kiedy stracę wszystkich, zacznę budować na ruinach. Nie, na ruinach się nie da. Najpierw trzeba oczyścić teren. Trzeba zniszczyć także ruiny.

Wstałam. Pati w niezmienionej pozie siedziała na wersalce. Podniosłam z podłogi torebkę, poszłam sama do przedpokoju, włożyłam kurtkę i wyszłam z mieszkania. Wróciwszy do domu, nie wysłałam jej SMS-a, że dojechałam bezpiecznie. Już jej to nie interesowało.

Teraz propozycja Renata Matrangi wydała mi się bardzo rozsądna. Ucieknę stąd, wyjadę do Gdańska i będę oddychać zdrowym, morskim powietrzem. Będę miała piękną cerę, będę pracowała dla szefa, który doceni moje umiejętności. Będę

samodzielna i naprawdę niezależna. Za chwilę wejdę do wanny, zrobię sobie pachnącą kąpiel. Uspokoję się, pozbieram. A w poniedziałek zadzwonię do Włocha i powiem mu, że jestem zdecydowana.

W sobotę zmieniałam zdanie.

Pati miała rację. Potraktowała mnie wyjątkowo brutalnie, ale miała rację. Chciałam zamienić wygodne bezpieczeństwo na niepewną samodzielność. Po co mi to? Zostanę z Joachimem, będę żyła długo i nieszczęśliwie. Zresztą, on i tak wcześniej umrze, więc mogę liczyć na parę spokojnych lat. Zaśmiałam się na głos. Ale jestem głupia. Będę czekać na śmierć męża, żeby stać się sobą. Mając sześćdziesiąt parę lat, odzyskam pełnię wolności, tylko zabraknie mi sił, żeby się nią cieszyć, bo całą energię włożę w żałowanie, że nie wyzwoliłam się wcześniej. No tak, ale przecież nie mam gwarancji, że w Gdańsku mi się uda. Pewnie wrócę z podkulonym ogonem do tatusia i mamusi, zakładając, że w ogóle przyjmą mnie w swoim domu.

Sama nie dam rady. Nie dam rady podjąć decyzji. Potrzebuję rozmowy. Nie z ojcem. Z mamą.

– Idę na basen – powiedziałam do Joachima.

Podniósł wzrok znad książki. Siedział w swojej ulubionej pozycji: złożone nogi, proste plecy, zgrabnie ułożone ręce, a w nich gruby tom o niejasnym tytule.

– Z Patrycją?

Zabolało mnie to imię. Przypominało o stracie. Kiwnęłam głową i wyszłam. Zapomniałam torby, w której miałam rzeczy potrzebne, by uwiarygodnić kolejne kłamstwo. Wyszłam bez kostiumu kąpielowego, ręcznika i czepka. Joachim nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Dzień dobry, tato. Jest mama?

Głupie pytanie, oczywiście, że jest, skoro i ojciec został w domu. Otworzył mi drzwi, zdziwiony, że już drugi raz przyjeżdżam bez zapowiedzi.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał. – Po co ci matka?

Jasne, po co? Powinnam zwierzyć się jemu, dać się opieprzyć i zrobić dokładnie tak, jak mi każe.

– No wiesz. – Staralam się mówić lekko i udało mi się nawet sfabrykować wiarygodny uśmiech. – Kobieta czasem potrzebuje poplotkować z drugą kobietą.

– Tusi, ale ty chyba nie jesteś... Czy ty pomyślałaś, Tusi...

– Nie jestem w ciąży, tato, spokojnie. Nie zrobiłabym czegoś tak niemądrego – zakpiłam, ale nie wychwytił ironii.

Odetchnął.

– Dobrze. – Odetchnął jeszcze raz, głębiej, poddając się uldze. – Dobrze. Matka jest na górze. Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać, boli ją głowa.

Skrzywił się, ale nie bardzo. Migrena była dopuszczalna w domu radcy Rawicza. Na indeksie były nowotwór i stwardnienie rozsiane. I wszystkie inne choroby, które wiążą się z brzydkim wyglądem, niezbornymi ruchami i przykrym zapachem.

– Mogę? – zapytałam, otwierając drzwi do pokoju mamy.

Znalazłam się w dość ciemnym, zagraconym bibelotami wnętrzu. Lubiłam małe pomieszczenia, ozdobione różnymi drobiazgami, ale ten pokój zawsze mnie przygnębiał. W oknach zwisały ciężkie, ciemnozielone zasłony. Zaciągnięte do połowy, odgradzały nas od rzeczywistości, od słońca i powietrza. Na pokrytych beżową tapetą ścianach porozwieszane były większe i mniejsze obrazki. Wesole widoczki, bukiety kolorowych kwiatów, wizerunki uśmiechniętych aniołków, które nie napawały jednak optymizmem. Przytłaczająca atmosfera pomieszczenia wchłaniała radosne barwy i tłumiała złoto anielskich loczków. Pod ścianą stało jednoosobowe łóżko, przykryte narzutą z tego samego materiału co zasłony. Przy oknie, z boku, wisiała półka zastawiona szkatułkami, puzderkami i pudełeczkami. Nie wiedziałam, co w nich było. Ojciec, podobnie jak Joachim, nie lubił biżuterii, a mamie nigdy nie przyszło do głowy, żeby mu się sprzeciwić. Może trzymała w nich nici? W głębi, po przeciwnej stronie niż okna, umieszczono szafę z ciemnego drewna, w której mama równiutko wieszała swoje klasyczne stroje Chanel. Zawsze ubierała się tutaj i nie pamiętam, kiedy pokazała się ojcu w koszuli nocnej. Nawet do łazienki przed wieczorną kąpielą szła ubrana,

a wychodziła w starannie zawiązanym szlafroku. Moje pojawienie się na świecie było dla mnie zagadką. Rodzice spali oddzielnie. Mama u siebie na górze, ojciec w sypialni na dole.

– Boli cię jeszcze głowa?

Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Matka siedziała na pufie przy okrągłym stoliku stojącym pośrodku pokoju.

– Już przeszło – powiedziała, podnosząc głowę znad krzyżówki.

Ojciec nie akceptował krzyżówek. Uważał je za ogłupiającą stratę czasu. Nie miałam już wyrzutów sumienia, że męczę mamę, gdy cierpi. Wcale nie cierpiała. Po prostu kupiła nowe pisemko i chciała w spokoju porozwijać łamigłówki.

– Masz wszystkie hasła?

– Prawie. – Zamknęła gazetę i spojrzała na mnie. – Siadaj, dziecko.

Usiadłam na drugim pufie, naprzeciwko niej, tyłem do drzwi.

– Potrzebuję porozmawiać, mamó – wypaliłam od razu. – I nie chcę, żeby ojciec się o tym dowiedział. Przynajmniej na razie.

– Natusiu, przecież wiesz, że nie mam przed nim tajemnic.

– Oczywiście, że masz. Opowiedziałaś mi o wujku Januszu. To pierwsza tajemnica. Mówisz, że boli cię głowa, a zamykasz się u siebie, żeby rozwiązywać krzyżówki. To druga tajemnica. Ta będzie trzecia.

– Dziecko...

– Potrzebuję twojej pomocy – poprosiłam. – Pomóż mi, mamó. Pomóż mi.

Teraz miałam dla siebie całą uwagę matki. Patrzyła na mnie ciemnymi oczami, takimi samymi jak moje. Gdy nie było przy niej ojca, pozwalała sobie na odrobinę ekspresji. Z jej ust znikł świadomie układany uśmiech, w spojrzeniu pojawił się niepokój. Odruchowo poprawiła siwe, upięte z tyłu głowy włosy. Zsunęła z nóg czółenka, które zastępowały jej kaptcie. W domu Rawiczów, tak samo jak w domu Rostowskich, puchate, miękkie papucie były niedopuszczalne. Podobnie niedopuszczalne były podomki, luźne swetry, rozciągnięte spodnie i inne ubiory uznawane przez normalnych ludzi za wygodne. Panowie chodzili w garniturach, pozwalając sobie jedynie na zdjęcie marynarki, panie paradowały w garsonkach lub bluzkach i spódnicach Chanel.

– Co się stało, Natusiu?

– Chcę się rozwieść z Joachimem.

Zamilkłam. Nie spodziewałam się gromów. Moja mama nigdy nie krzyczała, nie denerwowała się w widoczny sposób. Miała inne metody i często zastanawiałam się, czy nie bardziej skuteczne niż degradujące komentarze ojca. Mama potrafiła wzbudzić poczucie winy.

Od dziecka wiedziałam, czego nie mówić, jak się nie zachowywać, żeby nie patrzyła na mnie pełnym wyrzutem wzrokiem cierpiętnicy. Na ojca udreżone spojrzenia jakoś nie działały. Nie wiem, czy dlatego, że przejrzał jej manewry, czy że zwyczajnie nie obchodziły go nastroje małżonki. Jeśli chodzi o mnie, przez całe życie pozwalałam sobie manipulować, ale teraz zamierzałam być silna.

– Chcę rozwodu – powtórzyłam. – Jest mi źle, duszę się w tym małżeństwie. Chcę rozwodu i chcę wyjechać do Gdańska. Dostałam propozycję pracy, wiesz?

– Natusiu – westchnęła ciężko, jakbym ją poprosiła, żeby wyręczyła Atlasa i pottrzymała świat na ramionach. – Natusiu. Co też ci przychodzi do głowy, dziecko?

– Mam prawie trzydzieści sześć lat. Dawno przestałam być dzieckiem.

– A jednak rozumiesz jak mała dziewczynka. Najpierw ten niepotrzebny romans, teraz rozwód. – Pokręciła głową zrezygnowana. – Chcesz wyjść za tego Adama?

– Nie. Z Adamem skończone. – Z wysiłkiem rozluźniłam gardło.

– Zostawił cię.

To nie było pytanie, niestety. Matka po prostu stwierdziła fakt, jakby od początku właśnie tego się spodziewała. W jej oczach nie nadawałam się na niczyją kochankę, a Joachim chyba tylko cudem zainteresował się mną i poprosił o rękę.

– Nie jest prawdą, że dusisz się w małżeństwie, Natusiu. Nie radzisz sobie po prostu. Pamiętasz, tłumaczyłam ci przed ślubem, mówiłam: „Bądź dobrą żoną dla Joachima, staraj się, a na pewno wszystko się ułoży”. Dlaczego nie posłuchałaś moich wskazówek?

Przymknęła na chwilę oczy, potem spojrzała na mnie tak, że natychmiast powinnam zacząć litanie przeprosin: „Tak, mamo, to

moja wina, nie byłam dobrą żoną i teraz mam karę”. Ale ja milczałam. Po raz drugi popełniłam ten sam błąd i po raz drugi tego żałowałam. Trzeba było zostać w domu i zacząć się pakować, a nie przyjeżdżać tutaj i błagać o odrobinę zrozumienia.

– Joachim jest dla ciebie doskonały – odezwała się znowu matka.

– Nie zwraca uwagi na urodę, na różne niedoskonałości, jest porządnym, poukładanym człowiekiem. A ty chcesz to odrzucić. Żebyś jeszcze miała jakiś prawdziwy powód. Ale nie masz. Joachim cię nie bije, nie zdradza, nie urządza awantur.

Zacisnęłam usta. To samo powiedziała Pati, ale ona nie miała takiego doświadczenia jak moja matka. Matka powinna wiedzieć, że są różne rodzaje przemocy. Tę fizyczną łatwiej zauważyć, a ofiara znajduje o wiele więcej wsparcia w otoczeniu. Ludzie współczują, pomagają, rozumieją, że bita żona szuka ucieczki. Tymczasem kobiety takie jak ja, jak mama, często nie rozumieją samych siebie. O co mieć pretensje do męża, który nawet nie krzyczy?

– Jesteś szczęśliwa z ojcem? – zapytałam.

– Co to w ogóle za pytanie?

– Zwyczajne. I bardzo prosta odpowiedź: tak lub nie. Czy jesteś szczęśliwa z ojcem?

Usta mamy ułożyły się w firmowy uśmiech, oczy przybrały neutralny wyraz.

– Oczywiście, Natusiu.

– Dosyc tego. – Usłyszałam i poderwałam się z miejsca.

Przez uchylone drzwi zaglądał ojciec. Spojrzałam na mamę. Musiała widzieć, kiedy się zjawił. I nawet mnie nie ostrzegła. Słyszał całą rozmowę? Co słyszał? Matko jedyna, co słyszał? Moje serce chciało chyba wyrwać się na wolność, łomotało z całej siły, rozsadzało piersi, chwilami przestawało bić, a potem zaczynało od nowa z jeszcze większą siłą. Prawie przewróciłam stolik, o który się oparłam, żeby zachować resztki pionu. Ojciec wszedł do środka i swoją złością wypełnił cały pokój. Chciałam usiąść, ale mi nie pozwolił.

– Stój, gdy do ciebie mówię, ty niewdzięczna dziewczyno.

Stałam jak skazaniec przed ogłoszeniem wyroku śmierci.

– Załatwiłem ci wszystko w życiu. Dzięki mnie masz pracę, męża, żyjesz w luksusie. Nie pozwolę, żebyś to zniszczyła, rozumiesz? –

Nie mówił, lecz syczał jak kobra przed atakiem. – Uprzedzałem, że nie wyjdzie ci z tym całym Adrianem. – Nie odważyłam się go poprawić. – Nie potrafisz utrzymać przy sobie mężczyzny.

– Joachima utrzymałam – powiedziałam jak nastolatka, która wyklóca się, że skoro na świadectwie ma jedną ocenę dopuszczającą, to rodzice nie powinni marudzić, że przyniosła same jedynki.

Jeszcze nigdy nie widziałam ojca tak wytrąconego z równowagi. Stał na lekko rozszerzonych nogach, gotów do walki i znokautowania przeciwnika. Przeciwnikiem była jedyna córka.

– Nonsens – parsknął. – Joachim miał specjalną motywację.

– O czym ty mówisz, tato?

Poczułam, że robi mi się słabo. Usiadłam, wbrew wyraźnemu zakazowi. Wszystko inne ode mnie odpłynęło. Matka zdradziła mnie po raz kolejny, pozwalając ojcu podsłuchiwać. Nieważne, wszak zdradzała mnie wielokrotnie. Ojciec wypomina mi znajomego, który zatrudnił mnie w Double Book. To też nieważne, przecież już to słyszałam. Prawdopodobnie zaraz otrzymam dożywotni zakaz wstępu do domu rodziców. Nieważne, już mi tym grożono. Chciałam tylko wiedzieć, jaką motywację miał Joachim, żeby się ze mną ożenić. Ojciec spojrzał na mnie z mściwą satysfakcją. Zaraz wbije mi szpilę w samą duszę i będzie patrzył, czy wchodzi pod odpowiednim kątem.

– Mówię o tym, Tusi – zaczął z przerażającym uśmiechem – że nie ma przypadków na świecie.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz, kochanie.

To „kochanie” sprawiło, że zmartwiałam. Ojciec stanął prosto, lekko pochylony w moim kierunku.

– Czy ty myślałaś, że Joachim, ot tak sobie, któregoś dnia postanowił, że pobiega w lasu? I zupełnie niechcący wybrał godzinę, w której i ty biegałaś? I tak samo niechcący wpadł na ciebie?

Zamilkł, czekając na moją reakcję. Uspokołam się, odetchnęłam głębiej. To nie była żadna nowość. Nie lubiłam o tym myśleć, ale było jasne, że to ojciec zaaranżował moje pierwsze spotkanie z Joachimem. W końcu jeszcze przed ślubem dowiedziałam się, że



razem pracują. Pewnie opowiedział o mnie Joachimowi, ten się zainteresował i zapragnął mnie poznać. Radca, którego ojciec u siebie zatrudnił, musiał być wystarczająco dobrym kandydatem na męża, więc z łatwością otrzymał zgodę na spotkanie się ze mną.

„Nie zaskoczyłeś mnie, tato” – pomyślałam.

Ale ojciec trzymał w zanadrzu topór, którym zamierzał ściąć mi głowę.

– A czy pomyślałaś, jakich argumentów użyłem, żeby przekonać go do tych biegów?

Moje przez chwilę opanowane serce wznowiło dziki taniec.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, żeby zapytać, dlaczego Łaszewski odszedł z kancelarii tak gwałtownie?

Co ma do tego Łaszewski? Nie pracował z ojcem od... No tak, od ponad dziesięciu lat. Od czasu gdy poznałam Joachima. Tu musi być jakiś punkt wspólny. Nie chcę wiedzieć jaki. Przerazenie owinęło się wokół mojego ciała.

– Łaszewski odszedł, bo się rozczarował. Liczył, że po emeryturze Drawskiego to on zostanie współnikiem – powiedział ojciec, a jad kobry strzykał mu z kłów. – I powinien był nim zostać. Jest lepszym prawnikiem od Joachima.

– Dlaczego nie został? – wyszeptałam.

– Bo miał żonę, Tusię.

W oczach ojca dostrzegłam przyjemność. Przyjemność, jaką seryjny morderca czerpie z kolejnej śmierci. Pochylił się niżej i zajrzał mi w oczy.

– Teraz rozumiesz? Jesteś niegłupią dziewczynką, już połączyłaś fakty, prawda?

Takiego ojca nie znałam. Zachowywał się jak psychopatyczny sadysta.

– Tomaszu. – Mama odezwała się po raz pierwszy, odkąd ojciec wszedł do pokoju.

– Zamilcz! – warknął w jej kierunku i mama wycofała się do swojego świata.

Dla mnie wiele rzeczy stało się jasne w tym jednym momencie. Joachim zaakceptował moje zmiany wyglądu, spotkania z Pati, bo chciał utrzymać małżeństwo. Chciał utrzymać małżeństwo, bo to wiązało się z jego pozycją współnika w kancelarii. Ojciec, gdy został

sprowokowany, był groźnym przeciwnikiem i Joachim słusznie nie próbował z nim zadzierać. Pewnie domyślał się mojego romansu, ale i to przełknął, mając na uwadze swoją pracę. Zależało mu tylko na kancelarii. Ja byłam jedynie gwarancją stabilności zawodowej. Dopóki nasze małżeństwo z wierzchu przypominało małżeństwo ojca, Joachim gotów był na wiele ustępstw. Ratował własny tyłek.

Ojciec kupił mi męża. Ojciec kupił mi męża. Ojciec kupił mi męża. To zdanie rozbijało moje dalsze myśli. Od nowa i od nowa. Ojciec kupił mi męża. Zaraz zwariuję. Już zwariowałam, bo w mojej głowie pojawiła się olbrzymia, przeszklona witryna sklepu z mężami. A za nią rozmaite egzemplarze w różnych cenach. Wysoki, szczupły, przystojny, cena pięćset tysięcy złotych, w pakiecie: wdrukowana na stałe umiejętność opuszczania deski klozetowej, kupowanie kwiatów, odkładanie brudnych skarpetek do kosza w łazience. Niski, otyły okularnik, cena dwieście tysięcy, w pakiecie: odwożenie żony do pracy w deszczowe dni, wyprowadzanie psa. Zaczęłam histerycznie chichotać. Joachim, cena sto tysięcy złotych, w pakiecie: oziębłość, wymagania, częsta impotencja. W przypadku tego modelu reklamacje nie będą uwzględniane. Sklep nie chce go z powrotem.

– Tak cię to bawi, Tusi? – syknął ojciec. – To zaraz stracisz powód do dobrego humoru. Oto, co zrobisz: wrócisz do domu, zrezygnujesz z idiotycznej oferty pracy, którą dostałaś, przestaniesz widywać się z tą całą Patrycją, ponieważ ma na ciebie skandalicznie zły wpływ. Później, gdy się uspokoję, zdecyduję, czy będziesz dalej pracować w tym swoim, pożałuj Boże, wydawnictwie.

Otworzyłam usta, ale ojciec jeszcze nie skończył i nie dał mi dojść do słowa:

– Naturalnie, możesz się nie zgodzić – dodał lodowato uprzejmym tonem. – Masz do tego pełne prawo. Jesteś, jak twierdzisz, dorosła.

Czekałam na ciąg dalszy, zaraz będą konsekwencje.

– Po prostu zmienię testament. I nie dostaniesz nic. – Spojrzał na mnie z tryumfem.

Zmieni testament. Nie dostanę domu na Płataniczej. Domu, który był moim pierwszym więzieniem. Dobrze. Wykorzystałam wszystkie znane mi metody, cały trening wciskany we mnie przez lata i opanowałam się. Myśli zaczęły biec w normalnym tempie, serce

znów było rytmicznie. Dobrze. „Nienawiść to bardzo spokojne uczucie – pomyślałam. – Wcale nie trzeba się miotać, krzyczeć i przeklinać. Wiesz o tym, tato? Na pewno wiesz, przecież ty nienawidzisz całego świata, od samego siebie zaczynając”. Ja też nienawidziałam. Ojca, przede wszystkim. Matki. Joachima. Adama. Pati – przynajmniej w tej chwili. Dobrze. Mamy ruiny. Teraz trzeba oczyścić teren i postawić nowe fundamenty. Wstałam.

– Wiedziałaś o tym, prawda, mamó? – Skinęła milcząco. – I pozwoliłaś?

Nie wykonała żadnego gestu. Zbliżyłam się do ojca.

– Dziękuję, tato, że powiedziałeś mi prawdę. Potrzebowałam tego bardziej, niż ci się wydaje – powiedziałam z lodem, którego uczyłam się od eksperta. Teraz uczeń najwyraźniej przerósł mistrza, bo ojciec drgnął nieznacznie. – Pójdę do domu i przemyślę wszystko, jak mi poleciłeś. Powiadomię cię o moich decyzjach w odpowiednim czasie.

– Tusi. – Ojciec odrobinę spuścił z tonu. – Zrozum, dziewczyno, to dla twojego dobra.

– Rozumiem – powiedziałam grzecznie. – Wszystko dla mojego dobra.

Ojciec przyglądał mi się uważnie. Nigdy nie widział mnie aż tak zimno opanowanej. Uprzejmą, spokojną, tak. Ale nie z taką Syberią w głosie. Zawsze potrafił szybko reagować (umiejętność, której ja, niestety, nie zdobyłam), więc błyskawicznie zmienił taktykę.

– Co to za praca, o której wspominałaś?

– Pewien Włoch ma w Gdańsku firmę. Miałabym dla niego tłumaczyć.

– Przecież nie mówisz po włosku aż tak dobrze. – Tym razem bardzo się postarał, żeby po prostu stwierdzić fakt. Żadnej pogardy, żadnych westchnień nad kolejnym niemądrym pomysłem niemądrej córki.

– Mam certyfikat CILS-C2, to najwyższy stopień znajomości języka. – Ton mojego głosu miał temperaturę ciekłego azotu. – Jeszcze na studiach zdałam egzamin. Nie sądziłam, że cię to zainteresuje, więc nic ci nie mówiłam. – Nie chciałam usłyszeć, że mój dokument jest nic niewart. Za bardzo cieszyłam się sukcesem, żeby pozwolić ojcu na sprowadzenie trudnego egzaminu do poziomu

zwykłej klasówki. – Zdałam także Proficiency z angielskiego – dodałam. – Z maksymalną liczbą punktów. O tym też ci nie wspominałam.

Ojciec patrzył na mnie z bardzo szczególnym wyrazem twarzy. Jak faworyt, który właśnie przegrał walkę i jest na tyle honorowy, by uznać przewagę cherlawego konkurenta. To było to: niechętny szacunek, uznanie i... nie, nie było uderzenia w podłogę i zaakceptowania porażki.

– Znajomości rosyjskiego nie mam potwierdzonej na papierze, ale posługuję się nim tak jak polskim – dokończyłam. Spojrzałam mu prosto w oczy, mocno, bez jednego mrugnięcia. Wytrzymał spojrzenie. – Do widzenia, ojcze. Powiadomię cię o tym, co postanowiłam. – Temperatura mojego głosu sięgnęła zera bezwzględego. – Do widzenia, mamó.

Wyszłam. Rozpłakałam się dopiero w samochodzie i dopiero po zaparkowaniu w jakimś ustronnym miejscu. Nie wiedziałam nawet, gdzie jestem. Myślałam, że rycząc u Pati podczas pamiętnej rozmowy o Adamie, osiągnęłam szczyt swoich możliwości. Myślałam, że bardziej płakać się nie da. Teraz się okazało, że jeśli chodzi o bezsilną rozpacz, potrafiłam dużo więcej. Nie wiem, jak długo krzyczałam, zalewając się łzami. Od rodziców wyjechałam po drugiej, teraz robiło się już ciemno.

– Dałaś czadu, Natalia – powiedziałam w końcu do siebie.

Wydobył się ze mnie ledwo słyszalny szept. Bałam się spojrzeć w lusterko, musiałam wyglądać jeszcze gorzej niż wówczas u Pati. Trudno, niech Joachim patrzy i krzywi swoje ładnie wykrojone usta. Nie będę tu siedzieć do rana, czekając, by zesza opuchlizna i czerwone obwódki wokół oczu. Wypłakałam wszystkie uczucia i ze spokojną rezygnacją zaakceptowałam kolejną stratę. Niezależnie od tego, co zrobię – pojedę do Gdańska czy zostanę z mężem – nie miałam już nic. Straciłam Adama. Straciłam Pati. Straciłam rodziców. Właściwie, pomijając aspekty czysto biologiczne i prawne, rodziców nigdy nie miałam, tylko dopiero teraz uświadomiłam to sobie z całą mocą. Pozostał Joachim. Dobrze.

Niedawno doszłam do wniosku, że każde kolejne zwycięstwo przychodzi łatwiej niż poprzednie. Teraz powoli zaczynałam rozumieć, że ta sama zasada rządzi stratami. Dobrze.

– Uczuliłam się na chlor – poinformowałam Joachima, wchodząc do mieszkania.

„Zresztą, i tak cię to nie obchodzi – dodałam w myślach. – Pilnuj tego swojego stołka, Joasiu, pilnuj. Użyj superglue, żeby nikt ci go nie wyrwał spod tyłka. Ja tymczasem zaplanuję resztę swojego życia”.

W poniedziałek jechałam do pracy zaniepokojona. Po raz pierwszy od kłótni miałam zobaczyć Pati. Postanowiłam zachowywać się uprzejmie i z dystansem, przecież nie będziemy skakać sobie do gardeł przy ludziach. Poza tym powiedziałyśmy już sobie wszystko. Znowu przyjechałam do biura pierwsza. Zaparzyłam herbatę i zamknęłam się w swoim pokoju. Dziś nie będę z niego wychodzić, żeby witać się z kolejnymi pracownikami Double Book. Kto będzie chciał, sam do mnie zajrzy.

Adam wyjeżdżał za trzy dni, może powinnam była z nim porozmawiać? Nie, bałam się. Ostatnio byłam taka odważna, więc teraz miałam prawo do strachu. I do unikania zagrożeń. Ktoś w końcu musi o mnie zadbać i wychodzi na to, że to będzie mój obowiązek. Wyjęłam z torby komórkę i wybrałam numer Renato Matrangi.

– Dzień dobry, Renato, mówi Natalia.

– Natalia, kochana Natalia. – Ucieszył się, a mnie od razu zrobiło się ciepło. – Jakie masz dla mnie wiadomości?

– Najpierw parę pytań, potem wiadomości.

To zdecydowanie mówiła nowa Natalia. Tusia nie zadawałaby pytań. Ha, Tusia w ogóle by nie zadzwoniła. Całe szczęście, że leżała sobie wygodnie, głęboko pogrzebana w czeluściach mojej pamięci.

– Renato, co dokładnie musiałabym u ciebie robić?

– A więc zgadzasz się!!! – zawołał Matranga tak donośnym głosem, że musiałam odsunąć telefon od ucha.

– Jeszcze nie. Najpierw chcę wiedzieć więcej. Co będę u ciebie robić?

– Będiesz prowadzić biuro i uczestniczyć w spotkaniach handlowych. Wy tu w Polsce nie lubicie sjesty, więc praca jest od dziewiątej do siedemnastej. Z bólem się do tego dostosowałam, ale mamusia zawsze powtarzała: „Opanuj, Renato, sztukę kompromisu,

bo inaczej nikt cię nie polubi”. Czasem może się zdarzyć, że trzeba będzie zostać po siedemnastej. Polacy chcą mieć płacone za nadgodziny, więc staram się tego unikać, ale gdy trzeba, płacę. – Renato westchnął ciężko, jakby tracił na tym majątek.

– Od kiedy?

– Natalio, spełnienie moich marzeń o tłumaczu! Możesz zacząć choćby jutro. Spędzisz parę dni w hoteliku, potem przeniesiesz się do mieszkania. I do pracy będziesz miała blizutko, bo firma jest na Lelitkowie.

– Jelitkowie?

– Tak, właśnie mówię. Na Lelitkowie.

– Ile mi zapłacisz? – Kolejne pytanie, przed którym Tusia by stchórzyła.

– Cztery tysiące miesięcznie. Mieszkanie wynajmę na firmę, więc opłaty będą po mojej stronie. Zamieszkaż w Oliwie.

Byłam gotowa zgodzić się natychmiast, gdy to usłyszałam.

– To cudowna, zabytkowa dzielnica. Dostaniesz dwupokojowe mieszkanie, około czterdziestu ośmiu metrów. Zmieścisz się i ty, i mąż.

„Nie, Renato, Joachim się nie zmieści”.

– Widzisz? Wszystko przygotowałam. Wystarczy podpisać umowę z właścicielem.

Nagle dotarło do mnie, co właśnie robiłam. Porzucałam stare życie, wszystko, co było mi znane i w pewnym stopniu bliskie, i decydowałam się na przyszłość, która w mojej głowie była dopiero szkicem bez wyraźnych konturów, bez kolorów. Przeraziłam się. Naprawdę się przeraziłam, kiedy realność tej decyzji uderzyła mnie prosto w twarz. Renato źle zrozumiał ciszę w słuchawce.

– Och, Natalio, jest z ciebie lepszy negocjator, niż myślałem. Dobrze, dostaniesz cztery pięćset.

Znów westchnął, zapewne myśląc o biednych *bambini*, którym odejmie od ust, żeby wynagrodzić nieprzejeжданą tłumaczkę. Milczałam, niezdolna do słów w chwili, gdy moje życie wykonywało obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Jestem.

– Te cztery pięćset to będzie na początek.

Wiedziałam już, że zupełnie niechcący wynegocjowałam maksimum. Przeliczyłam szybko: cztery pięćset na samo życie w zupełności wystarczy. To mniej, niż mam teraz z pieniędzmi Joachima, ale wystarczy. Zawsze mogę wziąć jakieś zlecenia. Dam radę. Praca u Matrangi była jak szyta na miarę dla mnie. Usłyszałam nieśmiały głosik Tusi: „A jeżeli to wszystko tylko tak pięknie brzmi, a rzeczywistość okaże się zupełnie inna?”. „Zamknij się, głupia, mała Tusiu – odparła Natalia. – Jeżeli będzie źle, poszukam czegoś innego. Nie będę do końca życia wykonywała durnych poleceń Gazdy”.

– Natalio, ja cię błagam, nie milcz tak, bo od razu zaczynam się bać, że powiesz: nie! – odezwał się Renato.

– Tak – odparłam.

– Tak, nie?

– Tak, tak.

– Przyjedziesz do mnie?

– Przyjadę.

– *Mamma mia!* Natalio, ogromnie się cieszę, no ogromnie, nawet nie wiesz jak. Ja mam w takich sprawach kobiecą intuicję! – Roześmiał się. – Ja po prostu wiem, że będzie nam się świetnie pracowało. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– Daj mi jakieś dwa tygodnie na uporządkowanie spraw i będę u ciebie.

„Dwa tygodnie” – pomyślałam, gdy się rozłączyliśmy. Za mało. Źle zrobiłam już na samym początku. Muszę się spakować, poinformować Joachima, zwolnić się z Double Book. Nie zdążę.

„Widzisz? – szepnęła Tusia. – Już się gubisz”.

„Siedź cicho – zagroziła jej Natalia – bo całkiem cię wywalę z umysłu”.

Tusia zamilkła posłusznie. Zawsze była grzeczna i układowa.

Odłożyłam telefon i poczułam, że cała się trzęsę. Matko jedyna, co ja zrobiłam? Gotowa byłam zadzwonić do Renata, przeprosić go najładniej, jak umiałam, i wszystko odwołać.

„Stuknij się w czołko” – odezwała się nowa Natalia zupełnie głośno i wyraźnie.

Czy nie tak objawia się schizofrenia? Człowiek słyszy głosy, cierpi na rozdwojenie jaźni? W mojej biednej głowie trwała zażarta

dyskusja między Tusią i Natalią. Pierwsza wyliczała wszystkie zagrożenia, druga odrzucała jedno po drugim. Pierwsza kierowała moją ręką, kazała chwycić za telefon i wszystko odkręcić, druga przejęła nogi i zmuszała mnie do wizyty w gabinecie Gazdy.

– Zamknąć się, jedna z drugą! – krzyknęłam i natychmiast zasłoniłam usta dłonią. Zerknęłam na zegarek. Siódma pięćdziesiąt, biuro powinno być puste. Nie słyszałam, żeby ktoś wchodził, ale też trudno, żebym coś usłyszała przy takim jazgocie myśli. – Zamknąć się – powiedziałam ciszej. – Ja zdecyduję.

No proszę, ujawniła się trzecia osobowość. Ciekawe, ile ich tam jeszcze miałam. Usiadłam wygodnie na starym, powycieranym krześle obrotowym, oparłam plecy, wyciągnęłam przed siebie nogi i rozluźniłam wszystkie mięśnie. Kilkakrotnie odetchnęłam głęboko. Raz, dwa, trzy, wdech. Raz, dwa, trzy, zatrzymać powietrze w płucach. Raz, dwa, trzy, wydech. Raz, dwa, trzy, bez oddechu. I od początku. Raz, dwa, trzy...

Pojadę do Gdańska, podejmę pracę tłumaczki. Zawsze o tym marzyłam i byłoby głupotą odrzucić okazję, która sama do mnie przychodzi i prosi: „Zajmij się mną”. Jeżeli mi się nie uda („jeżeli”, nie: „gdy”), wtedy będę się martwić. Ale nie wcześniej. Gdyby okazało się, że nie zdążę zamknąć wszystkiego tutaj przez dwa tygodnie, zadzwonię do Renata i poproszę o przedłużenie terminu. Będzie niezadowolony, ale zależy mu na mnie, więc się zgodzi. Proszę, jaka piękna myśl: komuś na mnie zależy i w związku z tym do pewnego stopnia mogę dyktować warunki. Głosy w mojej głowie umilkły, znów byłam jedną, poukładaną Natalią, która świadomie podejmowała decyzje. Sięgnęłam po kubek i duszkiem wypłam całą herbatę. Byłam gotowa. Teren prawie oczyszczony, ruiny usunięte, można zwozić materiały. Joachim to pikuś. Sprzątnę po nim raz-dwa.

Drzwi do pokoju otworzyły się i przez szparę zajrzała Patrycja. Nie byłam w stanie nawet w myślach nazwać jej zdrobnieniem z liceum. Wyglądała koszmarnie. Nie ułożyła włosów, które zwisały smętnie po obu stronach jej twarzy, z lewej trochę krótsze, po prawej dłuższe. Widać było, że malowała się w pośpiechu, bo pociągnęła tuszem rzęsy, ale nie miała kreski i cieni. Róż także sobie darowała. Weszła do środka i od razu zaczęła płakać.



– Nati, jestem podłą suką – chlipnęła. – Tak strasznie cię przepraszam. Byłam dla ciebie paskudna, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam, ja naprawdę nie chciałam. Odbiło mi, nie wiem, nie rozumiem.

Rozpłakała się na dobre, usiadła po drugiej stronie biurka i zwiesiła głowę. Po chwili spojrzała na mnie, a rozmazany tusz spływał jej po policzkach. To Pati, moja najlepsza, jedyna przyjaciółka. Przyszła, żeby przeprosić, a ja przecież też nie byłam bez winy, dołożyłam jej z tą terapią. Podeszłam do niej, przytuliłam.

– Ja też przepraszam, Pati. Obie dałyśmy się niepotrzebnie ponieść.

– Kochamy się dalej? – zapytała, nagle maleńka, przestraszona, niepewna. Teraz to ja byłam tą silniejszą, tą, na której można się oprzeć.

– Kochamy się dalej – powiedziałam łamiącym się głosem.

Objęła mnie z całej siły, przyciskając twarz do mojej bluzki.

– Bałam się – szepnęła – że mi nie wybaczysz. Że już na zawsze zepsułam. Prawie nie spałam przez cały ten czas. Chciałam do ciebie dzwonić w weekend i za każdym razem tchórzyłam. Dzisiaj ledwo tu przyszłam.

Uśmiechnęłam się i poczułam, że właśnie zdjęto mi z pleców część bagażu. Odzyskałam Pati, jedyną osobę, która naprawdę mnie kochała. Zazdrościła mi wygody, nie doceniła kłopotów z Joachimem, ale była ze mną. Rozłąka z nią będzie najtrudniejsza.

– Na mały palec, Pati – powiedziałam, odsuwając się od niej i wyciągając dłoń ze zgiętym palcem. – Przysięgam, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze się pokłócimy, trzy razy się zastanowię, zanim otworzę usta.

– Na mały palec – odparła. – Przysięgam, że walnę się w czaszkę tym tłuczkiem, co go trzymam na sąsiada, zanim powiem ci coś tak przykrego jak w piątek.

Strzepnęłyśmy ręce, Pati wytarła twarz, a ja dałam jej lusterko, chusteczkę i tusz do rzęs. Sama też za chwilę poprawię makijaż. Uspokoiliśmy się obie. Malowanie oczu wymaga precyzyjnych ruchów. Gdy nie drżą ręce, myśli też robią się jaśniejsze. Przykucnęłam przed nią. Teraz będzie najtrudniejsza część rozmowy.

– Pati, kochanie, tylko nie płacz.

Spojrzała zdumiona, a jej oczy wypełniły się łzami, gotowe nie spełnić mojej prośby.

– Co się stało? – zapytała.

– Dostałam pracę.

Opowiedziałam jej o weselu, o Włochu, o dzisiejszym telefonie do Renata.

– Weź ją – orzekła od razu. – Kurwa, ale hardcore. Weź ją. Zasługujesz. Tylko uważaj, Nati. – Chciała spojrzeć na mnie groźnie, ale trudno o marsową minę, gdy człowiek płacze. – Jeżeli nie będziesz do mnie dzwonić i pisać maili, pojedę do Gdańska, znajdę cię choćby w mysiej norze i tak nakopię w tyłek, że przez tydzień będziesz jadła na stojąco.

Roześmiałam się, ocierając nową wodę z twarzy. Cała Pati.

– Na mały palec – obiecałam.

Dopełniłyśmy drugiej rytualnej przysięgi tego ranka. Będziemy do siebie pisać, będziemy dzwonić, będziemy się odwiedzać.

Gazda miał doskonałe wyczucie czasu. Poczekał grzecznie, aż skończymy się mazać, po raz drugi poprawimy rzęsy i usuniemy efekt pandy z twarzy. Dopiero wtedy zaczął:

– Cholera jasna! – wrzasnął z gabinetu. – Szlag by was wszystkich! Uschła moja juka!

Spojrzałam na Pati. Zaraz będzie wzywanie każdego po kolei i dyskusja o przyszłości w firmie. Poprzednio wyleciała Ania, ale tym razem miałam zadbać o bezpieczeństwo przyjaciółki.

– Poradzisz sobie z redagowaniem tekstów – powiedziałam. – Znasz angielski na tyle, żeby zorientować się z oryginału, gdy w tłumaczeniu zobaczysz jakieś bzdury. Gazda ochłonie, zatrudni nową sekretarkę, a ty wymusisz na nim podwyżkę i zostaniesz panią redaktor.

Skinęła głową.

– Idziemy – zarządziłam i poszłyśmy do sekretariatu.

Zenobia już rozdawała landrynki. Dla mnie żółta.

– Ostatnia książka Krynickiego to kompletna kłapa – oznajmiła altem. – Firma jest w plecy kilkanaście tysięcy.

Marek momentalnie znalazł się przy Pati.

– Nie dam cię wyrzucić. Sam odejdę i niech Gazda buja się bez grafika.

– Nie będzie takiej potrzeby – odparłam. – Teraz moja kolej. Dostałam nową pracę.

Poczułam uzasadnione współczucie dla krzesła, gdy Zenobia podskoczyła i ponownie opadła na nie z jeszcze większą siłą. „Żeby się tylko nie zakrztusiła landrynką” – pomyślałam. Księgowa miała chyba podobne obawy, bo z głośnym chrzęstem rozgryzła cukierek.

– Powtórz, co powiedziałaś – poprosiła słabo.

– Odchodzę z Double Book. Dostałam nową pracę, jadę do Gdańska.

– Do Gdańska? – zapytała zdumiona.

– Takie miasto nad morzem – odpowiedział usłużnie Marek, który ścisnął rękę Pati. Nie wiedziałam, czy uspokajał ją, czy siebie.

– Idź w cholerę – mruknęła Zenobia. – Wiem, co to Gdańsk. Ale co ci strzeliło do głowy, Natalia? Przecież pracujesz tu od... Właściwie od ilu lat tu pracujesz?

– Od dziesięciu lat – odparłam.

– Właśnie to jej strzeliło do głowy – stwierdziła Pati. – Myślisz, że można pozostać normalnym, przez tyle czasu poprawiając chłam od naszych tłumaczy? Nati musi się ratować.

– Znam biegle trzy języki. – Nie czułam, że się przechwalam, po prostu uzasadniałam swoją decyzję. – Będę pracować dla Włocha.

– Trzy? – zdumiał się Marek.

– To taka cyfra, przez niektórych uznawana za doskonałą. – Zenobia zemściła się na grafiku.

DTP-owiec zignorował złośliwość.

– I nie robiłaś tłumaczeń dla Gazdy?

– Zwariowałaś?! – wykrzyknęłyśmy z Pati jednocześnie i starym gestem z lat licealnych uniosłyśmy prawe ręce, żeby uczcić chórek.

– Gdybym robiła przekłady, a potem nanosiła po sobie redakcję i korektę, to już w ogóle bym stąd nie wychodziła.

Opowiedziałam im krótko o spotkaniu z Matrangą i o jego propozycji. Popatrzyli na mnie ze zrozumieniem.

– To się Gazda wkurzy – stwierdził krótko Marek. – Nie lubi, gdy ludzie samowolnie o sobie decydują. To on jest tym, który daje i odbiera.

– I się w piekle poniewiera – dopowiedziała Pati.

Roześmialiśmy się, napięcie trochę odpuściło.

– Szkoda cię, Natalia. – Zenobia podała mi torebkę z landrynkami. Nikt nie lubił żółtych, więc zostało dużo dla mnie. – Ale z drugiej strony, i tak się tu marnowałam.

– Fakt – zgodził się Marek. – Z trzema językami możesz mieć wszystko, a u Gazdy dostawałam tylko trochę.

„Dzięki, Marek – pomyślałam. – Dzięki wam wszystkim, że we mnie wierzycie”.

Księgowa oceniła zawartość torebki i postanowiła nikogo więcej nie częstować. Schowała landryny do kieszeni stroju roboczo-ochronnego.

– Kiedy chcesz odejść?

– Jak najszybciej. Wykorzystam zaległy urlop i znikam. Jaki mam czas wypowiedzenia i ile wolnych dni mi zostało? Policzysz?

– Nie muszę liczyć. Ja was wszystkich znam na pamięć. Masz trzy miesiące wypowiedzenia. A urlopu zaległego i za ten rok masz w sumie trzydzieści dwa dni robocze.

Uśmiechnęłam się. „Uprzejmie dziękuję za trzymiesięczny okres wypowiedzenia, pięć dni wystarczy w zupełności”. Na razie miałam dosyć wyjaśnień i łzawych pożegnań. Z landrynką w ustach udałam się do Gazdy. Weszłam bez pukania i bez upewniania się, że mam czyste buty, które nie zostawią nawet grama brudu na jasnej wykładzinie szefa. Gdyby położył szarą, jak mu kiedyś radziłam, nie musiałby się tak o nią trząść.

Gazda wpatrywał się w zdechłą jukę wzrokiem pełnym rozpacz.

– Patrycja wylatuje – oznajmił. – Zmarnowała jukę, nie nadaje się do pracy.

– Sam zmarnowałeś – syknęłam, a Gazda spojrzał na mnie zaskoczony. Takiego tonu u mnie jeszcze nie słyszał. – To się podlewa raz na dwa tygodnie, nie kilka razy dziennie. Drzewka pustynne mają tendencję do padania, gdy muszą żyć na bagnach. Pati tłumaczyła ci to wielokrotnie.

– Natalia. – Ostrzegawczo odsłonił kły.

– Rafał. – Odsłoniłam swoje.

– Czego chciałaś? – Wycofał się na bezpieczną pozycję, udając, że sam o tym zdecydował i nagły przestрах nie ma tu nic do rzeczy.

– Chciałam cię poinformować, że popracuję jeszcze do końca tygodnia, a potem odchodzę.

– Chyba cię pojebało.

– Nie mów do mnie w ten sposób – warknęłam i Gazda wycofał się jeszcze bardziej.

Przysunął się bliżej biurka, licząc, że ogromny, czarny mebel ochroni go przede mną.

– Mam trzydzieści dwa dni zaległego urlopu i trzy miesiące wypowiedzenia – powiedziałam stanowczo. – Bardziej ci się opłaci rozwiązać ze mną umowę za porozumieniem stron i puścić mnie od razu.

To było trochę bez sensu. Gazda mógł zatrzymać mnie dłużej, ale liczyłam, że zareaguje na mój ton, nie na treść. No i przywiąże się do słówka „opłaci”. Zamilkł, przetrawiając złość na pracownicę, która nie doceniła łaski Double Book i samowolnie postanowiła odejść, zamiast pokornie poczekać, aż zostanie zwolniona.

– Źle robisz – odezwał się po chwili.

– Mam inne zdanie.

– Nie myśl, że pozwolę ci tu wrócić.

„Wolałabym jeść tynk ze ścian” – pomyślałam.

– Jest mnóstwo osób, które z pocałowaniem ręki zajmą twoje miejsce – powiedział.

– Nie wątpię. Patrycja na przykład doskonale poradzi sobie z korektami.

– Oczywiście, że sobie poradzi. – Momentalnie zapomniał, że jeszcze przed chwilą oskarżał ją o najcięższą zbrodnię. – Niech ci się nie wydaje, że wykonywałaś jakąś wyjątkowo trudną robotę. Byle kto może to robić.

Pewnie. I dlatego nasze książki dostarczają rozrywki głównie ze względu na nieporadny język. Nawet mnie zdarzało się coś przepuścić w zalewie błędów.

– Możesz odejść choćby jutro – stwierdził, obrażony, i ostentacyjnie zapatrzył się w monitor, chcąc zakończyć już rozmowę.

„Nie, Gazda, do mnie należy ostatnie słowo”.

– Zostanę do piątku. Zenobia przyniesie ci papiery do podpisania.

– Podpiszę z radością.

– O nic innego nie proszę – powiedziałam zupełnie poważnie.

Wysłałam i nawet nie czułam się zdenerwowana. Poszło dokładnie tak, jak sobie życzyłam. Drugi tydzień będę miała dla siebie.

Życie jak zawsze dopisało dalszy ciąg według własnego scenariusza. Nie miałam dwóch tygodni na ogarnięcie swoich spraw. Tego samego dnia, w poniedziałek wieczorem, zadzwonił ojciec. Zachowywał się tak, jakby sobotniej rozmowy nigdy nie było. Załatwił sprawę, nastraszył mnie, teraz będę grzeczna. Nie ma o czym mówić i nie ma do czego wracać.

– Tusi, w niedzielę przyjdą Drawscy na kolację – oznajmił. – Proszę być razem z Joachimem, godzina dwudziesta.

– Tak, tato – powiedziałam tonem Tusi.

Ale uśmiechnęła się Natalia.

„Oczywiście, że przyjdę, tatusiu, z przyjemnością. A ty jeszcze długo będziesz ten wieczór wspominał, krzywiąc się przy tym tak, jak tylko ty potrafisz”.

Za piętnaście ósma w niedzielę stanęliśmy z Joachimem pod drzwiami rodziców. Ojciec oczekiwał od nas przybycia nieco wcześniej, musiał przecież skontrolować mój wygląd i wytknąć niedoskonałości. Tuż przed przyjściem Drawskich cała rodzina przywdziewała maski publiczne i zasiadaliśmy w ładnych pozach, gotowi do odegrania swoich ról. Joachim występował jako kochający mąż i pełen szacunku zięć. Ojciec był łagodnym patriarchą przestrzegającym słusznych zasad moralnych. Mama pełniła funkcję cicho i skromnie szczęśliwej kobiety, której radością było dbanie o małżonka. I jeszcze byłam ja: grzeczna, dobrze ułożona córka, która, niestety, pracowała w zupełnie nieodpowiednim miejscu.

Tym razem ojciec nie wypowiadał się na temat mojego stroju i nie wypytywał z pogardliwą miną o Double Book. Starał się być miły i tylko od czasu do czasu rzucał mi znaczące spojrzenia: „Pamiętaj, Tusi, co ustaliliśmy. Żadnych nedorzecznych pomysłów o rozwodzie i przeprowadzce do innego miasta”. „Oczywiście, tato,

żadnych niedorzecznych pomysłów”. Problem polegał na tym, że inaczej definiowaliśmy słowo „niedorzeczne”.

Siedzieliśmy wszyscy w salonie, gotowi na przyjęcie gości. Okna były zasłonięte welurowymi, jak w całym domu, zasłonami. Sześcioramienny żyrandol zwisający z sufitu oświetlał zabytkowe, dębowe meble: dwie długie komody z nadstawkami, kredens, masywny stół, przy którym w razie potrzeby swobodnie mieściło się kilkanaście osób i przy którym rodzice z uporem spożywali każdy posiłek. Wszystko było wypolerowane na wysoki połysk. Nad jedną z komód wisiał Modigliani. Kopia, oczywiście, ale żaden z gości ojca nigdy o to nie pytał, a sam ojciec nie spieszył z wyjaśnieniem. Mówiło się: „To Modigliani” i patrzyło z odpowiednim zachwytem. Pod jedną ze ścian stały dwa ogromne fotele z tapicerką pasującą do zasłon. Mama, ubrana w grafitowy kostium Chanel, siedziała w jednym z nich, na samym brzegu, gotowa się zerwać, gdy tylko zabrzmiał dzwonek. Ojciec, w szytym na miarę garniturze, zajmował drugi fotel. Oboje wyglądali jak para królewska udzielająca audiencji. Wyprostowani, życzliwie uśmiechnięci, sztywni i sztuczni jak atrapa owoców na wystawie. Joachim zajął jedno z krzeseł przy stole i co jakiś czas zerkał na ustawione potrawy. Starał się być dyskretny, bo przecież szanującemu się radcy prawnemu nie wypada być tak przyziemnie głodnym. Ja, po raz ostatni w życiu ucharakteryzowana na Tusię, usiadłam w rogu pokoju, mając widok na całość. Bez makijażu czułam się teraz jak niekompletnie ubrana, ale taki wygląd był mi dzisiaj bardzo potrzebny. Nic nie działa lepiej niż dobrze umiejscowione zaskoczenie.

Pani Hanna, jak zawsze efektywna i rzutka, biegała między pokojem jadalnym a kuchnią, przynosiła kolejne potrawy i od czasu do czasu rzucała swoje pełne szacunku: „Tak, proszę pana”. Przez moment pomyślałam o Wioli. Biedna, jutro znów usłyszy od Joachima o zaletach pani Hanny i własnych niedostatkach. „Tak, proszę pana” wypowiedane sarkastycznie przez naszą pomoc domową nie należało do form, które radca Rostowski mógł zaakceptować. Wiola spojrzy oczami skrzywdzonej niewinności i wyprze się jakichkolwiek złych intencji, szczególnie że będąc dziewczyną ze wsi, nie wie nawet, co to jest ten cały „sarkazm”. Następnie wymówi „Tak, proszę pana” z doskonale wyważoną

złośliwością, która rozdrażni Joachima, ale nie da mu pretekstu do zwolnienia jej z pracy. Gdybym przy tym była, Wiola mrugnęłaby do mnie, wracając na swoje miejsce w kuchni. Jutro nie mrugnie, bo nie będzie miała do kogo. Po telefonie ojca postanowiłam pojechać do Gdańska tydzień wcześniej. Do niedzielnego wieczoru przemyślałam dokładnie, co chcę zabrać. Wystarczyło wyciągnąć ogromną walizę, wrzucić do niej potrzebne rzeczy i wsiąść do samochodu. Pół godziny roboty.

Nigdy nie miałam tak zwanego *wejścia*. Na wszelkiego rodzaju imprezach zjawiałam się cicho, nikt nie klaskał, gdy stawałam w drzwiach, nie milkły rozmowy, nie śledziły mnie pary oczu. Ot, po prostu wchodziłam i byłam. W niedzielę chciałam zagwarantować sobie „wyjście”. Nie liczyłam, naturalnie, na owację na stojąco, ale oczekiwałam choć odprowadzających mnie, zdumionych spojrzeń.

„Widzisz, tato, nie doceniłeś mnie. Sądziłeś, że tylko ty potrafisz zaplanować zemstę, a potem wdrożyć ją krok po kroku. Błąd. A za błędy trzeba płacić, sam mnie uczyłeś”.

Ojciec, nieświadomy moich myśli, po raz kolejny tłumaczył Joachimowi konieczność utrzymywania kontaktów z odpowiednimi ludźmi. Potrafił patrzeć z góry, nawet gdy siedział na niższym od krzesła fotelu.

– Drawski ma wyrobione nazwisko – mówił, stwierdzając znany nam wszystkim fakt – i mnóstwo kontaktów. Nawet jeżeli nam się wydaje, że wolimy inaczej spędzać czas, powinniśmy się poświęcić (w domyśle: „Ty powinienes się poświęcić, Joachimie, ale wiedz, że jestem dobry i ci pomogę”) i widywać go regularnie.

– Oczywiście, Tomaszu. – Joachim nigdy się nie odważył nazywać go „tata”. Zresztą, brzmiałoby to idiotycznie w wydaniu dwóch starszych mężczyzn. – Spotykam się z nimi raz w miesiącu. To mecenas wybiera, dokąd pójdziemy – dodał mój mąż i w ten sposób uniknął posądzenia o proponowanie nieodpowiednich rozrywek.

– Dobrze. – Król łaskawie skinął głową.

Wybiła ósma, z ostatnim uderzeniem zegara rozległ się dzwonek do drzwi. Pani Hanna poszła otworzyć i po chwili wszyscy witaliśmy Drawskich, przerzucając się grzecznościami:

– Heleno, pięknie wyglądasz. – To ojciec do Drawskiej.



– Katarzyno, jak ty to robisz, że czas zupełnie cię nie dotyczy? – To Drawski do mamy.

– Piękna brosza. – To mama do Drawskiej.

– Wspaniały kostium. – To Drawska do mamy.

– Jak miło. – To panowie do siebie nawzajem.

– Dobry wieczór, pani Natalio. – Mecenas przywitał mnie pocałunkiem w dłoń.

– Dobry wieczór, panie mecenasie. – Uśmiechnęłam się serdecznie. – Dobry wieczór. – Uścisnęłam rękę Drawskiej.

Od razu usiedliśmy, każde na swoim miejscu. Ojciec u szczytu stołu pod oknem, potem ja na rogu, obok mnie Joachim. Drawscy naprzeciwko, mama przy drugim końcu, tyłem do drzwi, choć to pani Hanna pełniła funkcję gospodyni i biegała wte i wewte, wnosząc gorące dania. Nagle zaczęłam się denerwować. Mój plan wielkiego wyjścia wydał mi się naprawdę głupi. Dziecinny i zupełnie bez sensu. Spalę za sobą wszystkie mosty i po co? Dla chwili satysfakcji? Opracowałam zemstę, chciałam upokorzyć ojca i Joachima przed Drawskimi, a potem, rzucając obrączkę na stół, wyjść z podniesioną głową. Teraz uznałam to za zwyczajnie szczeniackie. Robiąc scenę, ośmieszę samą siebie. Czy taki efekt chciałabym osiągnąć? Podjęłam decyzję, że nie zrujnuję tego wieczoru. Przetrwam kolację bez ekscesów z mojej strony i wrócę z Joachimem do domu. Pożegniam się z nim przyzwoicie, wytłumaczę wszystko na spokojnie, chociażby z szacunku dla wspólnie spędzonych dziesięciu lat. Od razu poczułam się lepiej.

Rozmowy przy stole toczyły się swoim rytmem. Panowie udawali, że nie mają ochoty roztrząsać niuansów prawnych, panie udawały, że znają się na polityce. Potem panowie udawali, że lubią sztukę, panie udawały, że w to wierzą. Drawski niczego nie udawał – cenił dobre malarstwo i muzykę, miał pojęcie o aktualnych pomysłach rządu. Swoje opinie wyrażał jasno i spokojnie, szanując zdanie innych. Ojcu nie wypadało się obrażać, gdy mecenas prezentował odmienne poglądy. Pełne wyższości spojrzenie też nie wchodziło w grę; Drawski miał przewagę i należało ją uznać, jeżeli chciało się pławić w ciepłe jego wpływów wśród palestry. Stary mecenas musiał to widzieć i biorąc pod uwagę jego inteligencję, zapewne nieźle się

bawił. Ciekawe, czy przychodził na te sztywne i oficjalne kolacje tylko ze względu na doskonałe jedzenie pani Hanny?

– Natusiu, dziecko, dlaczego jesteś taka milcząca? – zapytała nagle matka, choć od lat nie uczestniczyłam w ich salonowych rozmowach.

Otworzyłam usta, ale zanim zdążyłam nabrać powietrza, ojciec odpowiedział za mnie:

– Tusia zawsze była nieśmiała, prawda? – Spojrzał na mnie z życzliwym uśmiechem numer trzy. Uśmiech numer jeden zarezerwowany był na prywatne pokazy. Oznaczał: „Tusiu, znów się wygłupiłaś”. Uśmiech numer dwa był publiczny i mówił: „Jesteś bardzo grzecznym dzieckiem, mogę okazać ci sympatię przy ludziach”. I uśmiech numer trzy, także dla postronnych obserwatorów, informujący: „Nie mogę pochwalić się córką, ale zobaczcie, że mimo to ją akceptuję”. – Pamiętam, jak kiedyś zawstydziła się przy wuju Antonim – ciągnął ojciec, jakby mnie usprawiedliwiał. – Tak się spieszyła, że nie umiała powiedzieć, ile ma lat, a była już naprawdę dużą dziewczynką. Trzecia lub czwarta klasa.

Mój spokój odpłynął poza horyzont. Dlaczego oni wciąż traktują mnie jak dziecko? Dlaczego przypominają sytuacje sprzed wielu lat? Nienawidziłam tej historii i pewnie dawno bym o niej zapomniała, gdyby ojciec nie wracał do niej z taką przyjemnością. Zresztą było zupełnie inaczej.

– Wuj Antoni pytał mnie o pierwiastek z dziewięciu, nie o wiek – powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał uprzejmie. – Miałam siedem lat i nie wiedziałam nic o pierwiastkach.

– Ależ Tusiu. – Ojciec obdarował mnie uśmiechem numer cztery („Mówisz głupstwa, dziecko, ale mamy gości, więc okażę ci życzliwą dezaprobatę zamiast jawnej kpiny”). – Pamiętam doskonale. Antoni zapytał, ile masz lat, a ty popatrzyłaś na niego przestraszona i odpowiedziałaś: „Nie wiem”.

– Tato!

– Natusiu – matka natychmiast mnie upomniała – w tym domu nie podnosimy głosu.

Jak mogłam zapomnieć?! W tym domu obrażamy swoją córkę i oczekujemy, że z pokorą to przyjmie.

– Nie powinnaś, Tusi, reagować na te historie z taką powagą – pouczył mnie ojciec, a Joachim poparł go kilkoma kiwnięciami głowy. – Czy pomyślałaś, co powie mecenas, gdy zobaczy, że zupełnie nie masz poczucia humoru?

Spojrzałam w kierunku Drawskiego. Nie spodobało mu się, że ojciec go użył, aby mi dokuczyć. Zaciął usta i patrzył na mnie... wyczekująco? Na co czekał?

– To naprawdę nic złego, dziecko, że zostałaś zapamiętana w zabawnej sytuacji – kończył przemowę ojciec. – Przecież nikt nie chce być złośliwy, prawda? Chyba rozumiesz, że to takie żartobliwe przekomarzania?

Natychmiast powinnam zrozumieć. Wzrok ojca ponaglał do właściwej reakcji: najpierw uśmiech, a potem dyskretne, ale słyszalne dla wszystkich „ha, ha, ha”. Najlepiej z opuszczonymi oczami, żeby pokazać, że choć dowcipy ojca są bardzo na miejscu, to jednak czuję się skrępowana, będąc w centrum uwagi. Na koniec można dodać subtelne, acz przepiękne miłością spojrzenie w jego kierunku. Ułożyłam usta w odpowiednie wygięcie. Proszę bardzo.

A potem coś we mnie wstąpiło.

Szlag trafił moje postanowienie o nieagresji.

– Bardzo słusznie powiedziałaś, tato – stwierdziłam ze słodyczą na twarzy. – Być zapamiętanym w zabawnej sytuacji to nic złego.

Popatrzył na mnie z zadowoleniem. O takie zachowanie mu chodziło. Cóż, nie można mieć w życiu wszystkiego, tato, więc i ty nie dostaniesz tego, co chcesz. Kontynuowałam, nie pozwalając sobie przerwać:

– Przypomniało mi się, bardzo *à propos*, jak w czasach, gdy jeszcze studiowałam, przyjechał do nas na gościnny wykład profesor Jaczyński. – Ojciec się uśmiechnął, czekając na zabawną historyjkę z udziałem profesora. – Po wykładzie podeszłam do niego. Naturalnie, zdawałam sobie sprawę, że nie będzie wiedział, kim jestem. Ostatni raz widział mnie jako podlotka i trudno, żeby po dziesięciu latach mnie rozpoznał. Ale byłam pewna, że zapamiętał ciebie.

Zostałam nagrodzona zgodnym kiwnięciem. Ojciec był coraz bardziej usatysfakcjonowany moim występem. To oczywiste, że Jaczyński od razu skojarzył nazwisko Rawicz, choć nie spotykali się

od dawna. Jeszcze chwila, panie mecenasie, i będzie pan miał wyczekiwaną puentę. Uczeń jest gotowy, mistrzu zen, przyjął twoją lekcję i teraz z niej korzysta. Drawski chyba czytał w moich myślach, bo posłał mi pełne otuchy spojrzenie. Gdyby był nastolatkiem, krzyknąłby: „Dawaj, Natała!”.

– Wyobraź sobie – zwróciłam się do ojca z odpowiednim smuteczkiem w głosie – profesor zupełnie nie mógł skojarzyć radcy Tomasza Rawicza. A wyglądał przy tym na tak zakłopotanego, że natychmiast postanowiłam mu pomóc. Pamiętałam, jak uczyłeś mnie bycia miłą dla osób na wysokich stanowiskach...

Aha, mamy pierwsze skrzywienie radcowskich ust. Nie należy mówić takich rzeczy przy gościach. W ogóle nie należy mówić takich rzeczy. Wykorzystywać nauki rodzica przy każdej okazji, jak najbardziej, ale bez nazywania po imieniu. No cóż, kolejna wpadka nieporadnej Tusi.

– ...i przypomniałam Jaczyńskiemu sytuację, którą z pewnością doskonale zapisał w pamięci. Powiedziałam, że Rawicz to ten, który w towarzystwie profesora, mecenasostwa Drawskich i sędziego Bekera ochlapał się małżami. I co? Od razu wiedział, kim jesteś.

– Tusi! – Ojciec zapomniał o zasadzie niepodnoszenia głosu.

– Ćśś... – przyłożyłam palec do ust. – W tym domu nie krzyczymy.

Rozpętało się pandemonium. Ojciec zerwał się od stołu, rzucając uwagę na temat rozmaitych córek, które nigdy nie wiedziały, gdzie ich miejsce. Przepraszał Drawskiego, jakbym to jego obraziła swoim zachowaniem. Joachim kręcił głową, powtarzając w kółko: „Ależ Tusi, ależ Tusi”, i ścisnął widelec tak mocno, jakby chciał go wygiąć lub przełamać. Matka przykładała rękę do piersi, oddychała szybko i płytko, próbując zasugerować zebranym zbliżający się atak serca. Nikt jednak nie rzucił się do telefonu, by wzywać pogotowie.

Mecenas Drawski uśmiechał się, stosując jeden z przećwiczonych i przeze mnie manewrów: gdy nie możesz powstrzymać parsknięcia nieopanowanym rechotem, pozwól sobie na uśmiech. Rozluźnisz napięcie, a potem łatwiej się wytłumaczysz. Nie wydawał się ani odrobinę dotknięty, więc przeprosiny ojca się zmarnowały. Spokojnie sięgnął po półmisek i podał go żonie, która podobnie opanowanym gestem nałożyła sobie na talerz kawałek schabu w sosie borowikowym. Drawski także się poczęstował, następnie

starannie wybrał najładniejsze ćwiartki pomidora z salaterki i obdzielił równo siebie i panią Helenę. Odkroił kęs mięsa, przeżuł.

– Doskonała pieczeń – powiedział głośno.

– Rzeczywiście – zgodziła się równie głośno mecenasowa. – Pani Hanna to prawdziwy skarb.

Ojciec wrócił do stołu. Uśmiech numer pięć. Szczęki trzaskają w zawiasach, zęby kruszą się w zacisku, jednak trzymamy: „Moja córka zawiodła na całej linii, ale udawajmy, że nic się nie stało”. Spojrzenie w kierunku matki nakazywało: „Włącz się do gry”.

– Jestem bardzo zadowolona z naszej gosposi – oznajmiła uprzejmie. – Gotuje wyśmienicie.

Zapanowała niezręczna cisza.

„Bardzo niekulturalnie – pomyślałam. – Goście mogą dojść do wniosku, że gospodarz nie ma nic ciekawego do powiedzenia”.

Postanowiłam temu zaradzić. Nie miałam nic do stracenia, i tak pogrzebałam już wszystko. Podobno desperaci to najbardziej niebezpieczny gatunek ludzi. Coś w tym jest.

– Miałaś rację, mamo, zwracając uwagę na moje milczenie przy stole – powiedziałam, patrząc na kobietę, która mnie urodziła i na tym zakończyła swoją rolę. – To nieładnie. Pozwólcie państwo zatem, że nadrobię wszystkie przesiedziane w ciszy wieczory i powiem jeszcze parę słów. W końcu nieczęsto zdarzało mi się być dopuszczaną do głosu. Wyjeżdżam. Dzisiaj. Zamieszkać w Gdańsku, tam dostałam pracę tłumaczki.

– Prrrrfff!!!

Ten dźwięk w ciszy, która zapadła po moich rewelacjach, wyrwał się z ust ojca. Po raz drugi w życiu, w dostojnym towarzystwie, radca prawny Tomasz Rawicz opryskał sosem obrus i własną śnieżnobiałą koszulę.

Dla Drawskiego nie było już ratunku. Oddychanie, uśmiechanie się, zaciskanie i rozluźnianie ust nie pomogło. Roześmiał się, odchylając głowę do tyłu. Drawska, jak zawsze pomocna, podała mu serwetkę. Drugą wyciągnęła w stronę mojego ojca.

„Oj, panie radco, a fe, nie należy wyszarpywać materiału z kobiecej ręki. Co powiedzą goście?”.

– Ależ Tusiu! – wykrzyknął Joachim. – Cóż to ma być? Cóż to za dziwne stwierdzenia?!

Ojciec zgasił go wzrokiem tak wściekłym, że biedny zięć skulił się na krześle. Był na najlepszej drodze do zawiązania widelca na supeł. Mama jęknęła i teraz obie jej ręce powędrowały do piersi.

„Poczekaj, mamó, karetka będzie potrzebna za chwilę. Jeszcze nie skończyłam”.

Niestety, ojciec także dopiero się rozkręcał.

– Natalio... – O, to tego było trzeba, żebym raz na zawsze przestała być Tusią. – Myślę, że już dosyć zepsułaś. Proszę natychmiast iść na górę do swojego pokoju.

– Na górze nie ma mojego pokoju – odparłam. – Nigdy nie było. Poza tym nie jestem niegrzeczną smarkulą, której można dać szlaban za karę.

– Natalia! – Ojciec gwałtownie odsunął krzesło. – Proszę natychmiast się uspokoić! – Oparł się rękami o stół i pochylił w moją stronę.

Ani drgnęłam.

– Ależ ona jest spokojna – odezwał się Drawski ze swego miejsca. Na widelcu miał kolejny kawałek pieczeni. – To ty krzyczysz, Tomaszu.

Mecenas zjadł i otarł usta serwetką. Przegryzł pomidorem, znów otarł. Odłożył sztućce i popatrzył na mnie z ciepłem w szarych oczach. Twarz miał poważną, ale pogłębione kurze łapki jasno pokazywały jego nastrój. Ojciec dostał czegoś w rodzaju duszności, próbując ukryć wściekłość w bezpiecznym, niedostępnym dla świadomości miejscu. Wciągał gwałtownie powietrze, przestawał na moment oddychać, następnie wypuszczał tylko odrobinę i znów mocny wdech. Zrobił się czerwony na twarzy, na skroni pulsowała mu żyłka.

W drzwiach stanęła pani Hanna z nową porcją sałatki z pomidorów i oliwek. Musiała słyszeć wszystko z kuchni, bo teraz patrzyła na mnie, jakbym oznajmiła wszystkim, że chcę zmienić płęć i jutro mam operację. Zastygła w bezruchu, trzymając w dłoniach miskę z elegancko ciętego, kolorowego szkła.

Joachim wstał, podszedł do mnie i próbował podnieść mnie z miejsca.

– Chodźmy do domu, Tusi, źle się czujesz.

Ręce, którymi trzymał mnie za łokcie, trzęsły się, w jego spojrzeniu było błaganie: „Ratuj mnie, żono, ratuj mój stołek w kancelarii”.

– Czuję się doskonale – odparłam.

Sama nie wiedziałam, skąd czerpię tyle spokoju, gdy wokół wszystko się waliło. Nagle dotarło do mnie, że pomagali mi Drawscy, wysyłając w moim kierunku namacalną wręcz pozytywną energię. Dziękuję, mistrzu zen, dzięki, pani Heleno.

Strzepnęłam ręce męża, odsunęłam krzesło, wstałam.

– Przepraszam – powiedziałam, odwracając się do Joachima. – Nie chciałam, żeby to tak wyszło. Wiem, że ożeniłeś się ze mną tylko po to, by zostać współnikiem ojca. To dlatego twoje nazwisko, a nie Łaszewskiego, widnieje na szyldzie kancelarii. Ojciec powiedział mi o tym, gdy przyszłam prosić o pomoc. Uznał, że przyda mi się lekcja pokory. Wiem także, że schowałeś przede mną list od Patrycji. Ale mimo wszystko byłeś moim mężem przez dziesięć lat, więc przepraszam cię za ten wybuch.

Joachim opadł na krzesło. Pochylił głowę i podparł ją dłońmi. Mój mąż, jak by to określiła Pati, miał przerąbane. Ja uciekałam, on zostawał i to na nim ojciec odreaguje swoją frustrację. Pogłaskałam go po włosach, ale w moim geście nie było czułości. Raczej litość. Tylko na nią było mnie stać w tej chwili. Powolnym ruchem zsunęłam obrączkę z palca i położyłam ją na stole przed Joachimem.

– Proszę, i tak zawsze należała do ciebie. Skontaktujemy się później w sprawie formalności. Nie chciałam, aby nasz związek zakończył się w taki sposób, ale cóż, stało się...

Znów pogłaskałam Joachima po głowie.

„Teraz, mamó, teraz jęcz, chwytaj się za serce i błagaj o ratunek. Na wszelki wypadek dzwoń po karetkę, straż pożarną i policję. Może coś poradzą”.

Ojciec usiadł i tępo patrzył w bok, na Modiglianiego. Zdrada Drawskiego musiała zboleć. Przecież mecenas powinien był go poprzeć. Za te wszystkie wyśmienite kolacje, na które był zapraszany, teraz powinien coś powiedzieć, skrytykować mnie choćby spojrzeniem. Nie spodziewał się chyba, że jadał za darmo. Drawski nie miał jednak zamiaru w żaden sposób odwdzińczyć się

za posiłki. To mnie obdarzał sympatią, na ojca patrzył tego wieczoru z nieskrywaną niechęcią.

„Znam takie spojrzenie, tato, a ty doskonale wiesz, kto posyłał mi je najczęściej. Nie mam dla ciebie współczucia, zresztą i tak nie oczekujesz go od niewdzięcznej córki”.

– To już nie jest twój dom, Natalio – oznajmił ojciec, nie odrywając wzroku od obrazu na ścianie.

„Pasujecie do siebie – pomyślałam. – Ta schizofreniczna kopia i ty, tak samo schizofrenicznie wynaturzony”.

– Nie masz tu więcej wstępu. – Żyłka dalej pulsowała i ojciec znów przestał panować nad głosem. – To już nie jest twój dom, słyszysz?!

– Tak, tato, słyszę. To już nie jest mój dom – powtórzyłam. – Nic nowego.

– Nie masz już rodziców, rozumiesz?

– Rozumiem. To też nic nowego.

– Natusiu, moje dziecko – szepnęła mama.

„Nie, mamu, już nie twoje dziecko. Nie uważałaś, gdy ojciec mówił?”.

– Tusi – odezwał się rozpaczliwie Joachim, całkowicie pokonany przez sytuację.

– Nie teraz, Joachimie, porozmawiamy jeszcze, ale nie teraz.

Poczułam się potwornie zmęczona. Stałam na środku salonu i chwiałam się na nogach.

– Proszę wyjść. – To były ostatnie słowa do mnie.

– Do widzenia państwu – powiedziałam grzecznie do wszystkich.

Drawski podszedł do mnie, bezceremonialnie przepychając się za ojcem. Wziął mnie za rękę i poważnie spojrzał mi w oczy.

– Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani czegoś, proszę do mnie dzwonić.

Po chwili poczułam, jak Helena Drawska delikatnie obejmuje moje ramiona.

– Jeśli kiedyś najdzie panią ochota, by zwierzyć się znającej życie kobiecie, proszę się nie zastanawiać, tylko chwycić telefon. Mało śpię i chętnie porozmawiam nawet w nocy.

Olbrzymim wysiłkiem woli powstrzymałam łzy. Nie mogę zepsuć takiego ładnego „wyjścia”, wpadając w histerię z powodu



zwyczajnej ludzkiej życzliwości. Szósty października, kolejna data godna odnotowania. Cichutko zamknęłam za sobą dawne życie. Wymiotłam resztki porozbijanych cegieł i w miejscu więzienia budowałam dom. Pokój dla Pati już był gotowy.

Wkładając w sieni płaszcz, usłyszałam głos Drawskiego:

– Myślę, Tomaszu, że na jakiś czas powinniśmy zaprzestać naszych spotkań. Kolacja była pyszna, podziękuj od nas pani Hannie. Chodźmy już, Helenko, zrobiło się późno...

Ruszyłam przed siebie biegiem, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy wyjść za mną. Potrzebowałam paru chwil samotności. Stałam kilka przecznic dalej, oparłam się o ścianę bloku. Drżałam na całym ciele, ale nie chciało mi się płakać. Zrobiłam to. Zrobiłam to. Odpięłam smycz, zdjęłam obrożę, przegryzłam kaganiec. Byłam wolna. Ogarnęła mnie dzika radość. Roześmiałam się głośno. Jakiś mężczyzna spacerujący z czarnym pudłem skomentował:

– Pijana albo naćpana.

– Ani jedno, ani drugie – powiedziałam. – Właśnie zniszczyłam wszystko, co miałam w życiu. Zaczynam od nowa.

– Naćpana. – Zdecydował właściciel psa i poszedł w swoją stronę.

Chłód przypomniał mi, że pora wracać. Zadzwoiłam po taksówkę.

– Do domu poproszę – zakomenderowałam, gdy przyjechała.

– A trochę dokładniejszy adres?

– Powstańców Śląskich 45.

– Się robi.

Gdy dotarłam do mieszkania, było już po dwudziestej trzeciej. Okna były ciemne, Joachim jeszcze nie wrócił. Przystawiłam drabinkę do szafy i ściągnęłam z pawlacza walizę. Zmęczenie zniknęło, ogarnęła mnie nowa energia, która nakazała mi spakować się już teraz i wyruszyć do Gdańska w środku nocy. Renato Matranga będzie wniebowzięty. Nerwowo wyrzuciłam ubrania z szafy. Opanowałam się, gdy spojrzałam na nierówną stertę piętzącą się na podłodze. Bez sensu. Trzeba odłożyć te, które chcę zabrać, i jakoś je poskładać, bo inaczej się nie zmieszczą. Usiadłam po turecku i zabrałam się do

metodycznego przeglądania. Jedwabna bluzka Tusi zostaje, to nie moje. Ceglastoczerwony golf zabieram oczywiście. Nabrał dla mnie sentymentalnego znaczenia, to mój pierwszy „zbuntowany” zakup. Spódnice Chanel: brązowa jedzie, reszta zostaje.

Joachim pojawił się, gdy przebierałam żakiety.

– Tusi. – Przykucnął przy mnie, a jego oczy lśniły podejrzeniem.

Wyciągnął rękę w moim kierunku, zawisła na chwilę w powietrzu, bezradna i niechciana. No, dobrze, odpuszczę mu naukę mojego prawdziwego imienia. Niech pożegna swoją Tusię. Natalii nigdy naprawdę nie poznał, więc i tak nie będzie tęsknił.

– Nie byłaś szczęśliwa – szepnął.

Nagle odechciało mi się sarkazmu i gratulowania odkrycia Ameryki. Czułam się dziwnie. Nieprzygnębiona, ale też nieradosna. Melancholijna. Tak, to dobre określenie. Zanurzyłam się w melancholii. Szkoda trochę tych zmarnowanych lat. Pokręciłam przecząco głową. Nie byłam szczęśliwa. I on też nie.

– Jeżeli to ma jakiegokolwiek dla ciebie znaczenie – powiedział – to... to przepraszam.

Nie miało znaczenia. Już nie. Spojrzałam na niego. Był smutny. Prawdziwie, głęboko smutny. Nie sądziłam, że jest zdolny do tak silnych uczuć.

– Kochałeś mnie kiedyś? – zapytałam, nie wiedząc, do czego właściwie jest mi potrzebna ta informacja.

– Bardzo mi się podobałaś – odparł szczerze.

– Ale nie było w tym miłości, prawda?

Nie odpowiedział. Nie musiał.

– Szanowałam cię – powiedziałam. – I doceniałam wiele rzeczy, które dla mnie robiłeś.

Nieznacznie uniósł kąciki ust.

– Naprawdę mi przykro, że urządziłam takie przedstawienie przed Drawskimi. Coś we mnie pękło, nie mogłam się pohamować.

– Rozumiem.

Po raz pierwszy uwierzyłam, gdy to mówił. Zrozumiał. Dopiero teraz, dziesięć lat za późno, ale zrozumiał.

– Co teraz zrobisz? – zapytałam.

– Nie wiem – odparł i to chyba dotyczyło całokształtu jego życia, kariery zawodowej i prywatności. – Masz kogoś, prawda, Tusi? –

raczej stwierdził, niż zapytał.

A więc wiedział o Adamie i postanowił nie reagować.

– Nie, Joachimie. Miałam, ale to się skończyło.

– Poradzisz sobie?

– Tak – powiedziałam pewnym głosem. – Poradzę sobie.

Joachim usiadł naprzeciwko mnie i znów wyciągnął rękę. Tym razem nie pozwoliłam jej trwać bez odpowiedzi. Ujęłam jego dłoń.

– Tusi – szepnęła. – Naprawdę mi przykro. Wiem, że chcesz rozwodu, i nie będę robił trudności. Tyle przynajmniej jestem ci winien. Podzielimy się tym, co mamy, rozważymy wspólnie alimenty dla ciebie. Nie byłem dobrym mężem, więc postaram się być przyzwoitym „byłym”. – Zaśmiał się gorzko.

Teraz się rozplakałam. Trzymałam się przez cały wieczór, ale w tym momencie wszystko puściło. Było mi okropnie szkoda. Rodziców, od których mogłam dostać wsparcie i miłość, a nie dostałam nic poza wykształceniem, Joachima, który mógł być kochającym partnerem, a traktował mnie jak inkwizytor. Płakałam, a on przysunął się do mnie i objął moje plecy. Tak po prostu przytulał i pozwalał się wypłakać. Gdy to sobie uświadomiłam, rozplakałam się jeszcze bardziej. Wiedziałam, że dobrze robię, odchodząc, nie żałowałam decyzji o rozwodzie i wyjeździe do Gdańska, ale to wszystko było cholernie trudne.

– Ja chyba już pójdę do siebie – powiedział Joachim, wstając powoli.

Otarł oczy, a ja udałam, że tego nie widzę. Nie chciałam dokładać zakłopotania do już i tak niełatwej sytuacji.

– Pakujesz się – stwierdził, gdy odzyskał kontrolę nad głosem. – Kiedy chcesz jechać?

– Zaraz – odparłam, odruchowo spodziewając się tekstu w stylu: „Tusi, czy nie uważasz...”.

– Nocny pociąg?

Tu mnie zaskoczył. Żadnych pouczeń na temat niebezpieczeństw czyhających na samotną kobietę? Czy to możliwe, żeby człowiek aż tak się zmienił w ciągu jednego wieczoru? Nie, Joachim się nie zmienił. On tylko zauważył zmiany we mnie i w końcu przyjął je do wiadomości.

– Pojadę samochodem. Zrobiłam prawo jazdy w sierpniu, kupiłam używaną toyotę yaris.

Kiwnął głową. Był zaszokowany, widziałam to wyraźnie, ale chyba już nie miał siły na rozmowę. Powolnym krokiem starego człowieka poszedł do swojego pokoju. Nawet nie wygładził pogniecionej od siedzenia na ziemi marynarki.

Spakowanie tej części życia, którą chce się zabrać, nie zajmuje pół godziny, jak to radośnie założyłam, planując całą eskapadę. Przede wszystkim nie wzięłam pod uwagę rozmowy z Joachimem i mojego stanu po niej. Długo siedziałam, patrząc na górę ubrań i otwartą walizkę. Musiałam się wykapać, żeby jakoś dojść do siebie. Światło u Joachima nie paliło się i nie wiedziałam, czy śpi, czy tylko leży w ciemnościach. Bałam się tam zajrzeć. Druga rzecz, której nie wzięłam pod uwagę, to ogromna liczba przedmiotów do przejrzenia: książki, kosmetyki, środki czystości, ubrania, buty... Nie miałam wielu strojów, bo jako Tusia nie przepadałam za zakupami, a jako Natalia nie zdążyłam całkowicie zapchać szafy, ale trochę się tego nazbierało. Zanim wszystko było gotowe, zrobiła się piąta rano, a ja byłam tak wykończona, że nie mogłabym prowadzić. W dzinsach i grubej bawełnianej bluzie, które włożyłam na podróż, poszłam do siebie i padłam na łóżko. Musiałam się przespać chociaż odrobinę. Nie nastawiałam budzika. Pojadę, gdy będę wyspana.

Obudziłam się, gdy we śnie nawiedziła mnie wizja krystalicznie czystego okna, przez które spoglądałam na świat. Trzeci raz ten sam motyw. Teraz już w pełni rozumiałam jego znaczenie. Wszystkie trzy części snu dokładnie odzwierciedlały moje życie. Kiedy chciałam umyć szybę, ojciec podał mi płyn do dywanów. Zupełnie jak w rzeczywistości, gdy ze wszystkich sił utrzymywał stworzoną przez siebie kukielkę, a jednocześnie zachowywał pozory, że kształtuje człowieka. Joachim i we śnie, i na jawie powstrzymywał mnie przed jakimkolwiek konkretnym działaniem. Matka i tu, i tu stała z boku, nie widziała mnie, wpatrzona w ojca. Patrycja poradziła, jak powinnam przytrzymać się klamki, jak ułożyć kolana, żeby nie spaść z parapetu. I naprawdę taka była: podpowiadała, doradzała, ale nie ingerowała bez mojego zaproszenia. Jabunia dała mi ściereczkę. Kiedy żyła, pielęgnowała moje talenty, wspierała zainteresowania,

pozwalala się wyplakać i umiała pocieszyć. Dała mi podstawy, na których mogłam budować nową siebie. Adam. On zrobił najwięcej. Dostałam preparat do mycia szyb, dzięki któremu starłam cały brud. Dostałam pewność siebie, a to pozwoliło mi zobaczyć prawdę i pójść własną drogą. Dzięki niemu widziałam przed sobą przyszłość, która, choć wciąż niepewna, nie napawała mnie już przerażeniem. Sama umyłam okno, Adam tylko podał mi odpowiednią butelkę z detergentem. Sama stworzę swój świat. Adam pokazał mi, że mogę.

Adam. Od trzech dni był w Nowym Jorku. Nie miałam żalu, że wyjechał. Naprawdę życzyłam mu, żeby odnalazł tam szczęście. Wciąż tęskniłam, ale nie był to rozdzierający ból, jakby ktoś wyszarpał część mnie samej. Raczej spokojne wspomnienie czegoś niesamowicie pięknego, co skończyło się zbyt szybko, ale i tak wspaniale, że było.

Zerknęłam na zegarek. Szósta. Godzina odpoczynku, a ja czułam się w pełni zregenerowana i gotowa do drogi. Zapaliłam światło i spojrzałam na pełną optymizmu wiosnę wiszącą na ścianie. Wstałam, żeby zdjąć obraz, ale po chwili zrezygnowałam. Wiosna zostanie dla Joachima. Kto wie, może go kiedyś pocieszy?

Ciągnąc walizę, poszłam do przedpokoju. Włożyłam kurtkę i przez moment czułam się jak żona Lota ze wszystkich sił pragnąca spojrzeć za siebie. Byłam silniejsza od niej. Nie odwróciłam głowy. Zjechałam windą na parter. Bagażnik „yariska” okazał się mniejszy, niż sądziłam, i waliza, przypięta pasami, wylądowała na tylnym siedzeniu. Zająłam miejsce za kierownicą. Szósta dwadzieścia. Obudzę Pati. Zadzwoiłam i bez wdawania się w szczegóły wyjaśniłam, dlaczego jadę już dzisiaj. Była zbyt nieprzytomna, żeby płakać. Popłacze później, a ja będę musiała wszystko dokładnie opowiedzieć. Następny telefon. Zaspany Renato ocknął się w mgnieniu oka i obiecał natychmiast zarezerwować dla mnie hotel i przysłać adres SMS-em. Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Z lekkim przestraczem spoglądałam przez okno na mokrą jezdnię. Bałam się, że będzie zbyt ślisko dla tak niedoświadczonego kierowcy jak ja. Deszcz siąpił uparcie, wdzierając się w moją duszę.

Jadę. Matko jedyna, jadę! Przed oczami migają mi twarze osób, które doprowadziły mnie do tego momentu: Joachim, babcia, Patrycja, Adam, ojciec.

Dzwoni komórka. Patrząc na drogę, sięgam po nią, zerkam na ekran. Numer Adama. Znam go na pamięć. Moje serce odpuszcza kilka uderzeń, potem w przyspieszonym tempie nadrabia. Odbieram. Przy najbliższej okazji zamorduję Pati za to, że dała Adamowi namiar na mnie. Musiała być o wiele mniej śpiąca, niż sądziłam. Wariatka jedna, co ją podkusiło, by dzwonić do Nowego Jorku? Nie jestem zła, raczej rozbawiona. Jak zawsze wyświadczyła mi przysługę. Tak bardzo bała się mojej samotności, że postanowiła uświadomić Adama i być może nakłonić go do powrotu do Polski.

– Nat, gdzie jesteś? – odzywa się Adam. – Pati wspominała coś o Gdańsku...

Ładne powitanie po trzech tygodniach milczenia. No dobrze, to nie do końca jego wina.

– W samochodzie, w drodze do Gdańska – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Nat, ja nie wyjechałem, jestem w Warszawie. Nie mogłem. Zrezygnowałem z oferty, powiedziałem, że mam ważniejsze sprawy tutaj.

– Jadę do Gdańska – powtarzam. – Tam będę pracować.

Cisza. Coraz bardziej intensywna cisza. Nie odkładam telefonu. Adam też nie. Słyszę jego oddech. Na co właściwie czekamy?

– Gdańsk to piękne miasto – odzywa się wreszcie. – Mnóstwo zabytków do fotografowania.

Uśmiecham się. Odzyskałam Pati. Adam jest w Polsce. Później zdecyduję, czy w moim nowym domu zbuduję pokój również dla niego. Jest dobrze. Odkładam telefon na siedzenie pasażera i dociskam gaz.

Jadę. Zaraz wszędzie słońce... Jeszcze tylko kawałek... Jakies pięć kilometrów...

Redakcja: Anna Włodarkiewicz  
Korekta: Beata Wójcik, Bogusława Jędrasik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Imagenavi/Getty Images

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3260-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**

# Spis treści

\*\*\*

Joachim

Babcia

Patrycja

Adam

Ojciec